

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VI/JESIEN 2008



CENA 12,50 ZŁ*
(W TYM 0% VAT)



ISSN 1897-2365

"MIMO WSZYSTKO..."

W 1991, na siedem lat przed swoją śmiercią, Zbigniew Herbert odpowiedział na tak zwany Kwestionariusz Prousta. Był to zestaw pytań, który krążył po europejskich salonach na przełomie XIX i XX wieku (dwukrotnie odpowiadał na nie Marcel Proust). Fragmenty:

Co jest dla pana największym nieszczęściem?

Musieć klamać.

Gdzie chciałby pan żyć?

Gdziekolwiek - trzy pokoje, biblioteka, w zimie ciepło, w lecie chłodno, za oknem drzewa.

Na czym polega dla pana doskonale szczęście na ziemi?

Całkiem realnie czuć na czole tchnienie Ducha Świętego.

(...) Ulubiona postać w historii?

Romuald Traugutt, przywódca polskiego powstania 1863-1864. Bez nadziei, ale mimo wszystko.

(...) Jakie cechy najbardziej ceni pan u mężczyzny?

Dzielność w czasie wojny, odwaga cywilna w czasie pokoju.

Jakie cechy najbardziej ceni pan u kobiety?

Sila i zdolność wybaczenia prawie wszystkiego.

Ulubiona cnota?

Sapientia.

(...) Co najbardziej ceni pan u przyjaciół?

Lojalność i poczucie humoru.

(...) Bohaterowie w rzeczywistości?

Prości ludzie.

Bohaterki w historii?

Joanna d'Arc, ona też kiedyś straciła wiarę.

(...) Czego pan najbardziej nie cierpi?

Kłamstwa.

(...) Jakie osiągnięcia militarne najbardziej pan podziwia?

Bitwę pod Termopilami widzianą od strony greckiej.

(...) Jak chciałby pan umrzeć?

W pozycji wyprostowanej, samotnie, w schludnym hotelu.

Pana obecny stan ducha?

Taki sobie.

Pańskie motto?

Mimo wszystko.

(wypowiedź Herberta dla „Frankfurter Allgemeine Magazin” pochodzi z książki „Herbert nieznan. Rozmowy” wydanej nakładem „Zeszytów Literackich”, przekład Małgorzata Łukasiewicz)

HERBERT to temat przewodni tego numeru „Koziegorynku”.

Białopodlaska Publiczna
w Białej Podlaskiej
DZIAŁ INFORMACJI, BIBLIOGRAFII
I WIEDZY O REGIONIE
ul. Warszawska 12a
21-500 Biała Podlaska
tel. (083) 343-61-11

KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

NR VI/JESIEŃ 2008



FELIETONY

Janusz Korwin-Mikke, Włodzimierz Kowalik, Damian Sitkiewicz, Adam Wielomski, Joanna Zakrzewska

NA CENZUROWANYM

XIII Otwarte Międzynarodowe Warsztaty Teatralne „Dialogi”, sesja inauguracyjna Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku, Jurij Andruchowycz, Krzysztof T. Dąbrowski, Wojciech Brzoska, Marcin Włodarski, Ewa Furgał, Szymon Bira, Adam Wiedemann, Piotr Goszczycki, Barbara Sleszyńska

ESEJE

Rafał Szerbakiewicz, Rafał Jaworski, Artur Rogalski, Mariusz Kargul

NOTA BIOGRAFICZNA

Ignacy Potocki

OPOWIADANIA

Robert Konca, Anna Nogaj, Robert Olewiński, Jerzy Reuter

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)

Tadeusz Miciński

REPORTAŻ

Dominik Laciak wywiadyje Kazimierę Samplowską

MINIATURY

Marek Brand, Maria Kryńska-Szostak, Malvina Pająk, Robert Rusik, Joanna Zakrzewska

POWIEŚĆ

Andrzej Wielecki



KOMIKS

Dorota Zaręba

IN MEMORIAM

Ryszard Kornacki o Tadeuszu Cugowie-Kwiatkowskim

WERSZE

Dominika Barabas, Bożena Barda, Magdalena Błaszczak, Arleta Clapa, Jadwiga Grabarz, Paweł Hajduk, Izabela Iwańczuk, Piotr Kaczorowski, Izabela Koczkodaj, Robert Konca, Ryszard Kornacki, Paweł Kosiorek, Damian Kowal, Joachim Kowalski, Marcin Krakowiak, Maria Kryńska-Szostak, Przemysław Kuliński, Krzysztof Kwoczko, Zdzisław T. Łączkowski, Anna Nogaj, Benedykt Olszewski, Z. Marek Piechocki, Marzena Podkościelna, Artur Rogalski, Agata Salwa, Leszek Sokołowski, Adam Świć, Piotr Tomczak, Artur Zióntek

ZDJĘCIA

Joanna Bukowska, Bogumiła Jarecka, Piotr Kaczorowski, Izabela Koczkodaj, Mirosław Koczkodaj, Przemysław Krupski, Anna Lemiecha, Tomasz Młynarczyk, Paweł Żochowski, Bartłomiej Żyłka



KOZIRYNEK

KWARTALNIK KULTURALNY

Redaguje zespół

Mariusz Bober (promocja)
Przemysław Krupski (skład)
Dariusz Magier (proza)
Adam Świć (poezja)

Kontakt

kozirunek@rasil.home.pl
www.kozirunek.com

Wydawca

Radzyńskie
Stowarzyszenie Inicjatyw
Lokalnych
Konfraternia Kozirunek
ul. Rynek 9
21-300 Radzyń Podlaski
www.rasil.home.pl

Zdjęcia

© Radzyński Klub
Fotograficzny „Klatka”
www.rkf-klatka.art.pl

ISSN 1897-2365

Druk

AWA-DRUK
Tel. (083) 352 25 91

Nakład 500 egz.

Tekstów nie
zamówionych nie
zwracamy. Zastrzegamy
sobie prawo do skrótów
tekstów prozatorskich i
zmian tytułów.



Fot. na okładce
Tomasz Młynarczyk

Grafika na tylnej okładce:
Wzięcie do niewoli Ludwika IX.
Bibliothèque nationale, Paryż.

Oświadczenie posła ziemi radzyńskiej na Sejm RP Jerzego Rębka w sprawie 540-letniego dziedzictwa miasta Radzyna Podlaskiego

Sejm RP, 6 kadencja, 20 posiedzenie, 2 dzień (23 lipca 2008)

Panie Marszałku! Wysoka Izbo!

W roku pańskim 2008 mija 540 lat od lokacji miasta Radzyna Podlaskiego. Radzyna Podlaska to stare królewskie miasto leżące nad rzeką Białką, prawym dopływem Tyśmienicy, w południowo-podlaskiej pradolinie. Są to tereny typowego pogranicza. To tutaj schodziły się historyczne granice Mazowsza, Małopolski, Litwy i Rusi. W średniowieczu tereny te wchodziły w skład Ziemi Łukowskiej, która po zawarciu unii polsko-litewskiej znalazła się w centrum wielkiego państwa Jagiellonów.

Na obszarze Radzyna znajdowało się kilka ośrodków osadniczych, których dzieje sięgają początków XV w. Za najstarsze uważa się wsie Wyżna Białka i Niżna Białka - zwana Kozimrynkiem, które lokowane były przez ród Cebulków w latach 40. XV w. O Kozimrynie na kartach swych dzieł napomknął Jan Długosz. W 1456 r. kardynał Zbigniew Oleśnicki erygował tu pierwszą radzyńską parafię, która powstała, zanim jeszcze Radzyna stał się miastem. Między nimi znajdował się obszar zwany Radzików. To tutaj podkomorzy lubelski Grot z Ostrowa lokował miasto Radzyna alias Kozirynek, któremu w 1468 r. król Kazimierz Jagiellończyk nadał prawo magdeburskie.

Dzieje Radzyna związane są ze znamienitymi szlacheckimi rodami polskimi. W 1473 r. król dobra radzyńskie wydzierżawił Kazanowskiemu, a w połowie XVI w. - rodzinie Mniszchów, którzy ufundowali tu funkcjonujący do dziś kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy. Za panowania króla Jana III Radzyna znalazł się w wieczystej dzierżawie Szczuków. Obok kościoła rzymskokatolickiego powstały również cerkiewnicka i prawosławna oraz synagoga żydowska.

Pałac w Radzynie Podlaskiej odegrał znamienitą rolę w dziejach Polski, nie tylko jako regionalny ośrodek życia kulturalnego i towarzyskiego w okresie oświecenia. To w jego komnatach rodziły się założenia Konstytucji 3 Maja. Tu projektowano reformy polskiej oświaty związane z pracami Komisji Edukacji Narodowej. Tu gościł car Aleksander I spieszący do Puław.

W pierwszej połowie XIX w. Radzyna stał się na krótko własnością Stanisława Staszica. Potem Sapiehów i Czartoryskich, a następnie Korwin-Szłubowskich, szlacheckiego rodu z Mazowsza, gorących patriotów, obrońców ojczyzny i Kościoła rzymskiego. Pod ich rządami pałac radzyński był świadkiem konspiracji antyrosyjskiej, powstania listopadowego i styczniowego, a także prześladowań unitów. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920 kwaterował tutaj generał Edward Rydz-Śmigły, gdy wojska polskie ścigały wycofujących się w popłochu

Rosjan.

W 1920 r. z pobudek patriotycznych Bronisław Korwin-Szłubowski, ostatni właściciel dóbr Radzyna, przekazał pałac na rzecz walczącego z bolszewizmem Wojska Polskiego.

Z Radzynie związane są nazwiska wybitnych ludzi kultury i polityki. Są to m.in.: Jakub Fontana, XVIII-wieczny architekt królewski włoskiego pochodzenia, którego dziełem jest radzyński pałac Potockich, Ignacy Potocki, syn właściciela Radzyna, aktywny członek Komisji Edukacji Narodowej, Aleksander Sapieha, naczelny szambelan Napoleona, członek rządu tymczasowego na Litwie.

Obecnie Radzyna Podlaski to 16 tys. miasto powiatowe położone w północnej części województwa lubelskiego pomiędzy Parczewem, Kockiem, Łukowem i Międzyrzeczem Podlaskim. Swoje siedziby mają tu samorząd powiatowy i miejski. Do ważniejszych zakładów produkcyjnych należą: Spółdzielnia Mleczarska "Spomlek", Górnicza Fabryka Narzędzi, Zakład Pracy Chronionej "Simena". Funkcjonuje w Radzynie wiele placówek oświaty ogólnej i specjalnej, urzędy administracji państwowej, szpital powiatowy, ukazuje się prasa lokalna.

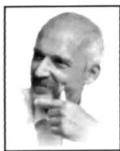
Nieocenioną wartością Radzyna Podlaskiego jest aktywność i kreatywność jego mieszkańców, która przejawia się poprzez działalność towarzystw, stowarzyszeń i klubów oraz organizację znanych ogólnopolskich imprez kulturalnych. Od 1980 r. XX w. Radzyńskie Towarzystwo Muzyczne im. Karola Lipińskiego organizuje "Dni Karola Lipińskiego" - koncerty na wysokim światowym poziomie. Radzyński Ośrodek Kultury i Rekreacji jest organizatorem corocznych Ogólnopolskich Spotkań z Piosenką Autorską "Oranżeria", których laureaci nominowani są do Krakowskiego Festiwalu Piosenki Studenckiej.

Radzyna stał się regionalnym potentatem w działalności wydawniczej, zwłaszcza o profilu historycznym. Radzyńskie Towarzystwo Naukowe "Libra" jest, poza publikacjami książkowymi, wydawcą trzech czasopism naukowych, w tym "Wschodniego Rocznika Humanistycznego", który został wpisany na listę czasopism punktowanych ministra nauki i szkolnictwa wyższego i ukazuje się pod patronatem dziekana wydziału humanistycznego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. (Dzwonek)

Ten krótki przegląd dzieł Radzyna Podlaskiego oraz jego dnia dzisiejszego pozwala na optymistyczne spojrzenie w przyszłość. Pozwala też na wyrażenie nadziei, że radzynianie mają świadomość 540-letniego dziedzictwa, które potrafią przekuć w pomyślność dnia jutrzejszego. (Oklaski)

Źródło: www.sejm.gov.pl





JANUSZ KORWIN-MIKKE

Wieszczów, jak wiadomo, mieliśmy trzech - Zygmunta hr. Krasińskiego, Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego. Co prawda komuniści chcieli znanego reakcjonistę, Krasińskiego, zastąpić bardziej postępowym Cyprianem K. Norwidem - ale każdy, kto stał w korku w krakowskiej Alei Trzech Wieszczów, wie, jak było naprawdę.

Jednak Juliusz Słowacki wieszczem był nie za bardzo; był za to niewątpliwie najlepszym z całej tej Wielkiej Czwórki poetą. Bo Poeta nie jest od tego, by Wieszczyl - wieszczyc można niemal równie dobrze prozą - lecz po to, by zgrabnie układał zdania do rymu i rytmu. Hrabia Krasiński pisał wysoce wyszukanie i niezrozumiale - w Jego dziełach naprawdę brak swobody. Dziś z trudem znajdujemy coś, co można przeczytać bez wzbudzenia śmiechu widowni.

Mickiewicz natomiast nieustannie uciekał się do „częstochowskich” rymów - czyli szedł na łatwiznę (w dodatku najłatwiejszym dla poety, trzynastogłoskowcem...).

Natomiast Słowacki - wręcz szalał po sylabach jak Chopin po klawiaturze. Bajka! Poezja! Polityka zabija Sztukę. Ale Słowacki, choć dał się „zrobić we Wieszczą” i wdał się w polemikę z Krasińskim na temat *Psałmów*



Piotr Kaczorowski

WIESZCZ A POETA

Przyszłości, zachował zdrowy osąd rzeczywistości: poeta ma pisać, bawić panie i panienki piękną formą i zabawną treścią - i bawić się sam. Mickiewicz po jakimś czasie całkiem się zwieszczył: przestał poetyzować, zajął się organizowaniem „Legionu Polskiego” (z fatalnym skutkiem...) i pisanie *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* (kto przejrzał ten gąszcz - ten wie, o co chodzi...). Innymi słowy: został jako poeta zniszczony - a raczej sam siebie zniszczył. Choć żył z tych Wieszczów - najdłużej... Nie tak dawno zmarli dwaj najwybitniejsi rymotwórcy II połowy XX wieku: Andrzej Waligórski i Zbigniew Herbert. Ten drugi z pewnością od początku szedł na Wieszczą - ten pierwszy był za to poetą: na każdy temat umiał dowcipnie i zgrabnie napisać coś mową wiązaną. Naprawdę: Geniusz to był! Gdzie tam Herbertowi do Waligórskiego...

Ponieważ przy przyznawaniu literackich nagród Nobla obowiązuje socjalistyczny rozdzielnik: co jakiś czas, po sprawiedliwości społecznej, przypada na inny kraj - przeto, gdy padło na Polskę, nagrodę dostał kto inny; ktoś, kto ani nie wieszczyl, ani nie rymował z piekielną sprawnością. Natomiast, owszem, wiersze ku czci Stalina pisał... Czy raczej: pisała. Od razu zaznaczam, że wcale o to do p. Wisławy Szymborskiej nie mam pretensji: d...a jest do s...ia, a aktor do grania - i poeta do pisania. Nadworny Poeta Królowej (jest taka funkcja w Zjednoczonym Królestwie!) ma na zamówienie pisać poemat wychwalający np. wizytę Królowej w Australii - i wcale nie znaczy to, że jest np. monarchistą! On po prostu, jak pisał niezapomniany Konstanty Gälczyński, chce „zarobić żdziebelko / Na bułeczkę i maselko”...

Tymczasem u nas Poetę traktuje się zawsze jak Wieszczą właśnie - czyli: jak wyrocznie polityczną. Nie tylko poetów zresztą: zebrania Związku Literatów Polskich odbywały się za PRL-u z takim namaszczeniem, jakby

tych kilkuset stetryczających pisarzy mogło obalić reżym! I - co najdziwniejsze - coś w tym było. Przepowiednie takie sprawdzały się - bo komuniści wierzyli, że się sprawdzają. Wierszyki - więc, gdy poeci zwrócili się przeciwko nim, to sami komuniści stracili ducha. I wpuszcili wroga na wały.

Piszę o tym wszystkim, gdyż pamiętam jak na przełomie XIX i XX stulecia w „Gazecie Wyborczej” p. Krystyna Brzechwa, która wzięła się za obronę Swego Ojca, poety właśnie, Jana Lesmana (ps. „Brzechwa” właśnie). Brzechwa w zasadzie zajmował się wyłącznie poezją - i to prawie wyłącznie poezją dla dzieci. Robił to wcale nieźle, na bułeczkę i maselko zarabiał (choć znam i potworności przez Brzechwę napisane). Jednak mamy dzieci były zadowolone - i to się liczy, gdyż poeta, jako się rzekło, pisuje głównie dla dam.

Jednak w Polsce mało któremu poecie udaje się ominąć rafa polityki. Brzechwa z pewnością na Wieszczą się nie kreował - ale jednak...

Pani Brzechwa w swym liście do GW powołuje się na to, że Jej Ojciec patriotą był - bo wydał był przed wojną zbiorek wierszy patriotycznych *Imię Wielkości* - zupełnie dziś zapomniany. Pani Krystyna się myli. W latach 80-tych w swoim podziemnym dwumiesięczniku „Stańczyk” - dziś go przeglądam: naprawdę, fantastyczne pismo polityczne - raczyłem się zająć Janem Brzechwą. Jako Wieszczem patriotycznym właśnie. Zamieściłem mianowicie jeden wiersz z tamtego zbiorku - o ile pamiętam: wiersz na rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego - oraz jeden wiersz ku czci Józefa Stalina. Po prostu jako ilustrację, iż nasi postępowi poeci przejawiali nieustanne ciągoty do socjalistycznych dyktatorów. Czego bynajmniej nie potępiałem: ogromna większość poetów, zwłaszcza nadwornych, woli monarchię (a choćby i dyktaturę) od d***kracji; jest też normalne, że wychwalają socjalizm - bo trzeba przypodobać się czytelnikowi. Ogromna większość intelektualistów, z poetami na czele, to socjaliści...



Przemysław Krupski

Właśnie dlatego Polska tak marnie wypada w historii: bo Polacy na serio traktują swoich poetów. Poeta ma pisać do rymu - i pisać tak, by się to publicznie spodobało. Skoro tak - to trzeba przyjąć, iż publika od poety nie otrzymuje niczego nowego: otrzymuje tylko swoje własne myśli, ubrane w zgrabną szatę.

Dlatego: czytamy poezję; ale zupełnie nie przejmujemy się treścią tego, co poeta pisze! Jak ktoś ma coś do powiedzenia - to mówi to prozą, bez ozdobników!





PIOTR KĄCZOROWSKI

Krótki wiersz z kawą mrożoną w tle

Broniewski Wierzyński Siwczyk Villon
 jak czterech jeźdźców apokalipsy
 kuci na cztery nogi
 jak napęd na cztery koła
 jeepa przyjaciela prawnika-arystokraty
 jeżdżę rowerem górskim
 bliżej do Bieszczad i domku przy lesie
 niż Moskwa Pieróžki miasta
 piję kawę mrożoną w Teatralnej
 obok leży list od przyjaciela
 czekam na odpowiednią chwilę
 każdy z nas pisze jakby
 sam do siebie
 nie nawiązujemy dialogu epistolarnego
 w tle leci Celina Dion
 przypomina mi Iron Like Lion in Zion
 w tle płynie rzeka miasta
 właśnie spadł wiosenny deszcz
 zamówię kolejną kawę mrożoną
 może wodę sodową
 we własnym mieście pozostaję
 jak cichy bohater cywilnej odwagi
 jestem sobie
 poetą
 depczę lubelski beton
 najbardziej lubię moją fryzjerkę
 od porno i techno można z nudów zdechnąć
 spadł wiosenny deszcz
 niebo jest sine jak tupanie
 rozłoszczonego dziecka
 jest parno i duchno
 jestem sobie
 poetą
 depczę lubelski beton
 przyjdzie lato będę chodził w jezuskach
 przyszły dwie kobiety
 o orlich rysach twarzy
 chyba siostry
 zadzwonię do Karoliny
 parno i duszno

światło poszło spać i już nie
 ma światła p. teściowa
 (pani jest przyszła
 panny są tymczasowe)
 pilnowała aż pójde i pogasiła w całym
 domu pisałem
 co było pisane
 monolog wewnętrzny i odliczałem
 w cieniu pocałunków na Manhattanie
 godzinę w sam raz
 i szedłem na ziemny poziom i już
 tylko papierosy aż sięgnąłem po
 bułkę z morelą popijając mlekiem a
 potem
 siusiu wiersz i spać
 wesole alleluja



JOANNA ZAKRZEWSKA

BAJKOWA SODOMA I GOMORA, CZYLI CHORE NADINTERPRETACJE DOROSŁYCH

- Wie pani, że Tinky Winky jest pedałem?
- Nie mówi się „pedałem” tylko „homoseksualistą”.

Zadbanie o „czystość” języka wydaje mi się akurat w tej chwili najlepszym wyjściem z krytycznej sytuacji. Na taką reakcję nie starcza mi już sił, gdy kolejny uczeń ocenia performance Polaków podczas Euro:

- Polska cioty! Polska cioty! - wyje z lubością na znajomą nutę, uśmiechając się szelmowsko.

Wypadałoby wprost spytać wyedukowanego bachorka, co znaczy słowo „ciota”, jednakże ze względów szkolno - „pedagogicznych” wolę nie ryzykować. Jestem pewna, że dzieciak zasłyszał to obraźliwe pojęcie od kogoś z dorosłych, bo z telewizji, co najwyżej, dowiedziałby się, że

ktos jest gejem czy homoseksualistą.

Nie wnिकam w kwestię czy dziecko rozumie to pojęcie, czy też tylko go używa. Jestem za to autentycznie przerażona pędem dorosłych do tanich sensacji i soczystych skandalików, z których wyłapują głównie podteksty seksualne i, świadomie lub nie, wpajają je swoim pociechom.

Świat w dużej mierze kręci się wokół seksu i aluzji do niego. Bardzo to ładnie i pięknie, ale czy musimy od razu ujawniać te smaczki naszym dzieciom? Niechże sobie ten Tinky Winky będzie dowolnej orientacji! Ale po co zapraszać go od razu z całym tym majdanem do dziecięcej świadomości? W ten sposób ograbiamy siebie, dorosłych, z rzeczy tylko nam dostępnych, zrozumiałych i nawet zabawnych, a dzieci



uczymy niepotrzebnej nadinterpretacji i wmuszamy w nie jeszcze niepotrzebny im świat dorosłych.

Gdyby tak iść dalej tropem chorych zapędów niektórych dorosłych, w każdej bajce dopatrzylibyśmy się „negatywnych” wzorców. Na całe szczęście skandalu obyczajowego unikają bajki z mojej młodości. A unikają go dlatego, że nie są emitowane, bo albo przestały być modne, albo ktoś dopatrzył się w nich kolejnej Sodomy i Gomory.

I tak linczu uniknął Żwirek i Muchomorek, bo zapewne ich przyjaźń poczytano by za związek homoseksualny. W dodatku, jak nic, jeden z sympatycznych ludków został by okrzyknięty transwestytą z powodu upodobania do spódniczki. Z Plastelinkami śpiącymi w jednym pudełku problem byłby niechybnie większy w związku z brakiem jednoznacznej wiedzy na temat ich płci. A tu już możliwych kombinacji byłoby trochę więcej... Makowa panienska okazałaby się być kompilacją wyrafinowanych „grzechów”. Nie dość, że pewnie narkomanka, to jeszcze rozwiązała seksualnie z ukierunkowaniem na zoofilię, bo romansowała z dwoma motylimi adoratorami Ibrahimem i Emanulem.

Motyła noga! Dobrze, że chociaż zrezygnowała z jednego z nich i pozostała w zwyčajnym konkubinacie. Pyza, z tego co pamiętam, biegła roznegliżowana na początku każdego odcinka i najpewniej została posądzona o ekshibicjonizm. Dodatkowo, jej brak cech płciowych, pewnie doszczętnie zrujnowałby jej wizerunek. „Ona nie ma cycków” - jestem pewna, że to usłyszałbym od moich uczniów, bo wiem, że to słowo dzieci znają doskonale.

Z bajek nowszych „Smurfy” aż się proszą o analizę. Wioska pełna dorodnych facetów i ona jedna. Toż to dopiero rozwiązłość! I jeszcze dodatkowo dziecię nie tylko z nieprawego, ale i z niewiadomego łoża - uroczy Smerfus! Że już litościwie pominę kwestię Lalusia. Dobrze, że nikt tego nie wykrył, bo znów ucierpiałaby na tym tylko dzieci.

Itepe, itede. Można by w ten sposób zdyskredytować wszystkie bajki i zaśmiecić do reszty dziecięcę głowę. Jedno jest pewne, dzieciom za nic takie interpretacje nie przysłyby do głowy. Za Tinky'ego, jego torebkę i inne ewentualne przyszłe bzdury podziękujmy samym sobie, dorosłym.



[ZABELA KOCZKO]

WSTRĘT

w kształcie żab
para
chińskich spluwaczek.

jak wstrętnie
przenosić je
od Prawdy do Działa

[więcej przykładów nie trzeba]

(można też czekać

*aż rzecz
strawi człowieka)*

POŻEGNANIE Z BARBARZYŃCĄ

słońce blade
morze lustrzane
- a lży?
- stosowne.
trup niepogrzebany
trup niepogrzebany
trup pogrzebany

krok
za horyzontem



DAMIAN SITKIEWICZ

WYCHOWANIE

Mówcie sobie, co chcecie, ja i tak wiem swoje - dziećmi są dorośli, a reszta to gnoje. Czy to przypadek, że w dzisiejszych czasach, tak zresztą pięknych i „wolnych” te dziwne słowa mogą nabrać sensu? Co w ogóle oznacza sformułowana w dziwny, dosyć przewrotny, a nawet wulgarny sposób fraza? Wydaje się, iż odpowiedź znajdziemy na ulicy - szarej, często brudnej, a niekiedy tej jakże pięknej, pachnącej, reprezentacyjnej. Takiej, gdzie dostrzeżemy panie w cudnych spódnicach, fantazyjnych bluzkach czy sweterkach oraz wspańniętych, jakże pięknie „wyrzeźbionych” mężczyzn. Naturalnie pachnących kosmetykami z lux delikatesów. Ale cóż to wszystko znaczy? Dokąd ci ludzie zmierzają? Odpowiedzi, jak zwykle w odniesieniu do człowieka, jest wiele. Wrócimy jednak do pierwszych słów niniejszego tekstu. A zatem chodzi o dojrzałość tych, jak i innych im podobnych osób.

Zaprawdę są na tym świecie ludzie zarówno dojrzały i pięknie wyglądający zarazem. Temu nie zaprzeczam, nie neguję tego faktu. Jest to przecież możliwe. Interesuje mnie tutaj tylko jeden aspekt życia. Mam na myśli wychowanie, które jest procesem długim, być może żmudnym, może nudnym, ale stanowi zarazem o sile i kondycji człowieka wychowującego, co przekłada się później na wychowanka. Nie myślcie, że pisałem o bzdurnej i zastępczej dyskusji, o której szumią media, związanej z cudownym uzdrowieniem polskiego szkolnictwa poprzez posłanie bądź nie posłanie dzieciaków do szkoły w wieku 6 lat. Dyskusja ta to nędzny substytut mający zagłuszyć prawdziwy problem polskiego szkolnictwa i wychowania. Rządy chcą naprawiać coś, czego się administracyjnie naprawić nie da. Ktoś powie, że sobie pieprzę trzy po trzy, a ktoś powie, że nie dotrzymuje słowa, bo zobowiązałem się prowadzić dialog z czytelnikiem na innym polu. I będzie miał rację. Dlatego

przerwę tę kuszącą, szatańską dyskusję, która wciąga mnie jak bagno. Przejdę więc z tematu polityki wychowawczej naszej III, IV, Najjaśniejszej (proszę mi wybaczyć, nie wiem, w jakim państwie żyję) Rzeczpospolitej Uniopodobnej na grunt pewniejszy. Być może wywołujący mniejsze kontrowersje, ale mogę się mylić.

Próby wychowawcze więc, jakie wiele osób w swoim życiu podejmuje (są one na szczęście jeszcze w większości), przynoszą dość często marne rezultaty. Drugim nawiasem mówiąc, proszę mi wybaczyć, ale ja w ręce dwóch facetów albo bab dziecka bym nie dał, choćby mi chcieli brodę zgolić albo ogniem ją przypalać. Jedyne, co dla nich przygotowałem, to tylko mała gumowa lalka ze sklepu, która robi siusiu i załatwia ich ulubione potrzeby fizjologiczne. Wszak o kulturze wysokiej to tam nikt nie słyszał. Co najwyżej o wysokiej blondynie. He, he!

Pomijając te animozje, które wykręcają świat do góry, robiąc z Polski Chiny, zaznaczam, że są na świecie (tam też leży nasz kraj - na szczęście nie musimy już wstępować do Unii Światowej) ludzie normalni, którzy żyją własnym życiem i nic ich nie obchodzi jakieś tam Chiny albo Unia Światowa albo inna. Oni jednak w obecnym, nie ułożonym, jak gdyby postindustrialnej lub posttotalitarnej rzeczywistości, nie potrafią się odnaleźć, co przekłada się na ich dzieci. To w przyszłości zaowocuje, ale nie wiadomo czym. Zarysowuje się jednak pewien obowiązujący model rodziny, gdzie dziecko jest nie tylko „głową rodziny”, ale wręcz kreatorem postaw psychicznych, moralnych swoich rodziców. Niech czytelnik nie odchodzi od tekstu, nie drze karty, wszak tylko nasiści i czerwoni palili książki. Niech się nie zżyma, bo trochę ogólnospołecznego wiadra zimnej wody płynącej z tego tekstu nie zaszkodzi. Cóż, trzeba rzec to jasno, istnieje problem. A znów jakiś czytający stuknie się w czoło,



📷 Joanna Bukowska

albo mnie by stuknął za takie stawianie sprawy. Ale ja się uprę pozostając przy swoim, bo wiem o czym piszę. I dodam jeszcze więcej dziegciu, jeśli będzie trzeba. A są to już sprawy znane z obserwacji i codziennego życia. Któż z nas nie widział dzieciaka, który płacze na ulicy „odstawiając teatr”, a rodzic (dzieci teraz często, zamiast mamy czy taty, zwracają się do rodziców po imieniu. W procesie wychowawczym jest to zbytnia, jeśli nie permanentna, fraternizacja) pozwala wówczas na wszystko, żeby tylko nie płakał. Tym sposobem opiekun (rodzic to za duże słowo) nie realizuje własnej linii wychowawczej, a syn lub córka (innej płci nie ma, na co niektórzy narzekają) dostaje to, czego chce. Chodzi bowiem o to, żeby przestał płakać. Zwłaszcza na ulicy, bo tam chodzą obcy ludzie - ciocie i wujkowie - którzy źle o nich pomyślą. Taką rodzice przekazują dziecku informację: *nie drzyj się, bo co sobie ludzie pomyślą*.

Tu nie oto chodzi. Jest to pułapka, którą sami rodzice na siebie zastawiają. Oni są panami życia tego małego człowieka, a parado-

ksalnie, im więcej dyscypliny tym dziecko, gdy wyrośnie na młodzieńca lub młodą pannę, będzie pewniejsze siebie, cieplejsze i serdeczniejsze. Uniknąć można w ten sposób wychowywania grona pedofilów, pijaków lub chorych psychicznie. Nic chyba ten tekst nie pomoże, gdyż pewne procesy odwrócić trudno. Żyjemy przecież w kraju, gdzie totalitaryzm miesza się z demokracją, ale państwa postsowieckie chyba taką mają. Ludzie po prostu się gubią. Wydaje mi się, że nie jest to tylko domeną owych państw, gdyż Francuzi czy Niemcy też mają takie problemy.

Można sobie bająć i przekonywać, ale prawdą są chyba słowa mojego znajomego antykwariusza z Warszawy, który stwierdził w sposób spontaniczny, że Super Niania jest potrzebna, ale rodzicom, bo tych należy poprawiać, leczyć, socjalizować. Dodałbym jeszcze więzić, ale odezwą się głosy sprzeciwu od lewa do prawa. I wtedy to ja już naprawdę nie wiem, gdzie żyję.



DAMIAN KOWAL

centralny

zaczepił mnie miłośnik rozmów z podłożem,
chciał papierosa, a ja przecież nie palę,
nie lubię mieć brudu na płucach i sercu.
miał minę jakby właśnie przegrał życie w karty.

było mi go żal, w końcu wszyscy jesteśmy
bożymi dziećmi, a bratu się nie odmawia.
ufundowałem mu zbawienie- paczkę cameli
bez filtra. uśmiechnął się jak Madonna

dwoma ostatnimi zębami. staliśmy w chmurach
tytoniu i czekaliśmy: ja na powrotny, on
na następnego Jezusa. westchnąłem.
centralny zbliża ludzi.

Takahe*

umarłem dla was, ale ciągle żyłem pośród
jezior i trzcin. gdy nawoływałem gwiazdy
dla mnie nieosiągalne myśleliście,
że to prastare duchy ziemi wyszły
ze swych pieczar i będą się mścić.

zadowalałem się chłodem wody i kilkoma
robakami na śniadanie, aż znaleźliście mnie
znowu. wmówiliście sobie, że potrzebna mi
pomoc i zamknęliście *dla mojego dobra*.

jesteście najinteligentniejsi, a nie potraficie
zrozumieć, że chcę przyjąć swój los i na siłę
próbujecie go zmienić. dziękuję za fatygę,
ale teraz już możecie mnie wypuścić

i nie odkrywać ponownie.

* *takahe* to nieśmiertelny chruściel żyjący na Nowej Zelandii,
uznany za wymarły w 1900, ponownie odkryty w 1948



WŁODZIMIERZ KOWALIK

SPOKOJNIE, TO TYLKO TEORIA

SPLEEN, CZYLI O POSIADANIU CZEGOŚ W NICZYM

*„Żeby dojść do tego, czego nie masz,
musisz iść, przez to czego nie masz”*
św. Jan od Krzyża

„Panta rhei, ei kei menei” jak mawiał Heraklit.

Jego retoryka nie powinna przysłaniać nam istotnej treści cytatu. Zmiana jest pojmowalna tylko dzięki czemuś stałemu. Zmienność wszystkiego to definicja chaosu¹. A ten jest niemy. Powodem pozwalającym greckiemu filozofowi zmienności mówić o zmianie nie był Chaos lecz trwający wiecznie Logos, upostaciowiony we wszystkotrawiący Ogniu. Wszystko płynie, *bo* takie jest *prawo* natury. Samo prawo jest niezmiennie². To ono pozwala mówić, że zachodzi to i tamto, ujawniając tym samym, że „to i tamto” ma jakiś „sens”. Mówiąc inaczej, starając się powiedzieć jakieś sensowne zdanie, muszę założyć istnienie sensu. Pytanie, czy tylko sensu aktualnie wypowiedzanego zdania, czy również jakiegoś innego meta-sensu, aktualnie przemilczanego, na określenie którego filozofowie wymyślili już dawno temu paskudne słowo „transcendentny”. Taki sens, jeśli istniałby, choć niewypowiedziany, musiałby z istoty być *wypowiadalny*. Czyli tylko *dla nas* byłby tajemnicą. *Komus* musiałby być znany. Czy o takim sensie da się coś powiedzieć? Niewykluczone, że nie³. Jednakże jakoś trzeba ten sens zidentyfikować, choćby po to, żeby nie pomylić go z bezsensem.

„O czym nie można mówić, o tym należy milczeć” brzmi znana rada współczesnego nam mędrca⁴. Pytanie tylko czy jest o czym milczeć? Milczymy, gdy nie ma *nic do powiedzenia*, i milczymy, gdy *czegoś nie*

sposób wypowiedzieć. Te dwie sytuacje bez trudu odróżniamy. Pierwszą rozpoznajemy choćby w spotkaniu niegdysiejszych kochanków, których nic już nie łączy. Takie milczenie jest krepujące, rodzi nudę, a ostatecznie złość. Drugą w relacji zakochanych w sobie osób, których milczenie ukrywa niewypowiedzaną, lecz uszczęśliwiającą ich oboje treść. W czym różnica? W tym, że milczenie zakochanych *ukrywa* pewną treść, będącą *przedmiotem* ich wiary i nadziei. Sytuację zakochanych sugestywnie przedstawił szesnastowieczny, hiszpański zakonnik:

*By dojść do smakowania wszystkiego,
nie chciej smakować czegoś w niczym.
By dojść do posiadania wszystkiego
nie chciej posiadać czegoś w niczym.
By dojść do tego, byś był wszystkim
nie chciej być czymś w niczym*⁵

„Wszystko” to wszechobejmujący, transcendentny, tajemniczy dla nas Sens. „Coś w niczym” to dający się wypowiedzieć sens lokalny. Dobrze nam znany sens „tego i owego”, będącego „tu i teraz”. Dlatego tylko przed rozsmakowanym wędrowcem, którego „to i owo” nie zadowala, otwiera się perspektywa trudnej drogi:

*By dojść do tego w czym nie masz
upodobania, musisz
iść przez to w czym nie masz upodobania
By dojść do tego, czego nie poznajesz,
musisz iść przez to, czego nie poznajesz.
By dojść do tego, czego nie posiadasz,
musisz iść przez to, czego nie posiadasz
By dojść do tego, czym nie jesteś
musisz iść przez to czym nie jesteś.*⁶

¹ Zdania orzekające o „wszystkim” nie mają logicznego sensu. Logika, pod groźbą belkotu, zdaje się zabraniać wypowiedzi o „klasie wszystkich klas”.

² Analogiczna sytuacja często ma miejsce w matematyce. Matematyczny formalizm teorii chaosu bynajmniej nie jest chaotyczny, podobnie jak formalizm teorii prawdopodobieństwa nie ma w sobie nic niepewnego.

³ Por. wyżej przypis 1.

⁴ Zob. ostatni przypis.

⁵ Święty Jan od Krzyża, *Droga na Górę Karmel*.

⁶ Tamże.

Filozoficzna interpretacja i wyjaśnienie przedstawionej tu poetycko sytuacji jest u Arystotelesa. Istniejący w rzeczach porządek (czyli w naszej terminologii „sens lokalny”) wykazuje pewien *niedomiar* w stosunku do rozumnej (idealnej) miary każdej rzeczy („sens globalny”). Ta idealna miara jest przyczyną celową, powodującą w rzeczach ruch. Ruch polega na osiąganiu właściwej sobie doskonałości⁷. Zatem, tak jak u Heraklita, nie ma przypadkowości, lecz każda rzecz jest manifestacją globalnego zamysłu. Filozof dodatkowo precyzuje, że rozumną naturę celowej przyczyny wszechrzeczy może osiągnąć tylko rozum i to jest istotą zjawiska zwanego poznaniem. Poznanie jest uzupełnianiem braku wiedzy a zaczyna się od zdziwienia-podziwu. Powodem zdziwienia jest racjonalność świata. To logiczna pętla. Poznać jest możliwe, bo świat jest sensowny a samo poznanie jest częścią tego sensu i dlatego zaczyna się od zdziwienia sensem. Stagiryta był twórcą europejskiej logiki. Doskonale zdawał sobie sprawę, że przedmiotem pragnienia, może być tylko możliwy do uzupełnienia brak. Nie można bowiem chcieć tego, co się już ma, ani poznać tego, co nie ma kształtu. Ceniąc tylko to, co posiadamy, znajdujemy gorzyc. Natomiast afirmacja chaosu rodzi nudę i rozpacz. Dlatego rozpacz mogła być identyfikowana z brakiem sensu. Wniosek z tego, że istnieje *niewypowiedziany* lecz *wypowiadalny* zamysł, który możemy *jakoś* poznać w realizujących go rzeczach. Warunkiem uniknięcia rozpacz jest podziw dla świata, bo to on umożliwia nam nawiązanie *kontaktu* z nieznanym nam zamysłem. Trzeba zatem być zakochanym. Należy przyznać, że często kończyło na sa-

mym tylko zdziwieniu. W różnych swych formach, zarówno skrajnych: lęku i przerażenia, jak i bardziej pożądanых: podziwu i czci, było dla człowieka podstawą pojmowania samego siebie. Manifestowało się w oddawaniu czci dobroczynnym i złowrogim zarazem siłom przyrody, bogom, w kulcie przodków, zaświatów, w roli szamanów, kapłanów i wyroczni. We wszystkim tym, w czym mniej lub bardziej prymitywnie, człowiek wychodził poza siebie w kierunku tego, co jeszcze niewypowiedziane. Aż w końcu człowiek dorósł i „odkochał się”. Nowożytny Zachód zdecydowanie wybrał drogę, tego co „wypowiedziane”, stawiając w stan podejrzenia a częstokroć usuwając „niewypowiedziane” całkowicie poza obszar racjonalnego dyskursu. Tendencja ta wydaje się być trwała. Widać ją choćby w hipotezach mających rozwiązać problemy współczesnej fizyki. Jak wiadomo, dobrze potwierdzony empirycznie tzw. standardowy model kosmologiczny zakłada powstanie i ewolucję świata w czasie. Aby usunąć zmore początku⁸ przyjmuje się zatem różne, fizycznie egzotyczne, założenia np. ciągłej kreacji materii *ex nihilo* (tzw. model stanu stacjonarnego), czy też scenariusz wszechświata odwiecznie pulsującego. Koincydencje antropiczne⁹ modelu standardowego ma wyeliminować hipoteza istnienia nieskończenia wielu wszechświatów lub scenariusz wszechświatów niemowlęcych. Wszystkie te i tym podobne próby są naukowo bezpłodne¹⁰. Ich jedynym celem zdaje się być utrzymanie nauki w paradygmacie głoszącym, że nie ma nic do wyjaśniania¹¹. Postawiliśmy zatem na sprawdzalną wiedzę i mamy niewątpliwe sukcesy. Ludzkość wypowiada teraz więcej niż kiedykolwiek. Cóż z tego jednak, skoro nie może już

⁷ Np. doskonałością jajka jest dorosła kura, jajo *jest* potencjalną kurą.

⁸ Początek świata jest zarazem początkiem zasad, których używamy do jego wyjaśniania. Wskazuje, że zasady te nie są ostateczne. Prawa znanej nam fizyki załamują się przy opisie *początku*, nie wiadomo zatem, dlaczego są takie, jakie są.

⁹ Koincydencje antropiczne to stwierdzone w *obserwowanym* przez nas świecie precyzyjne zbieżności niektórych elementów praw fizyki z faktem pojawienia się życia, trudne do pojęcia na drodze przypadku. Wysuwane hipotezy mają na celu przekształcić nikię prawdopodobieństwo tych zbieżności w pewność poprzez wprowadzenie nieskończonej ilości szans.

¹⁰ Ze względu na niepodatność na empiryczne sprawdzenie. Warto uświadomić sobie egzotykę tych hipotez. Ciągła kreacja materii *ex nihilo* wprowadza nieskończenie wiele niepoznawalnych zaistnień tj. ciągłych stworzeń świata. Przyjęcie nieskończenia wielu wszechświatów oznacza uznanie istnienia nieskończonej liczby niedostępnych poznawczo bytów. Dla samej nauki takie założenia nie mają znaczenia, jak wszystko, co niepoznawalne, poza tym, że eliminują konieczność uzasadnienia praw naukowych.

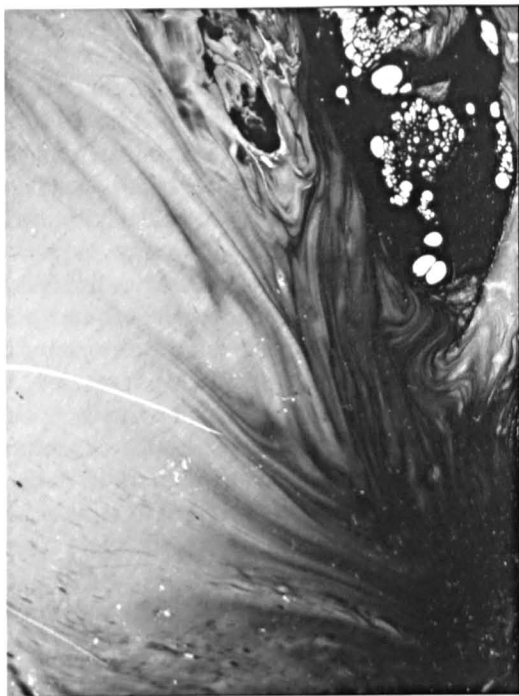
¹¹ Jeden z wielu możliwych tu przykładów: Helen Eilstein w swej *Bibli w ręku ateisty*, IFIS PAN W-wa 2006 tłumaczy: „Nie można bowiem wykluczyć, że pewne dane, do których odwołuje się nauka, są z *przyczyn ontologicznych niewyjaśnialne*...”

pytać, o czym mówi?

Wiedza jest przede wszystkim przedmiotem pragmatycznego wykorzystania i manipulacji. Szukanie dla niej uzasadnień jest zajęciem elitarnym i ezoterycznym. Szeroki ogół zostaje skazany na zupełną nieświadomość, dzięki której staje się całkowicie podatny na dowolne sugestie języka. Dzisiejszymi szamanami są media a kapłanami technokraci. Ich pomysły na społeczną organizację niewiele odbiegają swą zrozumiałością od egipskich hieroglifów. Fantasmagorie społeczne nie mają żadnej skutecznej konkurencji a irracjonalizm stał się poglądem mas. Przy całej naszej wiedzy nadal jesteśmy podobni do dzikusów. Nawet jeśli nie trzęsiemy się już ze strachu przed burzą, to boimy się przerwy w zasilaniu energetycznym. Wiemy, że coś mamy, ale nie znany odniesień naszego posiadania. Słowem pławimy się w spleenie. Nie podziwiamy już świata, który spenetrowaliśmy. A pamiętamy¹² z Arystotelesa, że warunkiem podziwu jest przekonanie o możliwości wytłumaczenia całej rzeczywistości a taki pogląd jest na cenzurowanym.

Jak to jest, gdy ktoś nie jest już „zakochany” w rzeczywistości? Niewypowiadalne, kosmiczne „milczenie o niczym” jest groteskowe. Oto znana filozoficzna eksplikacja naszej sytuacji: „Sens świata musi leżeć poza nim. W świecie wszystko jest tak, jak jest i dzieje się tak, jak się dzieje, nie ma w nim żadnej wartości [...]. Jeżeli jest jakaś wartość, która ma wartość, to musi ona znajdować się poza wszystkim, co się faktycznie dzieje i faktycznie istnieje. Albowiem wszystko, co się dzieje i faktycznie istnieje jest przypadkowe. To, co czyni je nieprzypadkowym, nie może znajdować się w świecie, gdyż wtedy byłoby znowu przypadkowe. Musi znajdować się poza światem (teza 6.41)¹³. Rodzi się spleen. Mentalność spleenu ilustruje popularny dowcip, w którym spadający z dziesiątego piętra, na pytanie „co słysząc?” rzucone przez stoją-

cego na balkonie piątego piętra, odpowiada: „Na razie wszystko OK!”. Słowem, nawet gdy mamy dobre samopoczucie, to i tak nie wiemy dlaczego. Albo inaczej: wiemy, że jest ono tylko maską. Zbyt często nasze zadowolenie powodowane jest chwilowym zapomnieniem o „niewypowiadalnym” czyli o czyhającym ostatecznie bezsensie, chaosie i przypadku. Horyzont naszych odniesień ograniczony jest do „na razie”. Posiadamy „coś w niczym”. Nierozpoznawalne oblicze wcale nie jest obliczem, albo jak kto woli, jest tylko obliczem nudy. Nie sposób orientować się na „nic”. „Pustka tych przestrzeni przeraża mnie” jak proroczo pisał Błażej Pascal. Orientować można się na jakiś „sens”. Może być nim sens „wypowiedziany”, tym samym lokalny lub „niewypowiedziany” obejmujący wszystko zamysł. Wielkiego pola manewru nie ma. Można iść do tego, czego się nie ma, przez to, czego się nie ma. Albo wybrać posiadanie „czegoś w niczym”, czyli spleen.



Monika Mazur

wszechświat pod pewnymi najistotniejszymi względami po prostu jest, jaki jest [...] z powyższego wynika nieprawomocność pytania, dlaczego istnieje raczej coś niż nic”, str 115-117. Oczywiście świat z „przyczyn ontologicznych niewyjaśnialny” nie może mieć sensu.

¹² Tzn. szczęśliwi czytelnicy tego tekstu.

¹³ L. Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*,



PIOTR TOMCZAK

rimbaud siedział na oddziale dla dzieci i młodzieży
 palił papierosa
 tym mnie ujął
 poprzez to dał się poznać
 nigdy wcześniej nie palił
 w każdym razie nie widziałem go z papierosem
 pomyliłem się
 rozpoznałem go po bujnych włosach zaczesanych do tyłu

zwarowane dzieci wyszły do ogrodu botanicznego z obrazu wojtkiewicza
 wiosna jeszcze nie nabrzmiała w jezioru tkwi zeschła zeszłoroczna trzcina
 grubaska w słomkowym kapeluszu trzyma wiatraczek nad głową
 o ile dobrze pamiętam
 i ma w ustach trąbkę którą trąbi
 grupa stanęła pod schodami po których tu przyszła
 albo idzie powoli
 o ile dobrze pamiętam

kość skóra kamień
 kamień gruchoce kość
 kość rozrywa skórę
 kamień rozcina skórę
 skóra okrywa płaszczem mięso
 mięso okrywa płaszczem kość
 o mięso
 owoc granatu
 spączkowane nasienie słowa



ADAM WIELOMSKI

OKIEM NEOWIEŚNIAKA

MIASTOWI TO ZŁODZIEJE!

Przeglądając ostatni numer „Koziegorynku” doszedłem do wniosku, że zajmujemy się tematami nieistotnymi. My tu o kulturze, o poezji, o regionie. A tu trzeba zająć się problemami istotnymi.

Oczywiście - powie ktoś - my zajmujemy się tym, co jest dla nas istotne. I tak zapewne jest, co nie zmienia istoty rzeczy, iż z punktu widzenia problemów globalnych nasze tematy mają znaczenie tylko dla nas: ludzi ze wsi i małych miasteczek, związanych z regionem. Dla nas, dla wieśniaków, znaczenie ma przede wszystkim to, co jest u nas. Nie interesują nas mody i idee panujące w Berlinie, Jerozolimie czy Nowym Yorku. My, ludzie wsiowi jesteśmy - jeśli można wymyślić takie słowo - „lokalistami”. Cienimy nasze domy, lasy, ogrody, pola. Podobnie jak Epikur, wyżej stawiamy

przyjaciół i dobre towarzystwo nad modne lokale, w których bawią się cudacznymi mieszkańcy miast. No, ale ci miastowi nie pójdą do lasu, nie wybiorą się (piszę to w październiku) na grzyby. Wiadomo, noga miastowego jest nieprzyzwyczajona do stąpania po leśnym runie, piasku, igłach i - nie daj Boże dla drogiego bucika z butiku - po błocie. Miastowy chodzi tylko tam gdzie ma chodnik, a ostatecznie wylany równo asfalt.

Mimo to miastowych koniecznie trzeba obserwować, szczególnie tych z wielkich wielomilionowych, betonowych kamieniołomów, tych z ziejących nihilizmem i duchową pustką miast. W kulturowej i intelektualnej pustce zwanej miastem narodził się właśnie pomysł na wielką kradzież. Pomysł, który mógł przyjść do głowy tylko



Izabela Koczkodaj

miastowym.

Nie mówię, że my na wsi to nigdy niczego nie zwędziliśmy i nie ukradliśmy. Sam - jak byłem dzieckiem - ukradłem kiedyś dynię z ogródka (fakt, że wtedy jeszcze byłem miastowy!). Ale nawet ta dynia jest wielce charakterystyczna. My, ludzie wsiowi, nie robimy wielkich „skoków”, nie przeprowadzamy „napadów stulecia”. Najwyżej ukradniemy jakiś drobiazg, owoc z sadu. Bo co można ukraść innego na wsi? Wielkie „skoki” to robi się tylko w miastach - bo tam jest co kraść, a i ludzie są głęboko zdemoralizowani. Nie jest przypadkiem, że pierwsze miasto założył - jako poucza Pismo - Kain. Miejski ścisk sprzyja patologiom, które rozwijają się w nienaturalnym dla człowieka otoczeniu, jakim jest beton. W mieście żadne zboczenie dziwić nie może. Miałem takiego kumpla z warszawskiego Żoliborza, co tylko jadł i jadł stołując się w McDonalдах (a w domu jadł obiad nr 2). Ważył ze 150 kilogramów i prawie zupełnie wyłysiał, a ręce cały czas mu się po-ciły. Takie rzeczy tylko w miastach się zdarzają.

Piszę o tych spoconych rękach, gdyż ręce miastowych właśnie są lepkie. Podczas gdy my idziemy na grzyby lub na spacer po lesie, miastowi patrzą, jaki tu zrobić szwindel. Doświadczyłem tego ostatnio, gdy poszedłem z rana do lasu na grzyby (tak jak lubię w jesienne poranki). Wracam, włączam radio, a tu miastowi (z baaaaardzo wielkich miast) w nocy zrobili przekręt stulecia. Od razu dodam, że to miastowi zza „wielkiej wody”, gnieżdżący się na Wall Street.

Cóż takiego zrobili? Porozdawali innym miastowym gigantyczne kredyty bez zabezpieczenia. Dawali je każdemu: bezrobotnym, obibokom, leniuchom. Nie patrzyli, jakie szanse spłaty mają ci jegomości. Tych, co brali, to nawet rozumiem, gdyż brali te pieniądze na domy. Człowiek jest zdolny zrobić wszystko, nawet wziąć na barki kredyt na 40 lat obrabiania pańszczyzny, byle tylko z bloku, ze stęchlizny miejskiej i 100 decybeli na ulicy wyprowadzić się pod miasto, do własnego domu. Więc mieszcuchy brały kredyty, ile wla-zło, a przygłupie mieszcuchy pracujące w bankach udzielały kredytów ile wlezie, bez

rozważenia szans, czy kredyt zostanie spłacony.

I przyszła recesja i system rypnął. Miastowa ekonomia stanęła w obliczu bankructwa. Banki padają jak muchy, giełdy w panikach, miastowi robią w portki. I tu ukazuje się nam ciekawa psychika miastowego. My, wsiowi to wiadomo - mamy silny instynkt, który nas przywiązuje do ziemi, do tego co moje, co mogę nazwać moją ziemią i moim domem. Miastowy to taki kulturowy nomad, co nie zna pojęcia ziemi, domu. A to prowadzi do poważnych skutków. My, wsiowi, nie bierzemy kredytów pod ojcowiznę, gdy nie zmusi nad do tego głód. A miastowi biorą, gdyż nie czują, co to ziemia, nie rozumieją, co to dom. I oto miastowa ekonomika - wskazująca na duchową pustkę - padła.

I co robi w takiej sytuacji miastowy bankier? Gdyby jego dziadkowi przydarzyło się bankructwo, to pewnie by sobie strzelił w głowę, bo miastowi biznesmeni w XIX wieku to byli jednak ludzie honorowi. Ale ich dzieci - gdy tylko wprowadziły się do bloków - straciły kupieckie i bankierskie poczucie honoru, przekształcając się w kulturowy i intelektualny proletariatus, czyli w „fullmiastowego”. A fullmiastowy nie zna pojęcia honoru. Dlatego te bankierzyki nie zawahały się zażądać od podatników 700 miliardów dolarów na dofinansowanie swojego biznesu. Inni miastowi z Kongresu im ulegli i oto doszło do kradzieży wszechczasów: 700 miliardów dolców zwinęli z budżetu Stanów Zjednoczonych w jedną noc!

Fullmiastowi są całkowicie zdemoralizowani, nie mają honoru i godności. Jak na nich patrzę to zaczyna mi się podobać narodo-socjalistyczna praktyka tzw. powrotu do ziemi, gdy wszystkich „wykształciuchów” z wielkich miast przymusowo brano corocznie na 2 tygodnie prac w polu. „Powrót do ziemi” dobrze by zrobił i fullmiastowym. Już wyobrażam sobie ten widok japiszonów w garniturkach, lakierkach, z komórką przy pasie ganiających po polu z łopatą. O, to jest bat na miastowego!





ANNA NOGAJ

Dotyk

powiedz mi że wciąż jestem dotykaj
tam gdzie najbardziej mnie nie ma i tam
gdzie mnie ciągle za mało

przyjdź w samo południe gdy rozbiore się
ze świateł jutrzeńskich i odbić neonowych lampek
a cienie będą dopiero dojrzewać
za framugami okien

wtedy drżeniem rąk mnie szukaj powoli
aby nie spłoszyć myśli niespokojnie
szeleszczą na obrzeżach kartki lub płyną
za stalowym szeptem zmrożonego nieba
z którego co wieczór srebrną chochlą
wybieram chłodne księżycy

jeżeli na moment stanę się dla ciebie
czytelna będę już na zawsze

Podzwonne dla A.

Jest dwudziesta pierwsza na Baranówku
roztńczyły się dzwony druga odezwała się Karczówka
łączą się w jedną pieśń *dla tych co mają uszy*
niech słuchają i ja słucham

wchodzę w tę rzeczywistość bosymi stopami
przypominam sobie jeden wieczór był jasnogórski
apel melodia sączyła się z głośnika z nami była
moc zamknięta w uścisku ciepłych dłoni

dziś wymyka się sens gubię wątek gdy przesiewam
czas między wersetami rozpinam nasze trwanie od słów
Mojżesza do pierwszego czytania z listu świętego
Pawła apostoła do Filipian podobno Bóg z nami

i tak właśnie myślę choć często pytam siebie Jego
o nasze „być tu i teraz” a dziś w tej chwili
uświadamiam sobie że te parę mocnych uderzeń
serca może wiele zmienić i że wcześniej ten moment

musiałam przeoczyć aby teraz poczuć jak bardzo
dotykam każdego ze słów a melodia dzwonów
pozwala czuć tamten wieczór i ten z przed dwóch tysięcy
lat nie warto liczyć czasem wystarczy słuchać

NA CENZUROWANYM



JANUSZ SZYMAŃSKI

ZAGRZMIAŁO TEATREM W RADZYNIU PODLASKIM

10 sierpnia 2008 roku zakończyły się XIII Otwarte Międzynarodowe Warsztaty Teatralne „Dialogi”. To oznacza, że od tego dnia zaczął się czas na przygotowania do XIV edycji tej imprezy. Właśnie, prawie rok temu w trakcie przygotowań do XIII edycji, podczas luźnych rozmów o kulturze z Adamem Świciem padł pomysł, że może by tematem przewodnim była tym razem twórczość Zbigniewa Herberta. Pomyślałem sobie: temat może i fajny, ale raczej do prostych praca nie będzie należała. W większości edycji warsztatów pracowaliśmy nad przełożeniem tekstu na ruch, ale zajmowaliśmy się prozą, a tym razem poezją... Ze względu na udział studentów z Ukrainy i powiązanie Zbigniewa Herberta ze Lwowem, zaprosiłem do wspólnej pracy nad spektaklem powarsztatowym reżysera z Kijowa Witalija Liubotę. Przyznam szczerze, że Witalij nie był zachwycony tym pomysłem, ale z czasem, gdy zapoznawał się z twórczością Herberta, wyzwanie podobało mu się coraz bardziej. Praca nad powarsztatowym spektaklem, który dostał roboczy tytuł *Echo Burzy*, była naprawdę bardzo burzliwa, uczestnicy warsztatów zmagali się z interpretacją wybranych przez siebie wierszy całymi dniami. Poranne zajęcia były związane z technikami aktorskimi i ćwiczeniami sprawnościowymi, a dyskusje i praca nad tekstem zaczynała się po obiedzie i trwała do bardzo późnych godzin nocnych. Rekord padł dzień przed

spektaklem, gdy mury Ra-dzyńskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji opuściliśmy o 2.30 w nocy. Ze Lwowa przywiezione zostało oryginalne nagranie własnych tekstów recytowane przez Zbigniewa Herberta, udostępnione nam przez rodzinę poety. Udało nam się wplatać fragmenty tego nagrania w spektakl końcowy. Trudno mi obiektywnie ocenić sam spektakl, ale śmiało mogę powiedzieć, że warsztaty były bardzo udane, pomimo trudnych intelektualnych rozważań o nie-samowitej poezji Zbigniewa Herberta. Okazało się, że ten obywatel świata jest tak samo bliski nam Polakom, jak i naszym ukraińskim uczestnikom.

Zupełnie drugim torem w czasie trwania warsztatów toczyły się przygotowania do akcji teatralnej przeprowadzanej na ulicach naszego miasta. Tematem przewodnim ulicznej prezentacji stał się świat ptaków, a dzięki strojom, które przywiózł z wrocławskiego teatru nasz wieloletni przyjaciel, aktor i reżyser Jarek Paczkowski, ulica Ostrowiecka stała się na kilka chwil bardzo kolorowa. Do organizacji akcji ulicznej zaprosiliśmy podopiecznych miejscowego Dziennego Środowiskowego Domu Samopomocy. Prezentacja ptasich zwyczajów i śpiewy na ulicach naszego miasta przysporzyły uczestnikom wiele radości, a mieszkańcom duże zdziwienie, z czasem zmierzające w stronę uśmiechu.

A oto uczestnicy XII edycji „Dialogów”: Marzena Płońska, Janusz Kołodziejczyk, Joanna Winnik, Agata Kępińska, Maria Desa, Iryna Dudchenko, Olga Motsyak, Wiktoria Miszczuk, Anastasiya Voytyuk, Martyna Chodowska, Marta Tracz, Witalij Liubota, Jarosław Paczkowski, Janusz Szymański oraz podopieczni DŚDS.

Na koniec pozostaje podziękować instytucjom, dzięki którym ta impreza trwa już od 13 lat. Sponsorami tegorocznych warsztatów byli: Marszałek Województwa, Starosta Radzyński, Urząd Miasta, Lubzel Dystrybucja, sklep internetowy www.bogutynmlyn.pl i pizzeria Mamma Mia.



📷 Tomasz Młynarczyk



MAGDALENA BŁASZCZAK

MYŚLI

Zapominam o tylu rzeczach...
rachunkach za prąd
rachunkach wszelkich
spotkaniach
zapominam
imiona
wydarzenia z dzieciństwa

i tą twarz, którą tak bardzo chciałam
pamiętać...

Śpiewam,
ostatnio zaczęłam jeździć konno
wyjeżdżam za miasto...
rozmyślałam
modłę się, zakochuję nic się nie uczę na
błędach

mam we wnętrzu nienazwane, co każe
mi tak błdzić, beznadnie łapać
powietrze, patrzeć na gwiazdy, szukać
studni na pustyni, wierzyć, wierzyć
choć nie mam podstaw nic a nic...

łapię okruchy i nazywam je miłością
małe rzeczy, drobiazgi wydają mi się
esencją świata
ogromnych nie dotykam, nazwać nie
potrafię

na pewno przemienię.
Chociaż wyobrażam sobie wieczność.

Niestety nie zawsze mówię to, co myślę
za często się boję
ukrywam uczucia

mimo wieku noszę w sobie dziecko.
Nie płaczę przy ludziach
podarowano mi uśmiech

nie umiem mówić o seksie nie leciałam
samolotem
mam mocną głowę

nie wiem, co mnie czeka ale
przeczuwam, że będzie dobre
choć ciągle przychodzi mi na coś
czekać, choć to mi przytrafiają się
wszystkie niepowodzenia świata,
zaczepiają pijackowie, zagadują
staruszki - radzę sobie
bywam letnia a to przecież źle bardzo
tylu rzeczy nie umiem

wczoraj idąc ulicą mimo deszczu i
listopada pomyślałam, że to całe
piękno, świata, liście żółte i czerwone
wszystko jest dla mnie
i gdzieś głęboko, naprawdę, poczułam
się szczęśliwa...

Dachy dachy świata
dachy Wrocławia, Warszawy,
Grodkowa...
to ważne miejsca
zwyczajnie i w przenośni.

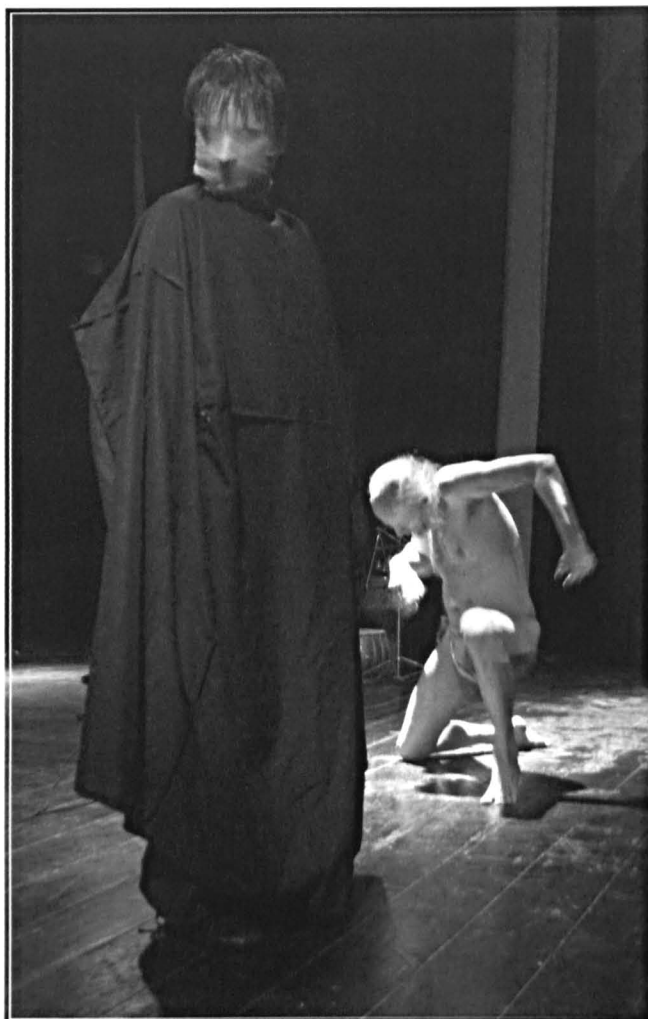
...ta myśl z filmu Stowarzyszenie
umarłych poetów,
już nawet z biurka inaczej widać świat.

Czyńmy swoje życie niezwykłym
patrzmy na świat z góry.

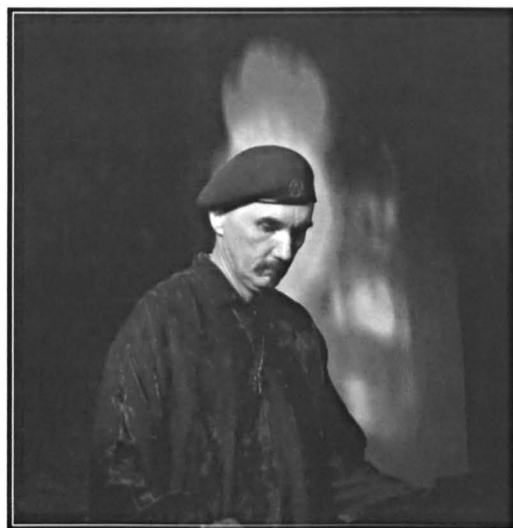
JANUSZ SZYMAŃSKI

TOWARZYSTWO PRAWIE Z KOSMOSU

"Muzyka a kosmos" to temat sesji inauguracyjnej Niezależnego Instytutu Harmonii i Dźwięku. Wydarzenie to miało miejsce 11 i 12 października tego roku w Czemiernikach i Radzynie Podlaskim. Inicjatorem i organizatorem tego niesamowitego pomysłu był Wojciech Konikiewicz, kompozytor i muzyk jazzowy. Temat sesji był kosmiczny, ale i goście, jakich udało się zaprosić Panu Wojciechowi na nasze ziemie, byli prawie z innej planety. Wśród uczestników można wymienić prof. Henryka Skolimowskiego, polskiego filozofa, ucznia T. Kotarbińskiego, przesympa-



Miroslaw Koczkodaj

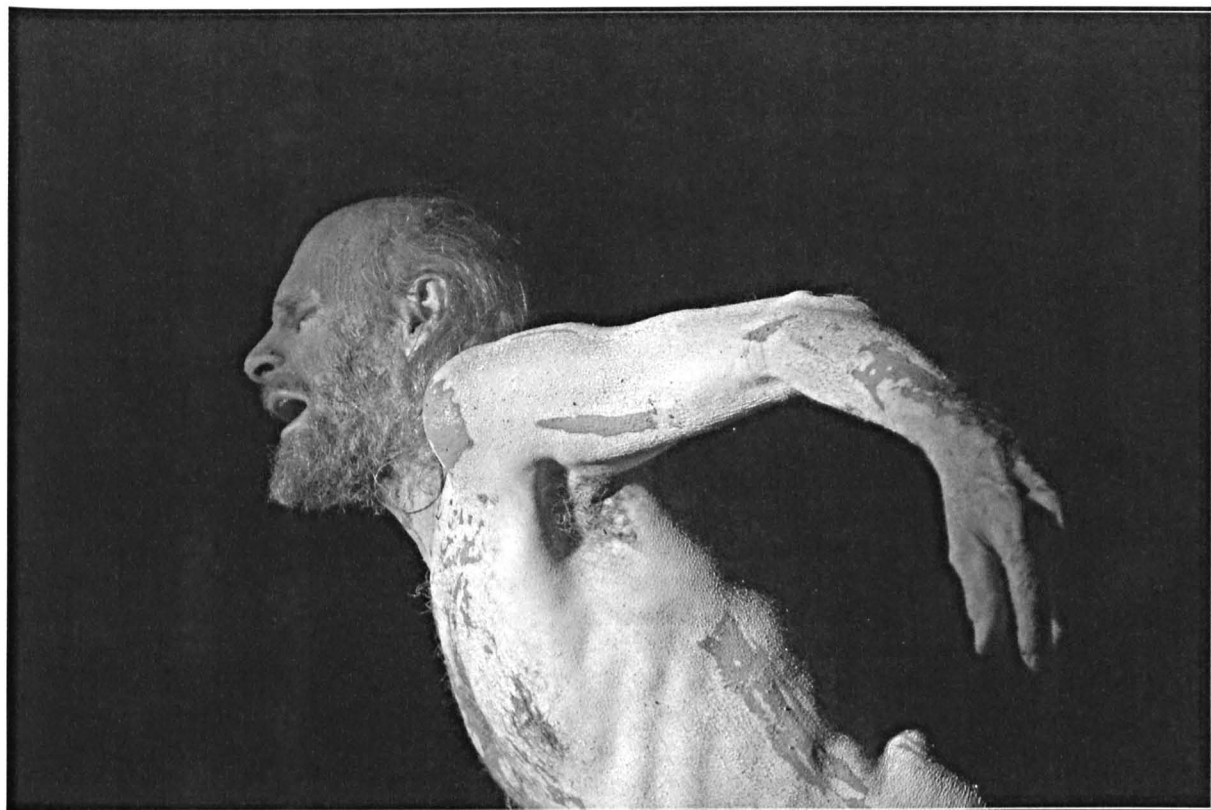


Tomasz Młynarczyk

tyczną i wybitną kompozytorkę Hannę Kulenty, przybyłego z Nowego Jorku Janusza Kapustę, rysownika i malarza współpracującego z takimi pismami jak „The New York Times”, „The Wall Street Journal”, „The Washington Post”. Już te trzy nazwiska świadczą o znaczeniu tego spotkania. Cieszy niezmiernie fakt, że wydarzenie tej miary miało miejsce w naszych okolicach. Program sesji zakładał dwudniową dyskusję, w którą wpłatały się wystąpienia zaproszonych gości, wieczorny jam session oraz spektakl pt.: *Nieskończoność*. Całość sesji została zarejestrowana przez reżysera Jerzego Zalewskiego.

Tematyka sesji była bardzo szeroka, ale pozwoliła na przeanalizowanie roli muzyki w historii ludzkości aż do czasów współczesnych. Był to też, moim zdaniem, krzyk niezgody wielkich ludzi muzyki na to, co dzieje się współcześnie, czyli w okresie tzw. postmodernizmu w dziedzinie muzyki i szeroko pojętej kultury. Całość tego wydarzenia można śmiało nazwać uczcą intelektualno-etyczną.

A oto słowa Wojciecha Konikiewicza, którymi podsumował on to wydarzenie: „Kiedy 16



📷 Mirosław Koczkodaj

lat temu tworzyłem ideę Instytutu, nie przypuszczałem, że tak wiele energii i czasu pochłonie doprowadzenie do jej realizacji. Nie przypuszczałem także, że uda się już na pierwszej sesji zgromadzić tak niezwykle grono i osiągnąć tak zdumiewające rezultaty. Z całego serca dziękuję wszystkim bez wyjątku jej uczestnikom. Nie da się przecenić ich obecności - we wszystkich tejże wymiarach. Już dziś wiadomo, że w przyszłym roku, w tych samych, przyjaznych nam okolicach odbędzie się kolejna sesja".

Niezmiennie mnie cieszy zapowiedź inicjatora tego spotkania, bo być może uda mi się dostać do tego zacnego grona "dysputantów" po raz kolejny, a przyznam, że tak merytorycznej dyskusji o kulturze i muzyce nie da się w obecnych czasach usłyszeć zbyt często, a już na pewno nie ma szans na spotkanie takiej ilości ciekawych przemysłów posługując się pilotem. Oto pozostali uczestnicy sesji: Juanita Skolimo-

wski - poetka, dr Dominik Burakowski - filozof, teoretyk muzyki, Paweł Dudziński - reżyser, aktor, rzeźbiarz, artysta multimedialny, dyrektor i twórca Teatru Performer, Janusz Szymański - instruktor teatralny, twórca teatru „Warsztaty Ekspresji Twórczej”, Janusz Smyk - muzyk, Piotr Iwicki - dziennikarz, muzyk, Adam Rosołowski - VJ, artysta multimedialny.

Zamknięcie sesji nastąpiło w niedzielny wieczór w sali Radzyńskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji premierowym spektaklem pt: *Nie-skończoność* w obsadzie: Janusz Szymański - aktor, Paweł Dudziński- performer, Janusz Smyk- saksofony, trąbka, flet, Piotr Iwicki - instrumenty perkusyjne, Wojciech Konikiewicz - keys, laptop, VJ FX Adam Rosołowski - wizualizacje.

Pozostaje czekać na kolejne takie spotkanie i możliwość zaprezentowania się radzyńskiej publiczności tak wielkich, aczkolwiek „niszowych”, artystów.





DOMINIKA BARABAS

Taka sobie historia

Ulica szeroka, ciemna nocą
i dwie postacie w jej mroku migocą;
"W zasadzie nic to jest szczególnego" -
pomyślisz, niż dowiesz się o nich czegoś...

Siedzą na taboretach rzeźbionych,
w obiciu miękkim jak krew czerwonym.
Ich twarze skryte w zadumy obłoku
i tylko oczy błyszczą im w mroku.

I tak rozmawiają sobie w milczeniu -
w oczu zachwycie uśmiechu tchnieniu.
Starcza im ta obecność wzajemna -
ta miłość, choć tak bezimienna.

I tak co noc siadują w milczeniu,
by świtem bladym w źrenicy mgnieniu,
on pocałunek na wargach jej złożył
i w zapomnienie znowu odłożył.

Dniami jak obcy zupełnie ludzie,
żyją w codziennej pracy i trudzie,
by w mroku wreszcie samotność przerwać -
od jasnej prawdy się oderwać.

Ulica szeroka, ciemna nocą
i dwie postacie w jej mroku migocą;
żyją wzajemną swą obecnością;
tą ich małą szczerą miłością.

Cień

W uliczce ciemnej spotkałam go
czarny kapelusz twarz w cieniu skrywał
błyszczące oczy, spokojny krok;
wzroku ode mnie wciąż nie odrywał.

I ta odzywa się nagle:
Serce ci porwę i duszę wykradnę,
bo to nie dobrze, gdy
nie masz z kim podzielić szarych dni.

I tak odzywa się do mnie:
Kochać mnie będziesz od dziś nieprzypadnie
Samotność życia blask
zamienia tylko w strach.

Podszedł i szybko ujął dłoń moją
i zniknął nagle cały ten świat.
Dziś nawet nie wiem już, co tu robię,
bo serce widzi wciąż jego twarz.

A on odzywa się nagle:
Mówilem - serce i duszę wykradnę.
Chyba nie wierzył mi nikt!
Teraz serce Twój zapewnia Ci wikt!

A on odzywa się do mnie:
Ma już gdzie mieszkać Twe serce bezdomne,
bo dużo łatwiej żyć,
gdy razem można być.

MARIUSZ KARGUL

TAJEMNICA INTRYGUJĄCA NICZYM STEPOWY HORYZONT

W życiu prawie każdego pisarza stojącego na szczycie uznania i popularności przychodzi taka chwila, że trzeba się choć trochę tym życiem podzielić z czytelnikami. Można to uczynić na wiele sposobów, a jeden z bardziej popularnych stanowi poddanie się serii kilkudziesięciu - niekiedy nawet kilkuset - pytań, w ramach tzw. wywiad-rzeki. Pytającym również nie powinien być pierwszy lepszy z brzegu dziennikarz lub literat, lecz jakaś uznana sława i nazwisko. Jurij Andrichowycz poradził sobie z tą kwestią znakomicie. „Porozmawiał” szczerze sam ze sobą, „angażując” do tego przedsięwzięcia zmyśloną postać Egona Alta (dziennikarza rodem z Berlina). W taki oto sposób światło dzienne ujrzała książka *Tajemnica. Zamiast powieści*.

„Jurko”, jak o nim familiarnie mawia Andrzej Stasiuk (który też pojawia się na kartach *Tajemnicy*), stworzył intrygujące dzieło. Opisał w nim swoje dotychczasowe życie z daleko idącą dokładnością. Od wczesnego dzieciństwa prowadzi czytelnika przez świat, w którym wzrastał i wydarzenia, które uformowały go jako człowieka i jako pisarza. Wymienia wielu ludzi, dzięki którym jest jaki jest. Poznajemy osobistą i społeczną panoramę Zachodniej Ukrainy rozciągającą się od czasów głębokiego komunizmu po przełom lat 89/90. I mimo tego, że tak naprawdę wywiad-rzekę z Jurijem Andrichowyczem przeprowadza sam jego bohater, mamy w książce do czytania z tematami trudnymi i bolesnymi.

Dzieje się tak chociażby w przypadku przywoływania na pamięć okresu służby wojskowej, rozstań z bliskimi, śmierci ojca. Pojawiają się liczne wątki podróży, w tym do najbliższych sąsiadów (Polski, Czech, Słowacji). Autor nie stroni od autoironii i dozowania sporych dawek właściwego tylko jego osobie humoru. Najlepszym przykładem są odniesienia do tego, co w latach 80. działo się w Polsce, do stanu wojennego i „Solidarności”. Z wielkim uśmiechem czyta się szczególnie ten fragment, w którym

Andrichowycz pisze, że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego w naszym kraju nie była chyba przez generała Jaruzelskiego tak do końca przemyślana, gdyż nie wiedział, że w oddziałach swojej armii posiada szeregowego Stasiuka... W ogóle fani Czarnego, Stasiuka i „wschodnich” klimatów znajdą dla siebie w „Tajemnicy” jeszcze wiele innych smakowitych „kąsków”.

I chociaż podtytuł sugeruje, że mamy tutaj do czynienia z czymś „zamiast powieści”, to nie dajmy się jednak tak ostatecznie temu zwieść, ponieważ zakończenie książki stanowczo temu przeczy. Słowa uznania należą się również niezawodnemu w takich sytuacjach tłumaczowi - Michałowi Petrykowi.



Jurij Andrichowycz, *Tajemnica. Zamiast powieści*, Przeł. Michał Petryk, Wyd. Czarne, Wołowiec 2008, ss. 338.



RYSZARD KORNACKI

Krótki monolog z Panem Cogito

Proszę,
co za czasy?
Nawet ciebie dopadli
drogi Panie Cogito.
Może książkę o tobie napiszą
"Prawdziwą" jak diabli.

Dziś już nie wszystko
pod prąd płynie.
A żeś wyprostowany
to pewnie
po wódce wracasz
nie o tej godzinie
i masz dużego kaca
bo żonie składałeś
przysięgę
pocąc się na potęgę
że nikt
i nic cię już
nie dosięgnie
chyba że Nobel
spóźniony
tłusty i wypasiony.

Idź dalej,
zasłużyłeś na mandat
i na uśmiech
proroczy świata,
bo tu nikt nikim
nie pomiata,
bo tu każdego masz
za brata.

idź dalej...
Do spełnienia
nim klękiesz ze zdziwienia.

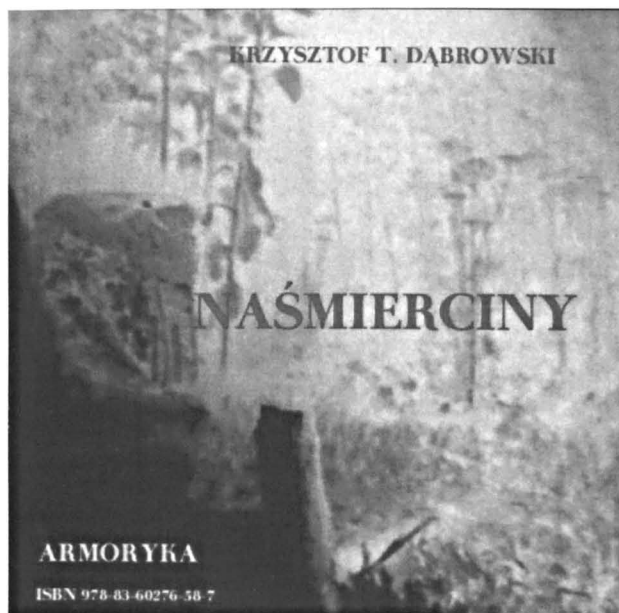
Idź dalej...

MARIUSZ BOBER

NAŚMIERCINY KRZYSZTOFA T. DĄBROWSKIEGO

Pod koniec 2006 r. zainteresował się pisaniem, jednak na poważnie zaczął pisać dopiero od lata 2007 roku. Do tej pory publikował w magazynach literackich: „Trismegista”, „Twój Dobry Humor”, „Kozirynek”, „Tygiel Kulturalny” oraz w portalach: Carpenochem i Horror.com.pl. Wkrótce jedno z przetłumaczonych opowiadań zostanie opublikowane w amerykańskim magazynie: Withersin („Brrrother”) a kolejne w czeskim magazynie internetowym Babylon („Nasmrcen”). W maju 2008 r. zadebiutował zbiorem opowiadań *Naśmierciny* wydany przez wydawnictwo Armoryka w formie audiobooka. W październiku 2008 r. ukaże się książkowe wydanie *Naśmiercin* (poszerzone o kilka nowych opowiadań), czytamy na autorskiej stronie www.Krzysztofa.T.Dąbrowskiego.

Naśmierciny w wersji CD odleżały na mojej półce dość długi czas. Krzysztof, idąc za moją sugestią, przypominał się. Sam, redaktorze, tego chciałeś. Dopytywanie się. Z jednej strony cieszy fakt, że autor czyni postępy na swojej artystycznej drodze. Możemy je śledzić na autorskiej stronie. www.ktdabrowski.pl.tl. Recenzując ten pomysł Krzysztofa i podjęte wysiłki, należy je... pochwalić. I tu czujny czytelnik pewnie wyczuwa, że za chwilę będzie jakieś gradobicie. Odsłuchiwałem płytę, a przez uszy przelewał się głos lektora, i miałem absolutnie nieodparte wrażenie, jakby był to głos programu komputerowego. Zacząłem się zastanawiać, czy był to zamysł artystyczny czy też może... No i pojawia się pewien zgrzyt, którego nie byłem w stanie ominąć czy potraktować ulgowo. Co w tym przypadku można zrobić? Albo zmienić sposób pracy lektora, albo zastanowić się, jaki jest odbiór czytanego tekstu, który brzmi jak sztucznie wygenerowany głos. M.in. to było powodem, że dość długo zwlekałem z recenzją dzieła Krzysztofa. Moja recenzja jest (i taki



miałem zamiar) krytyką konstruktywną, po to, by kolejne wydania, a szczególnie sposób interpretacji tekstów, poprawić. Mimo tego mankamentu, zachęcam do zapoznania się z tym krążkiem, bo być może słuchający, będzie miał inne wrażenie. A uwagi, jak zwykle, warto skierować do autorów projektu. Nie od razu Rzym zbudowano.

Krzysztof T. Dąbrowski, *Naśmierciny*, Wydawnictwo "Armoryka", Sandomierz 2008. Czyta Joanna Kruk





JADWIGA GRABARZ

Nauka jedzenia powideł

Mamy zatem śliwy. Zza okna wydają się starsze, jeszcze bardziej kruche. A przecież nie tak dawno zrywaliśmy liście i pełno ich było na pieniążki. W całym obejściu niewiele zostało, tylko korzenie, w których mrówki założą siedliska i parę kawałków kory obdartej przy rąbaniu.

Pozostał smak. Wyobraźnia może być przydatna, zwłaszcza jeśli mowa o powidłach. Wieczorami czuć było ich zapach od kuchni po piwnicę, bo nawet słoiki przesiąkły fioletem, puszczały sok późnego lata. Wystarczyło zanurzyć palec, by okrężnym ruchem dojść do brzegu - przecież szkoda każdej pamięci z końca języków.

trochę inny blues, jerycho i pan bunuel

to nie jest to, o czym myślisz, ani co się wydaje -
pozorna wędrówka mrówki z rany w dłoni,
pretekst, by zająć nowy obszar.

kłębimy się w dolinie rzeki. szukamy tropów,
dawne mury upadły i nawet oblężone miasto
nie chce się dźwignąć.

zatem idziemy, ciągniemy ten fortepian, chociaż ciężki.
w siedem dni okrążamy brzegi. dla tych z pełnym portfelem
otwierają się wszystkie juke house'y, bez kruszenia cegieł.

jozue i ja czekamy na swoją kolej - też chcemy grać pieśni,
ale na jazz jeszcze za wcześnie
za to wszędzie mówią, że głosy mamy miękkie jak bawelna,
że mają w sobie coś rzewnego. a dla nas to wszystko

niebieska spelunka.

KAROL GRACZYK

WOJCIECH BRZOSKA PRZEZ JUDASZA

„Przez judasza” jest już piątą książką Wojciecha Brzoski, książką, ze względu na konwencję przyjętą przez autora, odważną i ryzykowną, ale jakże udaną. Brzoska bawi się słowem i robi to świetnie, odnajdując dwuznaczności i co chwilę zaskakując a to wersem, a to spodobem zapisu, który odwraca tekst o 180 stopni. Teksty pisane „na modłę” przekazu biblijnego są tak swobodne i pewne siebie, że można by przypuszczać, iż autor mógłby je równie dobrze napisać jakkolwiek inną konwencją. Znamienny jest blurb w książce napisany przez Jakuba Winiarskiego, mistrza przekładania starej formy na dzisiejszy język. Brzoska robi coś dokładnie odwrotnego wywołuje do tablicy współczesny zapis i sprawdza, czy uda się w niego wtłoczyć język archaizowany na dwa tysiące lat wstecz. Uda się. Dużo w tym tomie mowy o domu i grzechach, jakby autor szukał dzisiaj miejsca dla ludzi i zjawisk sprzed wieków i sprawdzał, czy to wszystko pasuje i dzisiaj, ale nie to jest najważniejsza owa archaizacja pozostaje tylko kamu-

flażem, bo wszystko to dzieje się dzisiaj i nie jest właściwie niczym osobnym, bo i pokolenie 20 i 30-latków tak naprawdę nic wyłacznie swojego jeszcze nie znalazło tu liczy się podejście, podejście, którego oryginalności autorowi nie wolno odmówić, a

które pozwala na zupełnie nowe spojrzenie na to, co zdaje nam się, od dawna już wiemy. I po to właśnie, by tę wiedzę zweryfikować i wyrzucić *przez judasza* zupełnie inaczej, warto zobaczyć, co Brzoska ma do powiedzenia i jak chce do nas mówić.

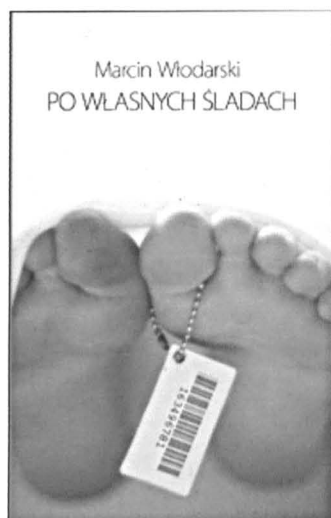
Wojciech Brzoska, *Przez judasza*, Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie „Portret”, Olsztyn 2008.



PO WŁASNYCH ŚLADACH MARCINA WŁODARSKIEGO

Marcin Włodarski swój drugi tomik „Po własnych śladach” rozpoczyna od mocnego uderzenia, jednym z ważniejszych wierszu tomu, pisząc w nim: „może każdy wiersz jest o miłości/ ten o Szopenie/ głowa oddzielona od ciała/ i ten o limbie co chciała być artystką/ wiersz o nauce chodzenia i obronie żebractwa/ przecież mogą być wierszami/ spalone dzieci/ właśnie o miłości” i cała ta książka jest właśnie o takiej miłości, może ojcowskiej, może nieodwzajemnionej, do świata takiego, jakim on jest, mimo goryczy, całego zła, przeciw któremu autor się buntuje, by

chwilę później pogodzić się z tym, na co wpływu mieć nie może. Dużo w tym tomie poetyckiej prawdy, od której tak wielu młodych poetów właśnie w poezji, zupełnie niepotrzebnie, próbuje uciec, idąc najprostszą drogą. Droga Włodarskiego nie jest prosta, ale prowadzi nas jego śladami przez to, czego doświadczamy na co dzień przez chwile zachwyty, buntu, zrozumienia i przyjęcia na siebie tego, co przyjąć trzeba, a wyrwania tam, gdzie to możliwe. Właśnie z tej rzeczywistości, przeciw której Włodarski na przemian buntuje się, i którą usprawiedliwia, musi on uciekać, a ucieka



wszędzie tam, gdzie coś można jeszcze nazwać miłością, bo okazuje się, że jednak nie wszędzie udaje się tej miłości przenikać. Dojrzałe są te teksty, osobiste, ale nie emocjonalne, nie ma w nich tanich wzlotów i upadków, wszystko tu idealnie do siebie pasuje na zasadzie odmienności. Egzystencja,

normalności, tego brakuje dzisiaj często w poezji, a jeszcze częściej wyjścia z normalnością w sposób nieszablonowy, językiem prostym, ale do prawdy świętym, stonowanym. Autorowi udaje się pokazać coś, o czym nie ma tu bezpośrednio słowa wielkie emocje dojrzałego już człowieka i poety, dzień za dniem. Z niewielkiego kawałka czasu, kiedy jesteśmy w świecie Włodarskiego, rozciąga się bardzo szeroki czas i przestrzeń.

Marcin Włodarski, *Po własnych śladach*, Wydawnictwo Portret.



EKSTREMIZMY EWY FURGAŁ

Debiut Ewy Furgał brałem do ręki z niemałą nadzieją po kilku poetyckich głosach męskich i trzeba autorce przyznać, że jeśli rozpatrywać tomik wyłącznie jako debiut, jest dobrze, ale jeśli już ująć go w ramach niejako *lesbijsko-feministycznych*, do tego okraszonych obiecującym tytułem „Ekstremizmy”, można się nieco rozczarować, autorka bowiem chciałaby szokować, pokazując miłość dwóch kobiet jako coś absolutnie normalnego, stąd bierze się zarówno tytuł tomu, jak i dykcja poszczególnych wierszy. Niestety okazuje się, że ani tematyka jako taka, ani wspomniana dykcja, nie szokuje autora, nie ma tu nic z ekstremizmu, co nie znaczy, zaznaczam, że poszczególne wiersze same w sobie są złe i nie chcą



nic powiedzieć, bo chcą, jak najbardziej, tyle, że mam wrażenie, iż odeszły nieco za mocno od zamysłu i samej autorki. Piszę to dość zaczepnie, wszak autorki nie znam osobiście, ba, nie widziałem nawet na oczy, ale gdzie indziej może tkwić problem, jeśli nie w tym, że tomik ten mógł spełnić doskonale swoje zadanie, jeśli ukazałby się 10, 15, a najlepiej 20 lat temu?

Wtedy jednak autorka zapewne nie знаła swoich ekstremizmów zbyt dobrze, co więcej, dorastała zapewne wokół tego wszystkiego, co sprawiło właśnie, że dziś nic ekstremalnego już tutaj nie znajdziemy. Dużo w tym tomie emocji, emocje te niestety zazwyczaj opisane są dość dosłownie i co nieco dziwi, na początku wierszy, by później opowiedzieć kolejną historię, historie te są pisane momentami zupełnie niezłe, ale coś z tego, kiedy wiemy już wszystko po pierwszym wersie? Bardzo trafny komentarz tomiku na jednej ze stron internetowych poświęconych równości napisała Sonia Śniatała: „Wiersze o samotności, gdy ukojeniem jest tylko ta jedna osoba, a nie można całować się z nią na ławce w sąsiednim parku.” No właśnie, w tym sęk. Otóż można, już można, inna rzecz, że nie każdemu się to spodoba, ale wiersze dźwięczą, że najpierw jest ekstremizm, a później jeszcze coś, czego nie można, tymczasem nawet to coś, dawno nie jest już ekstremizmem. Reasumując więcej tu sprawozdania, emocji, niż poezji, chociaż przy innym podaniu i zmianach teoretycznie niewielkich, moglibyśmy uzyskać mocny kobiecy głos. Być może tym mocnym głosem autorki zostaniemy jeszcze zaskoczeni w przyszłości. Na razie ekstremizmów brak.

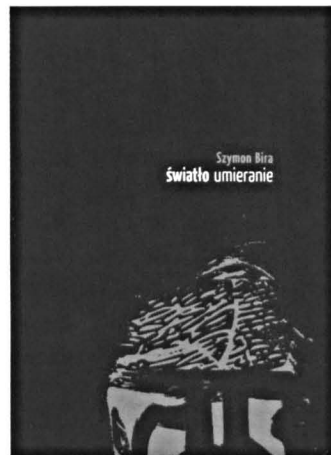
Ewa Furgał, *Ekstremizmy*, Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie „Portret”, Olsztyn 2008.



SZYMON BIRA I ŚWIATŁA UMIERANIE

Szymon Bira, dwudziestolatek z Bytomia wydał tomik poetycki i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie zaskakująca dojrzałość i język wierszy, język oryginalny i nieraz wulgarny, ale już teraz umiejący tę wulgarność dobrze wykorzystać. Bywa i beczelny, ale ta beczelność wiąże się ewidentnie z odwagą poetycką i potrzebna jest do przekazu, jaki Bira nam niesie, nie wynika ona z braku pokory. Autor prowadzi nas po pewnej linii, wie, o co mu chodzi, jest pewny siebie, więc bierze nas za rękę i opowiada, a ma już co nieco do powiedzenia, co bardzo cieszy u tak młodego poety. Te wiersze nie zostawiają czytelnika z satysfakcją, one dają coś znacznie lepszego i ważniejszego, bo niedosyt po przeczytaniu całego tomu to jedna z przyjemniejszych rzeczy, jakie można odczuć po przeczytaniu książki. Bira podejmuje różne tematy, również te najbardziej banalne, jak chociażby miłość, ale sposób, w jaki je podaje, banalny już nie jest i zachęca

wręcz, żeby wejść w ten wsobny świat głębiej i poznać go bliżej. Co ciekawe nie ma w tej poezji uzurpowania sobie prawa do wiedzy, patrzenia na czytelnika z góry, jest młody człowiek piszący z pokorą o sprawach młodego człowieka mnóstwo tego w internecie, bo i dużo młodych pisze wierszyki, czasem chciałoby się rzec, że zbyt dużo. Bira wymyka się im wszystkim i jest poetą, którego dalszy rozwój warto z pewnością śledzić. Czekamy więc na drugą, jeszcze lepszą książkę.



PENSUM ADAMA WIEDEMANNNA

„Pensum” jest kolejną książką poetycką Adama Wiedemanna i widać w tej książce pewne wyrafinowanie, dojrzałość, na którą zresztą w tekście sam autor zwraca uwagę pisząc dość zabawnie i ironicznie o spotkaniu z dziećmi. To pisanie nie jest wydumane, język jest prosty, autor zdecydowanie większą rolę przywiązuje w tej książce do formy i wychodzi z tej konfrontacji zwycięsko. Autor płynie w tych tekstach swobodnie, ale nie jest to przepływanie po tematach, raczej zbieranie na łódź tych mijanych fragmentów rzeczywistości, które wydają się autorowi najciekawsze i nieraz nie sposób się z tymi wyborami nie zgodzić, nie pisze o wielkich rzeczach, здава́ć by się mogło, że pisze wręcz o rzeczach małych, ale z nich właśnie buduje pełny obraz. Dość jednak o wyborach, wypada skupić się nieco na języku, a

właściwie na dykcji, bo o języku już było. Cała masa ukrytych niejednokrotnie metafor składa się na te niebanalne wiersze o przemianach, o tym, co było, ale i co ciągle być jeszcze może lub jest, bo przemiana często zamyka się w tym, co już było, a przecież to nie to samo, co przeszłość. Powiem szczerze, że mam z tą książką niemały problem, bo bardzo ciężko jest o niej cokolwiek napisać, najlepiej byłoby ją poczuć na własną rękę.



PIOTR GOSZCZYCKI PRZED KURTYNĄ ŚWITU

Piotr Goszczycki, jak czytamy w książce, jest mistrzem piekarnictwa, prozaikiem i poetą, jest członkiem kilku stowarzyszeń, sekretarzem jednego z czasopism literackich, pisze około dziesięciu lat. Nie możemy więc wobec autora stosować taryfy ulgowej, bo w jego najnowszym tomiku „Przed kurtyną świtu”, nie znajdujemy niestety wiele, łagodnie mówiąc, ciekawego. Teksty są banalne, wers po wersie wtórność, autor w kilku miejscach zdecydowanie próbuje coś czytelnikowi powiedzieć, ale niestety chyba nie bardzo ma co. Pomijam na razie

sprawę warsztatu, która dla osoby piszącej już ładnych parę lat, nie powinna być czarną magią. P. W. Rudzki w przedmowie tomiku porównuje wers „Państwo to nie zeszyt w kratkę i grą w statki” (w którym poza oczywistą literówką, zauważoną przez Rudzkiego, jest również niezauwa-

żona przez niego nielogiczność, bo oto mamy „Państwo”, które chce być zeszytem i grą w statki, coś tu nie gra) do sformułowania Edwarda Stachury „Wszystko jest poezja”, które jest zabiegiem jak najbardziej celowym, nowatorskim i jednym z najbardziej charakterystycznych dla tego poety. Wracając do Goszczyckiego, niepoprawności tutaj (tym razem abstrahując od tekstu) jest bardzo dużo, znajdują się błędy interpunkcyjne, znajdzie się i ortograficzny, nietrudno znaleźć całą masę bardzo wytartego słownictwa, kalkowanego już tysiące razy, żadnego nowego spojrzenia. Są za to inwersje zupełnie nieudane i niepotrzebne oraz niejednokrotnie brak konsekwencji w zapisie, w kwestii przecinków i wielkich liter na początku wersów, zdarzają się nawet wielkie litery, zupełnie nieuzasadnione, w środku, sama wersyfikacja również pozostawia wiele do życzenia. Moglibyśmy ten tomik przyjąć ze zmrużonym okiem, gdyby były to pierwsze kroki autora, ze zgrozą dowiadujemy się jednak z notki o autorze, że jest to już szósta książka tegoż, trudno więc liczyć, że będzie lepiej.



DO DRZWI PUKA WIATR

Podobnie, jak w poprzednim przypadku, mamy do czynienia z bardzo zachęcającym tekstem „krytycznym” wewnątrz tomiku, tym razem w wykonaniu p. Magdaleny Koperskiej, która pisze m.in. o „niezwykłym udanym debiucie”, o „wzruszeniu, niepokoju i odbijaniu śladu w naszej wrażliwości”. Niestety mam wrażenie, że czytaliśmy zupełnie inne książki. Zaczniemy od kilku

tytułów: „Ust milczenie”, „noc”, „Czas i”, „Przeznaczenie”, „Czeluść”, „Pytania”, „Cywilizacja”, „Koniec”, „Być”, „Było życie”, „Śmierć”, „Czas”, „Szczęście”, „Jestem”, „Życie”, „Smak goryczy”, „Bez ciebie”. I takie są niestety te teksty - wtórne, bardzo wtórne. Autorka nie posiada własnego języka, wszystko to niemal, od początku do końca, to kiepskie kalki z kalek, autorki w tych tekstach nie ma w ogóle, co gorsza, w żadnym z tekstów, których tytuły wymieniłem powyżej, temat nie jest „załatwiony” choćby w części. Wszystkie te teksty wydają się być „trzymiunutowkami”, które autorka, zamiast wracać i wracać, puściła niestety do tomiku. Nie ma w tych tekstach



żadnego warsztatu, są inwersje, o których sensowności i celowości autorka zdaje się nie mieć pojęcia, banał, tautologia, dużo nielogiczności, wyliczanka, nawet błędy językowe, co ciekawe i znamienne dla tego tomu, jedynymi znakami interpunkcyjnymi są w nim wielokropki, wielokropki nadużywane, w żadnym przypadku ich użycia tutaj, nieuzasadnione. Wreszcie brak pomysłu na wersyfikację.

Charakterystyczny dla tomu jest wiersz *Szczęście*: "Żyje we mnie/Szczęście/Słysząc jego echo/Na pustych ulicach/Gdzieś się włóczy/Nocami moje szczęście/Uśmiecha się do księżycy". Wiersz, jakich tu wiele, ba, jak każdy w tym tomie. Nic nowego autorka nie ma nam do powiedzenia, zdaje się nawet nie wiedzieć, jak otworzyć do nas usta.



KRZYSZTOF KWOCZKO

między nami jest jak z marią magdaleną
tuż po odejściu z branży
ja mam jakieś zdanie na swój temat
i ty masz swoje zdanie wyrobione o mnie
lecz między nami jest
jak z marią magdaleną tuż po odejściu z branży
widzieliśmy zdanie napisane na piasku

carceri piranesiego prosi się o wisielca
piranesi prosi by ktoś coś wreszcie zrobił
powiesił się na moście albo rzucił ze schodów
bo choćbyś nie wiem co to nie dojdiesz
nie dogonisz

mój strach nie jest ostrzeżeniem
mój strach się o nikogo nie boi
nie patrzy na mnie znad nocnej koszuli
nie skrzypi na schodach nie nadchodzi
mój strach na imię ma pustkę
pytanie o niepodjęte działania
i jest jak płacz kochanków w brudnym hotelu
kiedy świtają tapety



JOACHIM KOWALSKI

ars artificiosa

od dzisiaj strugamy łyżki

i w ogóle wszystkie beatrycze laury i
delfiny
powinny być gumowo higieniczne

wszyscy uchodźcy emigranci i wygnani
powinni gdzieś niedaleko i zaraz wrócić
na przykład taki mickiewicz mógłby
pojechać do sąsiedniej wsi

dla conrada coś specjalnego
wanna i papierowe okręty

zaopatrzeni w siekiery do pracy precyzyjnej
różnym krokiem przed siebie

dobrze jest oprzeć czoło o chłodny blat
złapać za ucho i móc się napić
łamać długopisy i ołówki

i nikt już nie będzie
plótł trzy po trzy
wianków z bobkowych liści

czemu zrywasz słodką śliwkę
gdy dwie następne spadają na ziemię

Drzwi

I

dla ciebie róża to tylko kolce
chmura to tylko deszcz
dla ciebie piasek jest tylko
w oczach i kasa
zasypując to co ważne

kryształ tylko pęka
w wąską strużkę
obrysowującą dookoła dłoni

stalówka rozlewa
się w pożegnania

uśmiech to tylko grymas
a spojrzenie przeczy słowom
wpędzając między zaułki tego
co naprawdę a tego co
tylko powiedziane

II

wybierasz jedne drzwi
szarość uderza w twarz
odwraca cię na pięcie
to miejsce jest puste
idealnie puste

kolejne drzwi prowadzą
do braku piasku i atramentu
świata który się nie tłucze
do ziemi gdzie wszystko jest
ułożone między
uprawami jednoznaczności

uciekasz szybko
do miejsca zawsze pierwszych drzwi
wracasz i nie żałujesz już
zimnego dotyku klamki
ani drzazg jak
niechcianych wspomnień

III

świat to miejsce gdzie są
i kolce i deszcz

rozumiesz że kaleczysz się
nie dla odłamka czy smugi rysującej
najfatalniejsze możliwości
ale dla tego spojrzenia

teraz kreślisz słowa
zamykasz wszystkie drzwi
tak by zostawić tę całość
- wszystko co naprawdę ludzkie





RAFAŁ SZCZERBAKIEWICZ

GDZIE JEST SZTUKA?

HERBERT WOBEC BANAŁU PRZEDMIOTÓW W LIRYKACH OSTATNICH

Lektury *Epilogu burzy*, ostatniego tomiku w dorobku Zbigniewa Herberta, koncentrowały się głównie na elegijnym wymiarze zawartych w nim wierszy. Większość interpretatorów interesowały, używając sformułowania A. Legeżyńskiej, pożegnalne gesty poety¹. Nie ulega wątpliwości, że odchodzenie, żegnanie się z życiem, refleksja o śmierci są centralnymi problemami zbioru. Wydaje się jednak, że nie tylko samo odejście podmiotu, ale i odejmowanie, znikanie otaczającej go rzeczywistości zajmuje w równym stopniu starego Herberta.

W ostatnim tomie zastanawiający jest niemal zupełny brak odniesień do ulubionego przez poetę tematu europejskiej sztuki. Nieobecność tą podkreśla dodatkowo wyzywająca decyzja autora umieszczenia na okładce tomiku reprodukcji *Burzy* Giorgiona. Tak jakby nieobecność kulturowych odniesień chciał zrekompensować malariskim, metaforycznym komentarzem tomiku. W wielu krytycznych głosach o *Epilogu burzy* skojarzenie tytułu i okładki zbioru próbowano komentować jako aluzję do jego zasadniczych sensów². Jeśli tak, byłby to klucz, który nie otwiera żadnych drzwi, bo obraz z weneckiej Akademii od wieków nie poddaje się werbalnym interpretacjom. Jak sugerowała Agnieszka Tomasik, metaforyczność i niejednoznaczność płótna mogła być przyczyną użycia go przez Herberta³. Już wcześniej w swych esejach jako najcenniejsze traktował poeta dzieła doskonale nieprzezroczyste, nieulegające werbalizacji

(*Biczowanie Piero della Francesca, Martwą naturę z wężem i kłosem* Torrentiusa). Jacek Brzozowski problem interesująco skomplikował. Pamiętając o istnieniu nieukończoności wiersza *Epilog burzy* próbował łączyć tytuł tomiku tak z Giorgionem, jak Szekspirem⁴. Idylliczny, pierwszy plan obrazu i decyzja Herbertowskiego Prospera o rezygnacji z planu historii według niego wzajemnie się dokumentują. Prospero alter ego Herberta, „wybierając Kalibana i wyspę wybrał to, co pierwotne, elementarne i zasadnicze: zdrowy rozsądek, serce, udział w odwiecznym spektaklu natury”⁵.

Jaka jest, zatem, rola sztuki w ostatnim tomiku poety? Przyzwyczajaliśmy się kojarzyć kulturowe zainteresowania Herberta ze szczytowymi osiągnięciami europejskiej sztuki i okładka zdaje się to potwierdzać. Wszakże opisywał on Partenon, metopy ze szkoły Fidiasza, Maestę Duccia, freski Piero della Francesca, by wymienić tylko kilka najbardziej sugestywnych przykładów. Podobnie było też w tekstach poetyckich podejmujących temat wielkich artystów, bądź stanowiących próby poetyckich ekfraz: *Nefertiti, Apollo i Marsjasz* nawiązujący do płótna Tycjana, *Mona Lisa, Pan Cogito spotyka w Luwrze posązek Wielkiej Matki*.

Warto zauważyć, że tak wysokie odniesienia obejmują treść jego dwóch pierwszych eseistycznych tomów *Barbarzyńcy w ogrodzie* i wcześniejszych zbiorów poezji⁶. Ostatnia część eseistycznej trylogii - *Martwa natura z wężem i kłosem* koncentruje się na mniej znanych holenderskich malar-

¹ A. Legeżyńska, *Gest pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej*, Poznań 1999.

² Zob. np. J. Drzewucki, *Sprawy ostateczne, filozofia kaca i szachy*, „Rzeczpospolita” 1998, nr 114; J. Kornhauser, *Uśmiech Sfinks* (w:) *Poznanie Herberta 2*, wybór i wstęp A. Franaszek, Kraków 2000; W. Żyszkiewicz, *Krosna wieczności*, „Magazyn Literacki” 1998, nr 2-3.

³ A. Tomasik, „Nie ma mnie i nie ma”, „Topos” 1998, nr 4.

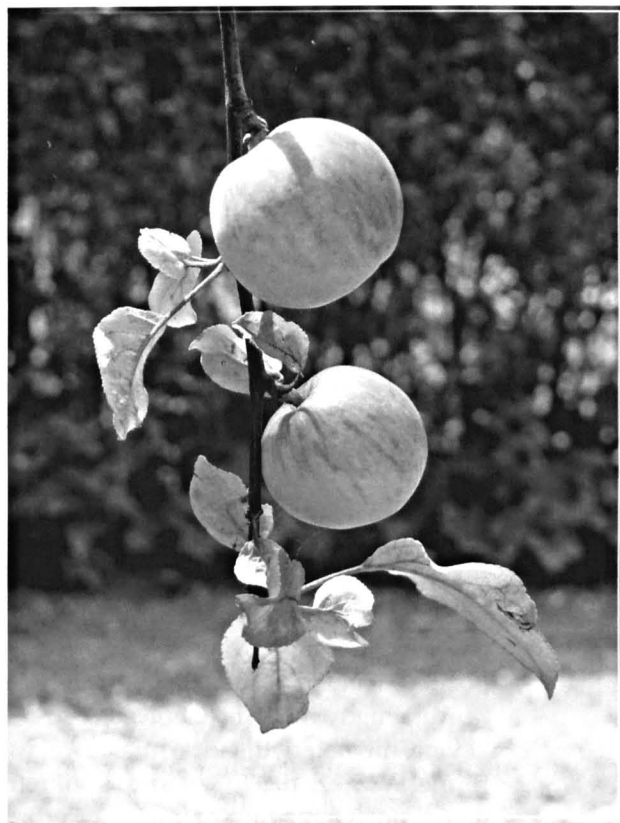
⁴ Z. Herbert, *Epilog burzy*, „Zeszyty Literackie”, nr 70.

⁵ J. Brzozowski, *Epilog burzy* (w:) *Twórczość Zbigniewa Herberta*, red. M. Woźniak-Łabieniec i J. Wiśniewski, Kraków 2001.

⁶ Wyjątki w późnej poezji stanowią ekfraz „Wit Stwos: Usnięcie NMP” z *Elegii na odejście*, z *Rovigo* wiersz *Czarnofigurowe dzieło Eksekiasa* nawiązujący do spodu sławnej amfory z Vulci i inspiracja Carravagiem wiersza *Tomasz w Epilogu burzy*.

rzach. W tomie znajdujemy szkice o Terborchu i Torrentiusie. Z ineditów holenderskiego kręgu znamy nieukończony cykl szkiców *Mali mistrzowie* opowiadający o van Kampenie, Saenredamie, Duysterze⁷. Eseju o ukochanym Vermeerze poeta nie ukończył⁸. Rozpoczęty tekst poniechał świadomie. W radiowym wywiadzie przyznawał, że malarz ten pozostał dla niego nieprzeniknioną tajemnicą, która nie domaga się rozwikłania⁹. Eseiści porzucił projekt niemożliwego tekstu dyskursywnego o Vermeerze. Zamiast tego napisał w imieniu malarza apokryficzny *List*. Podobnie też postaci Rembrandta nie poświęcił osobnego szkicu, zaznaczając delikatnie jego obecność jedynie w apokryfie *Epilog*. Wielkość obydwu malarzy dojrzałego Herberta paraliżowała. Nie miał tych wątpliwości, gdy wiele lat wcześniej pisał o Piero.

W dojrzałej eseistyce XVII-wieczna sztuka niderlandzka była dla poety rewelacją zupełnie nowego świata estetycznych doznań: „(...) malarstwo włoskie jest jak aria, cantata, chóry, pochwała świata, a malarstwo holenderskie to pochwała codzienności, skromność, rzetelność, intymność”¹⁰. Małgorzata Dziewulska próbując nazwać samoograniczenie skali estetycznych zainteresowań Herberta pisała, że *Martwa natura...* jest nauką sztuki powrotu do skali ludzkiej¹¹. Jeśli tak to w decyzji takiej zawiera się pogodna rezygnacja z doskonałości, jakby starość poety domagała się od niego kontemplacji rzeczy mniejszych. Przyjemność czerpana ze sztuki to nieprzeceniony pokrzepiający dar, ale wygasła wiara w ocalającą siłę arcydzieł. Wielka Sztuka nie jest w związku z tym bezwartościowa, nastąpiło: tylko odkrycie jej bezradności, niewystarczalności wobec egzystencji¹². Powinny wystarczać dzieła



📷 Bogumiła Jarecka

skromniejsze, skrojone na miarę zwykłego człowieka. Nieliczne późne wiersze i ulotne szkice podejmujące artystyczną problematykę potwierdzają tę tendencję nie tylko w odniesieniu do Holendrów. Proces powrotu do skali ludzkiej dotyczył właściwie wszystkiego. Mały miasta będące w centrum zainteresowania Pana Cogito-podróżnika. Obfitą w arcydzieła Sienę zastępuje malutkie, prowincjonalne Rovigo - arcydzieło przeciętności. (*Rovigo*, R.) *Synopie* poświęcone są skromnym, rysowanym wprost na ścianie szkicom zniszczonych fresków na Campo Santo w Pizie¹³. Miniatura *Altichiero* jest z kolei próbą popularyzacji nieznanego malarza trecento, którego zasłania wielkość indy-

⁷ Z. Herbert, *Mali mistrzowie*, „Zeszyty Literackie” nr 4 (68) 1999.

⁸ Z. Herbert, *Mistrz z Delft*, „Zeszyty Literackie”, nr 1 (69) 2000.

⁹ Z. Herbert, M. Zagańczyk, *Niewyczerpany ogród*, „Tygodnik Powszechny” nr 34, 1998, s. 9.

¹⁰ Z. Herbert, M. Muskała, *Humanistyka to przygoda*, „Notatnik teatralny”, wiosna 1996, s. 127.

¹¹ M. Dziewulska, *Przywracanie proporcji*, (w:) *Artyści i pielgrzymi*, Wrocław 1995, s. 189.

¹² A. Łężyńska, *Gest pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej*, dz. cyt., s. 116.

¹³ Z. Herbert, *Synopie* (w:) *Węzeł gordyjski*, Warszawa 2001.



📷 Bartłomiej Żyłka

widualności Giotto¹⁴. Inspiracją *Antajosa* w *Królu mrówek* jest nieznana, źle zachowana miniatura Antonia Pollaiuolo.

Dzieła i mistrzowie coraz mniejsi, ale materialna manifestacja przedmiotów sztuki jest w późnej twórczości Herberta coraz silniejsza. Kultura nigdy nie była dla niego abstrakcyjną, niematerialną ideą, miała swoją formę. Wszakże dzieło sztuki to konkretny przedmiot. Obraz zawsze miał dla Herberta wymiar materialny: zapach i fakturę. Katedra zawsze była kamienną budowlą. Opisuując swój ideał doznawania rzeczywistości poeta zalecał: „żebyś nie tylko oczami ale także dotykiem poznał szorstkość ziemi / i abyś całą skórą zmierzył się ze światem” (*Podróż*, ENO).

Zmysłowa obietnica radości zawarta w przedmiotach jest najlepszym powodem afirmacji ziemskiego życia. W eseistyce Herberta od początku był obecny motyw radosnego korzystania ze zmysłowych obietnic świata. Arcydziełom kultury towarzyszyły np. rozkosze podniebienia: trufle w Lascaux; tanie, młode wino w Sienie. W ostatnim tomiku *Brewiarz* trzeci w kolejności jest w istocie modlitwą o idealną ucztę zmysłów: owoc, pejzaż, dziewczynę i śpiew. „Konkret dla Herberta jest miejscem objawienia.

Wcześniej bywały takimi konkretami przedmioty sztuki¹⁵. Teraz już mieszają się w tej prośbie tęsknoty za bardzo różnymi wymiarami rzeczywistości. Chory poeta uwięziony w małym mieszkaniu nie ma dostępu do sztuki. Musi zamiast tego nauczyć się kontentować skromniejszymi wymiarami zmysłowego świata.

Malarstwo, co prawda powraca w ostatnim tomiku, ale pośrednio, jako inspiracja dla poetyckiego daru widzenia świata. Wcześniej w esejach refleksji o sztuce towarzyszyła zmysłowa kontemplacja krajobrazu. Zrozumieć kolorystykę fresków Piera można było tylko ujrawszy tokański pejzaż. Doryckie świątynie były do pomyślenia jedynie w dzikości greckiego krajobrazu. Uobecnienie w tekście niderlandzkiej delty okazywało się koniecznym wstępem do uwag o malarstwie pejzażowym Holendrów. W późnej poezji widzialność świata np. w *Podróży* okazuje się wartością ważniejszą niż przedmioty sztuki. W wierszu dedykowanemu historykowi sztuki - prof. Marii Rzepińskiej tytułowe obłoki z obrazu Ghirlandaja zostają potwierdzone w konkretnym pejzażu Ferrary: „to w nich / a nie w gwiazdach / rozstrzyga się / los” (*Obłoki nad Ferrarą*, R). Zejście z gwiazd ku obłokom, ich miękkiej fakturze, bliżej ziemi jest również sygnałem zwracania się poetyckiej wrażliwości ku ludzkiej skali i odchodzenia od sztucznych rajów sztuki. W nieukończonym poemacie *Epilog burzy* Kaliban i Prospero również kontemplują unoszące się nad nimi obłoki. Herbertowski Prospero wycofał się z planu okrutnej historii. Jest pewien, że sprawy *new brave world* będą - wbrew nadziejom - nieustającym ciągiem intryg i mordów. Także, dlatego pozostał na swej wyspie i czerpie nareszcie „postkolonialną” radość obcowania z dzikusem, który - co w kontekście rozważań godne

¹⁴ Z. Herbert, *Altichiero* (w:) *Węzeł gordyjski*, dz. cyt. W kontekście stosunku Herberta do Altichiera warto przytoczyć wspomnienie o poecie: „Jego wielką pasją był włoski malarz Altichiero, Herbert uważał go - był w tym pewnie element prowokacji - za mistrza większego niż Giotto i chciał ten pogląd upowszechnić. Zamierzał nawet ogłosić w <<Corriere della Sera>> Apel do wszystkich Włochów: <<Skandal! W Padwie wszyscy biegają oglądać Giotto, a nikt nie zauważa, że dwa kroki dalej, źle oświetlony, jest wielki Altichiero!>>”, F. M. Cataluccio, *Il Signor Cogito* (w:) *Poznanie Herberta 2*, red. A. Franaszek, Kraków 2000, s. 36.

¹⁵ J. Łukasiewicz, *Ostatnie książki Herberta*, (w:) *Poznanie Herberta 2*, dz. cyt., s. 91

podkreślenia - ma „zdrowy rozsądek rzeczy”¹⁶. Prospero ucieka nie tylko od historii, ale także do skali ludzkich emocji. Jest teraz daleko od swego Mediolanu, katedry, sztuki. Pozostały mu naiwne wzruszenia zwykłych ludzi. Po odwróceniu się od perspektywy kultury i historii, pozostaje tylko nagie życie. Jak to ujęła Legeżyńska: „(...) przesłanie „bądź wierny Idź” osłabia swój abstrakcyjny wymiar, stając się dla podmiotu imperatywem wierności sobie w wymiarze egzystencji, a nie historii”¹⁷.

Pan Cogito przygląda się otoczeniu swojej starości. W *Epilogu burzy* podmiot jest bierny, statyczny, prawie nie rusza się ze swego mieszkania. Tylko docierające tutaj bodźce mogą obudzić wrażliwość estetyczną poety, stać się materią nowych wierszy. W *Kwiatach* w swoim opisie Herbert zdaje się naśladować gesty twórców holenderskich martwych natur. Utrwalić w wierszu podobnie jak na płótnie bukiet, który zwiecznie, już zaczyna więdnąć i jego piękno zniknie niechybnie z tego świata¹⁸. Zmysłowy, natrętny obraz codzienności w warszawskim mieszkaniu chorego poety ubarwiają: „naręcza kwiatów przyniesione z ogrodu” (*Kwiaty*, EB). Czułość i współczucie wobec pięknych, lecz śmiertelnych jak człowiek przedmiotów jest impulsem utrwalającym je w poezji. Zdecydowanie ładnych rzeczy jest jednak w otoczeniu poety niewiele.

W rzeczywistości choroby przykuty do łóżka poeta pisze wiersze, których inspiracją bądź bezpośrednim tematem staje się monotony pejzaż za oknem (*Piosenka, Pica, pica L., Pora*; EB). W *Strefie lirycznej* przedwieczne światło widoku na park i mur ewokuje wspomnienie wysokiej sztuki, kolorystyki Corota. Zamiast dotychczasowej relacji podmiot i przedmiot sztuki, podmiot obdarza swą wzmogoną uwagą

widoki najbanalniejsze. Wydaje się, że tytułowa *strefa liryczna* nie domaga się już wcale estetycznych spełnień z przeszłości. Nietrwala kolorystyczna impresja zza okna jest równie ulotna jak dusza podmiotu, równie niepochwytana jak tajemnica sztuki, jej doskonałego piękna: „jak uśmiech Giocondy / etruskich dziewcząt / uśmiech Sfinksa” (*Strefa liryczna*, EB). Warto odnotować, że Herbert wymienia arcydzieła milczące tak samo uparcie, jak *Burza* Giorgiona.

Intrygującymi i niejednoznacznymi elementami elegijnych spotkań z materialnością świata stają się w otoczeniu starego Herberta przedmioty związane z technologicznym aspektem naszej cywilizacji. Już w *Elegii na odejście pióra atramentu lampy* było oczywiste, że nie każdy przedmiot godny jest uwagi i afirmacji poety. Rzeczy muszą być *cieple, wierne*, co oznacza, że podmiot i przedmiot łączyć muszą wspomnienia, silne emocjonalne więzy, estetyczne upodobanie materialnego kształtu rzeczy. W *Elegii...* nieprzecenionym, godnym atrybutom pisarskiej profesji przeciwstawione są przedmioty „bez wdzięku / imienia / przeszłości”. Obiekty nowe, nowoczesne nie są ani piękne, ani cenne, ani wyjątkowe, niepowtarzalne. Banal naszych czasów w wielkim skrócie wyrażają „głupiopisy” - materialny wyraz duchowej jałowości współczesnej kultury¹⁹. Warto podkreślić, że prześmiewcze, pejoratywne określenie głupopisu nie ma na celu wyłącznie jego dyskredytację wobec tradycyjnych walorów pióra i atramentu. Wszakże zdradziliśmy „ogrody rzeczy”, przedmioty pełne godności odeszły już na zawsze a zatem chcąc nie chcąc skazani jesteśmy na „głupiopisy”. I ta gorzka świadomość jest silnie manifestowana w *Elegii*.

¹⁶ Z. Herbert, *Epilog burzy*, „Zeszyty Literackie”, nr 70, s. 92.

¹⁷ A. Legeżyńska, s. 113.

¹⁸ O materialnym pięknie kwiatów, które burzone jest przez niepokojącą świadomość ich więdnienia jako bezpośredniej inspiracji wiersza pisała: K. Pietrych, *W strefie lirycznej. O kilku wierszach z „Epilogu burzy”*, (w:) *Twórczość Zbigniewa Herberta*, dz. cyt., s. 307.

¹⁹ Pisząc o rekonstrukcji poetyki późnej liryki Herberta jeden z krytyków wskazywał, że tego rodzaju poetycki zabieg, jak gra językowa dotąd był nieobecny w twórczości. Zob. A. Poprawa, *Zmęczenie Pana Cogito* (w:) *Formy i afirmacje*, Kraków 2003, s. 96.

Szczególnie wyraźnie widać, że wyrok już zapadł w tomiku ostatnim. Ulotne są tutaj ślady przedmiotów kultury, wszechobecna hegemonia atrybutów współczesnej cywilizacji. Część krytyki pisała w kontekście tych wierszy o braku złudzeń, co do znijania wartości²⁰; o sceptycyzmie Herberta biorącym się z poczucia skarcenia „naszych czasów”²¹; o zagrożeniu dehumanizacją i - w konsekwencji - śmiercią kultury²². Wydaje się jednak, że sam poeta nie jest tak kategorycznie krytyczny wobec ba-nału swego otoczenia.

W *Epilogu burzy* Herbert modli się o zdania: „rozległe tak by w każdym z nich znalazło się lustrzane / odbicie katedry, wielkie oratorium, tryptyk” (*Brewiarz (II)*, EB). To wygląda na prośbę o udane, poetyckie reprezentacje dzieł architektury, muzyki i malarstwa, o godność poezji. Ale zaraz, jakby pomny coraz większej homogenizacji, równouprawnienia rzeczy tego świata, dodaje do tej błagalnej listy m.in. dworce kolejowe. Już w tomiku *Rovigo* konstatawał ohydę a zarazem nieodwracalność osaczających go bloków mieszkalnych: „Przekroczyły horyzont zbliżają się nieuchronnie / aby zdobyć twoją i moją katedrę”. (*Widokówka od Adama Zagajewskiego*, R).

Podmiot jednego z pierwszych wierszy, *Epilogu...*, wyznaje, że całe życie, był: „śmiertelnie skupiony na ciągłym poszukiwaniu drobiazgów” (*Brewiarz (I)*, EB). Tonął w „kramie życia”, ale drobne przedmioty na szczęście przesłaniały mu chaos, zagubienie, anulowały egzystencjalny lęk.

Bądź pochwalony, że dałeś mi niepozorne guziki szpilki, szelki, okulary, strugi atramentu, zawsze gościnne nie zapisane karty papieru, przezroczyste koszulki, teczki cierpliwe, czekające

[*Brewiarz (I)*, EB]

Pomiędzy wymienionymi przedmiotami o nieokreślonym wieku i wyglądzie znajduje się jeden zdecydowanie nowoczesny: celofanowa obwoluta z podręcznego segregatora. Herbert kojarzy się łatwo z sentymentem do starych szpargałów: szelek, guzików, jednak „przezroczyste koszulki” zaskakują. Akceptowany jest przedmiot bez charakteru, który ułatwia porządkowanie literackiego warsztatu. Podobnych niezbędnych w życiu drobiazgów wytworów cywilizacji technologicznej - jest w ostatnim tomiku zaskakująco dużo.

W tym samym *Brewiarzu* Herbertowskie „ja” dziękuje za przedmioty podtrzymujące go przy życiu m.in. za strzykawkę, kroplówkę, wenflony, pigułki „które są dobre, bo proszą, przypominają, zastępują śmierć” (*Brewiarz (I)*, EB). Pigułka zamiast śmierci. Podobne udogodnienia naszej paliatywnej cywilizacji nie były dotychczas przedmiotem akceptacji i afirmacji autora *Jonasza*. Elegijna strategia ostatniego tomu przywraca do łask rzeczy bez wdzięku i przeszłości. Jeśli jeszcze można, choćby przez chwilę, żyć dzięki technologicznym udogodnieniom medycyny, nie sposób w całości odrzucić „Nowej rzeczywistości”. A tak nazywał burzącą naturalny ład życia inwazję medycznej techniki stary Iwaszkiewicz w *Mapie pogody*²³.

Czasami mogą ocaleć w poezji przedmioty zupełnie trywialne, jeśli tylko ich wartość jest silnie związana z władzą pamięci podmiotu. Zupełnie nowym elementem doświadczenia Pana Cogito stają się w jednym z wierszy dodatki ilustrowane czasopism, które, jak to przekornie ujmuje poeta były „ważnym dodatkiem” życia (*Dalida*, EB). Kariery i upadki medialnych gwiazd na kolorowych stronach były perfidnym pocieszeniem codziennej, szarej egzystencji. W tym samym wierszu podobną funkcję pełnią „cmentarze płyt

²⁰ K. Nowosielski, *Krajobraz z połamanymi kolumnami*, „Nowe Książki” 1998, nr 8, s.39.

²¹ J. Kornhauser, dz. cyt., s.107.

²² A. Legeżyńska, dz. cyt., s.118.

²³ J. Iwaszkiewicz, *Wiersze*, t. II, s. 560. Przy okazji można zauważyć, że opisywany przez Iwaszkiewicza alienujący charakter szpitalnej nowoczesności i przerażającej kondycji starego współczesnego pacjenta w wierszu *Nowa rzeczywistość* jest o wiele ostrzejszy od łagodnego godzenia się z losem i podobnymi przedmiotami starego Herberta w *Brewiarzu (I)*.

gramofonowych", wypełnione starymi nagraniami gwiazd muzyki popularnej lat 70.: Dalidy, Haliny Kunickiej, Ireny Santor określanych przez poetę jako „dobre wróżki”. To, łagodnie mówiąc, zaskakujące zestawienie gwiazd zmierzającego PRL-u było otuchą na miarę arcydzieł wysokiej kultury, wszakże „dzięki nim / tyrania upiększona / została / piosenkami”²⁴. Nie tylko ironia konstruuje ten wiersz skoro „należało się im / słowo dziękuje / czule miejsce w pamięci”. Ich nagrania pomagają w orientacji w datach życia Pana Cogito, a więc zapewne lata edycji płyt kojarzą się z epizodami osobistej biografii - „drobiazgi, ożywiające dawne wzruszenia”²⁵. Z pewnością obecny jest w tym wyznaniu element autoironiczny, świadomość skazania na pospolitość PRL-owskiej pop-kultury, ale przywoływane wspomnienie jest zaskakująco ciepłe, by nie powiedzieć sentymentalne.

Już w *Elegii na odejście...* poeta konstatował: „zostało mi niewiele / bardzo mało / przedmioty / i współczucie”. To zestawienie bardzo wysoko waloryzuje przedmioty, także w tym sensie, że za pośrednictwem ludzkich intencji jest w nich zawarte nasze współczucie.

*Cóż ja z tobą czułości w końcu począć mam
Czułości do kamieni do ptaków i ludzi*

(*Czułość*, EB)

Nie zawsze jednak banał współczesnych przedmiotów jest łatwy do zaakceptowania. Można powiedzieć, że aprobaty dostępują nieliczne przedmioty: wybrane, przyjaźnie zaczepione o ludzki los. Szczególnie, gdy w obręb Herbertowskiego świata wkrada się dehumanizująca wszystko technologia wzmacnia się nieufność. Wyimaginowanej nocnej rozmowie z przeby-



📷 Bartłomiej Żyłka

wającym w zaświatach Thomasem Mertonem pośredniczy w wierszu telefon. Technologiczny sposób kontaktu zmysłowego i pozazmysłowego jest oczywiście ironiczno-sceptycznym naigrywaniem się poety z new age-owych i hinduistycznych zainteresowań (*ergo* złudzeń) ojca trapisty. Herbert jest przecież piewą przywiązania do konkretnego, ziemskiego wymiaru istnienia, przedmiotu:

*slaby ze mnie
piastun nicości
nigdy w życiu
nie udało mi się
stworzyć
przyzwoitej abstrakcji*

(*Telefon*, EB)

Stary poeta kieruje ostrze ironii także przeciwko sobie. Duch Mertona przedziera się do naszego świata „przez nieprawdopodobne zasieki / mgły i drutu” - czyli dwoma kanałami: tradycyjną drogą wyobrażenia o poczynaniach duchów i drugą pozornie materialną ścieżką: elektromagnetycznego impulsu w telefonicznym kablu. Czy Herbert nie chce tu powiedzieć, że wiek informacji wyzwala w ludzkim podmiocie potrzebę nowego wymiaru irracjonalności, potrzebę TechGnozy?²⁶ Czy może raczej zasieki z drutu są przeszkodą

²⁴ Niektórym czytelnikom późnego Herberta jest bardzo trudno pogodzić się z banałem adorowanych przez poetę przedmiotów. Rozumieją, zatem późne elegie wyłącznie z gorzkiej i ironicznej perspektywy: „To, co niskie, pospolite, wulgarnie, agresywne – bezwstyd duszy ze strony jednej, fizjologia z drugiej – zatrąwa sen klasyczny poezji Herberta udręczającymi zwidami: figurami nicestwa”, T. Burek, *Dziennik kwarantanny*, Kraków 2001, s. 102.

²⁵ A. Legeżyńska, dz. cyt., s. 127.

²⁶ zob. E. Davis, *TechGnoza. Mit, magia + mistycyzm w wieku informacji*, przekł. J. Kierul, Poznań 2002.



📷 Bartłomiej Żyłka

dla poetyckiej wyobraźni, dla wyrażania tego, co niewysłowione? Z pewnością ekspansja odhumanizowanej nowoczesności nie jest dla poety pocieszająca. Połączenie kultury i technologii w multimedialnej epoce wydaje mu się ograniczeniem dla ludzkiego z gruntu ducha imaginacji, fantazji. „Trzeba na nowo rozpocząć wędrówkę wyobraźni” pisze w wierszu *Szachy*, który jest najpewniej reakcją na zasłyszana informację o pierwszym w historii zwycięstwie nad mistrzem świata Kasparowem superkomputera Deep Blue. „Potwór maszyny” pokonał z „olimpijskim spokojem” człowieka.

Pośród uobecnianej w późnej poezji jałowości i banału przedmiotów nowych dość szczególną rolę pełnią nogi księżniczki Diany. Nie jest to typowy obiekt w uniwersum Herbertowskich przedmiotów. Ale właśnie jego ontologiczna niepewność dobrze ilustruje świadomość starego poety, co do symulacyjnego charakteru otaczającej nas ponowoczesnej rzeczywistości. Poeta opisuje w końcu osobistą relację z jednym z najpotężniejszych medialnych mitów XX wieku. Podmiot zadaje sobie racjonalizujące pytanie, co go właściwie obchodzą te nogi – ale pytaniem tym odsłania i zaświadcza najlepiej, że obchodzą i pociągają. Tak zresztą jak w innym tekście w ogóle młode kobiety „nagle dojrzone w tłumie na schodach bazaru w labiryncie metra z okien pojazdów” (*Przysięga*, R). Tak jak w przypa-

dku tych dziewczyn („czystego źródła radości”) jego zainteresowanie Lady D. ogranicza się właściwie do zmysłowej kontemplacji cielesnego piękna. Zgrabne nogi były miarą jej kobiecości „jak uśmiech Nefretete” (*Diana*, EB). Herbert ironicznie hiperbolizuje ich wartość. Wzorzec erotycznego ideału jest dla niego jak wzorzec „czasu i przestrzeni / złożony w Greenwich”. Urzeczowienie obrazu księżniczki podkreślone jest przez fragmentację jej ciała. Relacja z cielesnym pięknem zapośredniczają przecież media skupiające się na zewnętrznych atutach obiektów powszechnej adoracji. Poeta ma trudności z jednoznacznym określeniem ontologicznego statusu tego przedmiotu. Wcześniej rzeczono nogi „stanowiły jeszcze niewyobrażalną całość”. Łatwo się domysleć, że wcześniej oznacza tutaj: przed jej śmiercią, przed wypadkiem, który doprowadził do dekompozycji medialnego ideału, zniszczenia pięknego quasi-przedmiotu. We wspomnieniu pozostał tylko wzorowy kształt. Najwyraźniej jednak także przed wypadkiem „niewyobrażalne” istnienie księżniczki sprowadzało się wyłącznie do fetyszu jej nóg. Herbertowskie „ja” musi samego siebie przekonywać, że cała księżniczka była prawdziwa. Te próby racjonalizacji nie prowadzą go ku samej rzeczy, ta pozostaje nieobecna. Dla podmiotu mówiącego w tym wierszu liczyły się tylko nogi: „reszta była hipotetyczna”. Medialne osobowości nie są rzeczywiste, właściwie należy powiedzieć, że są hiperrealne. W tym niezwykłym jak na Herberta wierszu w jakiejś mierze kompromitowana jest iluzoryczność wielkości bohaterów masmediów. Ale chyba istotniejsze jest samoobnażenie podmiotu, który przyznaje, że na starość pozostaje w domowym łóżku więźniem kolorowej prasy i elektronicznych mediów. Esteta opisuje zmysłowe piękno odnalezione nie w galeriach, ale na ekranie telewizora. W obliczu zbliżającego się kresu swej materialności cieszy się nawet zmysłowymi pozorami rzeczy. Przekroczyć przerażenie nicością można tylko dzięki przedmiotom, nawet tak kompro-

mitująco banalnym.

O konieczności rzeczy opowiada finalna *Tkanina*. Wydaje się, że trafniejszy jest zapis ostatniej strofy *Tkaniny* zaproponowany przez redakcję „Zeszytów Literackich”²⁷.

*stuk jednostajny
odmierza lata wyspy wieki
by wreszcie przenieść na brzeg niedaleki
czołno i wątek osnowę i całun.
(Tkanina, EB)*

Obecność motywu tkania przywołuje tutaj na pamięć mit o Parkach, ale też ten o Penelopie²⁸. Życie jest z pewnością delikatną i kruchą tkaniną. Ale poza planem mitycznym dla Herberta istotna jest zmysłowa przyjemność tkaniny samej w sobie, przywiązanie do materialności świata. Herbert z pewnością miał jasną świadomość, że *Burza* Giorgiona to obraz olejny malowany na płótnie. Powtórzmy raz jeszcze, ostatnie, co nam w życiu zostaje: współczucie i przedmioty. Bohater przywołwanego już apokryfu *Epilog*, kupiec bławatny Cornelis Troost dobrze o tym wiedział. Umierając nie mógł pogodzić się z teologiczną, nie-materialną koncepcją zaświatów. „Absolutnie nie był w stanie zrozu-

mieć, jak można istnieć bez domu, bez skrzypiących schodów i poręczy, bez zasłon i świeczników. A także bez tkanin, wśród których spędził całe życie”²⁹. Dotychczas nie myślał o śmierci i żył w bezpiecznym schronieniu swych „ciepłych i wiernych” przedmiotów. W późnej twórczości Herbert nieustannie powtarza, że nic nie chroni lepiej od grozy śmierci niż iluzja trwałości i nieśmiertelności otaczających nas przedmiotów. Ostatni wiersz jest w związku z tym karkołomną próbą połączenia wymiaru materialnego z nieodwołalną, cierpliwą pracą Parek. Oczywiście pewności ulubionych rzeczy podmiot całego tomiku nie ma: „nie wiem, co mi jest dane, a co odjęte na zawsze” (*Czas*, EB 62) Przenoszenie na drugi brzeg zarazem czołna i wątku, osnowy i całunu jest zaledwie intencją, dążeniem do przewyciężenia zasadniczej opozycji materialności i niematerialności, nicości. Tkanina życia musi być uzupełniona projektem tkaniny śmierci. Urzeczowienie, wypełnienie toposu śmierci kreatywnym ruchem tkackiej metafory wydaje się w tym ostatnim wierszu przeciwstawieniem odejmowaniu bycia i rzeczy w kończącym się życiu.



📷 Bogumiła Jarecka

²⁷ Interesujące rozważania o odmianach tekstów w ostatnim tomiku Herberta znaleźć można w tekście J. Brzozowskiego, dz. cyt.

²⁸ Zwrócił na to uwagę, J. Brzozowski, dz. cyt., s. 297.

²⁹ Z. Herbert, *Epilog*, dz. cyt., s. 180.



ROBERT KONCA

Dziadkowi Zygmuntowi Skłodowskiemu na drogę

nie chcę mówić o Tobie
w czasie przeszłym

kolejna odsłona
prywatnej walki z przemijaniem

od kiedy pamiętam
jesteś dobrotliwym patriarchą
pełnym energii i pomysłów
świadkiem historii świata
i skrawka tej ziemi
na której zbudowałeś swój dom

teraz przyjdzie nam
rozmawiać z cieniem na podwórzu
patrzeć jak szczęśliwe psy
łaską się do Twojej niewidzialnej postaci

formy niszczej
każde ciało w końcu
odmawia dalszej współpracy
ale życie jest nieśmiertelne
przenosi się z miejsca na miejsce
swobodnie niczym wiatr

jesteśmy tylko ogniwami
w łańcuchu przemian
pyłem wobec nieskończoności
a jednak bez nas, dziadku
istnienie galaktyk straciłoby sens

dlatego nie mówię : żegnaj
mówię : do widzenia...

Droga - sen o Zbigniewie Herbercie

Zasnąłem w fotelu
Czekając na burzę

Kiedy się obudziłem
Siedziałeś przy stole
Z dobrotliwym wyrazem twarzy
Starego mistrza
Który już wie
Że życie sen i śmierć
Są jak światłoczułe detale
Tego samego obrazu
Widoczne albo ukryte
W zależności od mocy blasku oczu
Obserwatora

Kiedy Dionizos rozlewał wino do kieliszków
Powiedziałeś z uśmiechem :
Droga mędrca
Nie jest drogą ku dobru
Ważne jest jednak
Aby rzeczy nazywać po imieniu
Gdy większość dla swej wygody
Karmi się kłamstwem

Wypiliśmy wino
I nagle huk grzmotu
Obudził mnie po raz drugi

Ciebie już nie było
Burza śpiewała epilog
Żarówka zgasła

Miedzy strunami błyskawic
Ujrzałem drogę



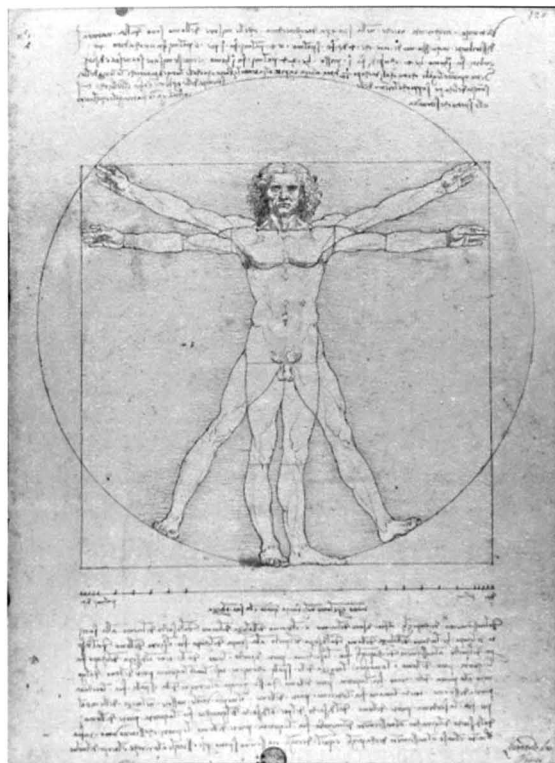
RAFAŁ JAWORSKI

KATAKUMBIA I SWOŁOCYZM

Jeśli nie chce się być prorokiem i nie kusi akt poznawczy, aż obsłizgły od obiektywizowanej prawdy, jeśli nie chce się być chromym herosem poznania samego siebie, czy też cywilizacyjnym barometrem, to po kiego... czorta zajmować się czynnie poezją, zmagać z formą? To rozbudowane pytanie jest fundamentalne. Sytuacja kulturowa zmieniła się diametralnie i model poety wieszca, poety sumienia, poety kreatora - zdechł na śmieszność. Po co się pisze, czego od pisaniny oczekuje? Poezja obecnie to skansen, skamlenie o uznanie wyjątkowości, której to aspiracji gro ludzi nie rozumie. Zasługuje więc na wzruszenie, ale... ramion zbiorowości.

Przemijamy w mediokracji. „Czwarta władza” zrealizowała ambicje większe, niż sprawowanie kontroli nad wszelką władzą. Wystarczyło znarkotyzowanie konsumennej masy „skrętami” tańców z gwiazdami, oblesnym podglądactwem, szprycami tasiemcowych seriali, markсовymi obietnicami „lepszego jutra”. A młodzież przyspawała się do plazmy monitorów, z których wirtualny świat wchłania bunt jej młodości. Ta cywilizacyjna „transowość” oznacza eliminację tłumu jako podmiotu, który mógłby aspirować do korzystania z prawa do prawdy. Media „zarządzają informacją” zamiast ją podawać. Są integralną (akceptowalną lub przeoczoną przez ogół) agendą władzy ustawodawczej, wykonawczej (egzekutorskiej), sądowniczej. Byłaby to nieistotna przypadłość, ale media kreują samą Rzeczywistość w jej przejawach przymiotowych, a poprzez to ingerują w tzw. „sedno rzeczy”. Mają konkretną wizję; musztrują opinię publiczną. Egzekutorami tejże „przeźroczystej władzy” są i starzy wyjadacze miodu, dziennikarskie szczury, i „młode wilki” żurnalistyki.

Poezja jest sztuką a-medialną. To warunkuje i zakłada jej marginalizację, zepchnięcie w zaścianek, domenę grupki wrażliwców, słowo-lejców, czy też słowo-patów.



Współczesne „słowo wiązane” trwa w diasporze. Getto zakłada formy przetrwalnikowe, boczny tor drogi do umysłów i serc społeczności. Takie trwanie rodzi rachityczne formy konsekwencji tegoż kazirodu, duszenia się we własnym sosie.

Poezja jest sztuką a-medialną. Stwierdzenie brzmi jak wyrok: - bez możliwości odwołania się do instancji wyższej. Wyrok sądu bez adwokata, którego trudzenie w tej sprawie jest bez sensu. Tylko koncepcja określenia „naszej” cywilizacji jako eonu pieniądza, jedynego miernika wartości może konkurować w trafności z teorią mediokracji. Obie się uzupełniają, z siebie wynikają. Tak to zelektronizowana ludzkość zmierza do neo-totalitaryzmu, największego w dziejach: - tyranii szczęśliwej posłedniości. Opresyjność zrębów pseudodemokracji niweluje ponętną iluzją wolności. Otrzeźwiają symbole: - NIP, 666, PESEL, CV i list motywacyjny. Starczy: - nie trzeba



Brukseli i MFW.

A tu i teraz, mimo materialnego wzrostu, respektowania praw obywatela i ucznia, mimo prawa do pracy i godnego życia na koszt ogółu, prawa kalek do integracji ze zdrowymi, fundacji dla zdolnych a biednych i przystani dla bogatych, ale na dnie na progu nowego tysiąclecia, człowiek jest szczęśliwy inaczej. Jego życie penetrują produkty przemysłu i usług: - traci elementarne poczucie bliskości otaczającego świata, jego nadrzędnych sensów.

A właśnie ta a-medialna poezja przywraca więc z tym, co jest: - przywraca właściwą hierarchię zachowań i konstrukcję uniwersum. Towarzyszyła człowiekowi przez tysiąclecia. Pieśni króla Dawida, mimo upływu trzech tysięcy lat, są nadal żywe i rzesze wyznawców, śpiewają je w antyfonach Mszy Św. Postępująca desakralizacja ery postindustrialnej i tą perłę przeżywania świata może zamknąć w szklanych gablotach ekspozycji do zwiedzania (tak jak teraz w muzeum archidiecezji gnieźnieńskiej ogląda się ryt trydencki). Ze słowem pisarza świat liczył się jeszcze w drugiej połowie XX-ego wieku (casus A. Camusa), jeszcze brzmiało w sprawach publicznych, było wektorem sumień, nie poddawało się prawom rynku na równi z pudami paszy i baryłkami ropy.

Czym jest poezja? zwykle odpowiadam: - za-

wsze „czymś więcej”, ale definicja takiego pojęcia wymaga niezwłocznie jej przekroczenia. Podjęcie się wyjaśnienia tego pojęcia, dowodzi pychy określającego, ale mierzenie się z Niemożliwym jest formą najwyższą godności człowieka ostatecznej troski o świat i jego w ludziach ludzkie oblicze.

Historia literatury przytacza wiele definicji poezji. Każda zawiera jakąś cząstkową prawdę, każda pozostawia niedosyt; to właśnie „czymś więcej”. Platon pisał, że w poetów „bóg wstępuje i oni w zachwyceniu te piękne poematy mówią”. Osiem wieków później, Pseudo-Dnionizy Aeropagita powie, że „rzeczy widzialne są obrazami niewidzialnych”, czyli każda rzecz i zjawisko ma znaczenie ukryte i wyższe. W myśl takiej koncepcji poznanie staje się nieustannym odkrywaniem innego sensu postrzegania zmysłowego. Średniowieczny symbolizm zaczynał się na poziomie słów: nazwać rzecz to ją wyjaśnić postulował Izidor z Sewilli. I tu wypływa funkcjonalna rola poezji: stróża, odkrywcy i depozytariusza „prawd pierwszych”, istoty rzeczywistości. „Poezja to umiejętność ujmowania w formę związaną treści poważnej i ważnej”, tak w XII tym wieku nauczał Mateusz z Vendome. Wiek XX-ty rozbił formę, odkrył formy nowe, ich mnogość, aż do... anty-poezji. Następnie zakwestionował ufność do języka, jego adekwatność do realnie istniejącego uniwersum. Dorzucił względność prawd. Stało się najgorsze: - ośmieszenie sensu, treści ważnej. Najbardziej adekwatnym z wszystkich określeń poezji wydaje się lapidaryzm R.M. Rilkego: - „wyrażanie niewyraźnego”. Przekładając ten oksymoron na język dyskursywny, poezja to ustanawianie w słowie bytu w całej jego nieuchwytności, przekraczanie pojęć nauki, zdroworozsądkowych dookreśleń, tworzenie sensu, który znowu trzeba weryfikować metaforycznie. „Wyrażanie niewyraźnego” to esencja liryki.

Pojęcie poezji, jako niedefiniowalne (w zdaniach logiki) postaram się rozczłonkować, wielostronnie oświetlić. Najprościej można wyodrębnić w nim trzy aspekty:

- po pierwsze jest stanem świadomości, czy też pewnej nadświadomości konkretnego człowieka; stanem wcześniej przez niego niepojętym, obcym a jednocześnie jawiącym się jako jawne i brutalne przekroczenie własnego ograniczenia; stanem błogiej łaski i przekleństwa zarazem, fascynacji i trwogi, doznaniem czegoś nowego a jednak w jakiś sposób już zażyłego;
- po drugie jest tym, co wyrażone, formą wypowiedzi, zespołem środków językowych, który winien wskazywać na przeżywany i istniejący świat pozajęzykowy: - poezja jest sztuką, ars (tak jak przedstawiał to E. Pound), trzeba się jej uczyć, choć nie ma żadnej szkoły poetów, a wszelkie warsztaty twórcze są złudzeniem kształcenia;
- po trzecie jest tym, co w człowieku działa, zmienia system pojęć, wartości, postaw, unosi na inny stopień świadomości: - ontologicznej, epistemologicznej i etycznej (dotyczy to zarówno twórcy jak czytelnika); - dobry wiersz, którego ziarno pada na odpowiednio przygotowaną glebę serca i umysłu może mieć moc ewangeliczną.

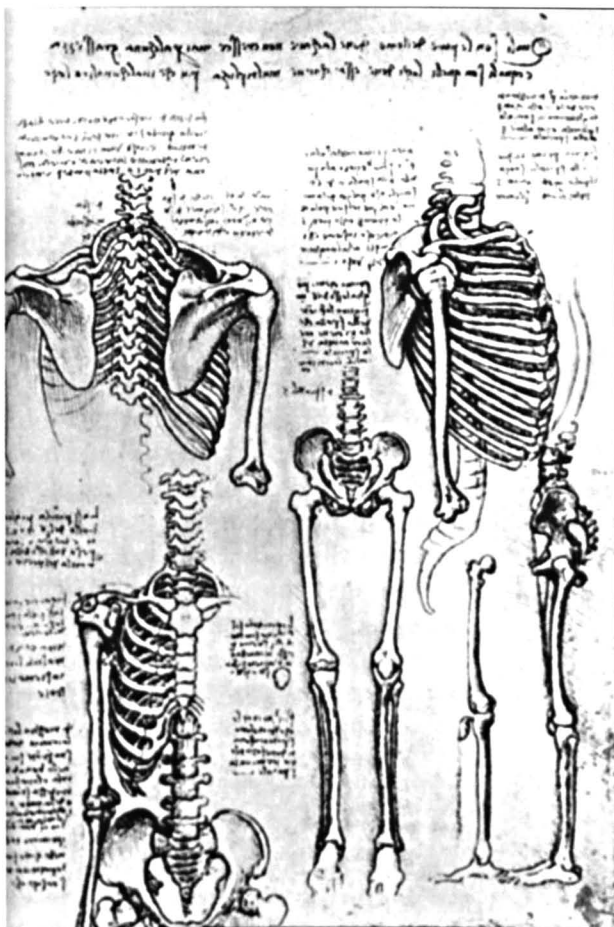
I dopiero te trzy aspekty splecione ze sobą dają obraz czym jest to „czymś więcej”, na jakich zasadach może funkcjonować rilkeńskie „wyrażanie niewyraźnego”.

Stany poetyckie nie są przywilejem „elity”.

Przeżywa je każdy, nawet handlarz żywym towarem i łapówkarz, ale tylko poeta potrafi je zapisać, formować. Taki akt poznawczy (przeżyty lub przyswojony) każdego człowieka może zmienić, ale człowiek ma wolę i jej przyzwolenie jest tu niezbędne. Znakiem naszych czasów jest perfekcjonizm w zagłuszeniu tych odczuć, odrzucanie Nieznanego przez utylitarny racjonalizm lub jakieś mistycyzmy na poziomie wróżenia ze szklanej kuli. Niemalą rolę odgrywa małosłowny lęk przed zaangażowaniem całego siebie w „Coś obcego”: - rezygnacja z piękna, prawdy, miłości na zasadzie, że lepiej być ślepym, niż oswajać cierpienie.

Ważne jest to, co poezja „robi” z człowiekiem, aspekt etyczny i metafizyczny. Nagminnie funkcjonuje wierszowanie bez odniesień

aksjologicznych: - „poezja dla poetyczności”, czyli frakcja „poezji czystej”. Tylko należy zapytać: - czy wyrażanie stanu wywołanego z motywów kulturowych, filozoficznych, religijnych, politycznych wreszcie, z całego aparatu intelektualnego nie jest przejawem eskapizmu? Bo jeśli poezja to przejaw całościowego zaangażowania w świat i w siebie w tym świecie, to winna przenosić wszystko co ważne, aktualne i osadzać to w ponadczasowym, wspólnotowym. Odpowiedzialność nie może być prawdziwej poezji obca: - ma oświecać i pośrednio wskazywać wartości. Nie może to być katechizm z metafor i synekdoch. Poezja musi operować kontekstem i ironią, by stwarzać w chaosie jedność przeciwieństw, winna być agenturą prawdy. Należy wspomnieć o bliskości poezji i filozofii. Obie wyrażają sądy najbardziej ogólne, choć posługują się innym aparatem dowodowym i do



innych sfer człowieka te prawdy adresują; same akty poznawcze poety i filozofa są bliźniaczo podobne.

Poezja współczesna, nieprzystająca do praktycyzmu zarządców mass-mediów, rozbija się na dwie frakcje: - tworzy księstwo Katakumbii lub przeradza się w pospolitość swołoczizmu. Nie wiem czy Katakumbia już istnieje jako struktura osób żywych, nie znam jej dyscypliny arcani. Ledwie je przeczuwam, tak jak „dziejową konieczność” Księstwa tegoż zaistnienia. Istnieją podziemne korytarze dla wygnanców i można tam zastawić stół ofiarny, który będzie się ugiął od czerstwych bochenków prawdziwej agape. Czym cechuje się zejście do katakumb nie trzeba zbytnio tłumaczyć: - klęską przy jednoczesnym triumfie tzw. pneumy.

Słowo uroczyste jest konieczne, bowiem „Słowo stało się ciałem” i warunkuje istnienie cielesno-duchowej osoby. Zresztą nawet anty-autorytet Katakumbii Z. Freud - napisał „że pierwszy człowiek, który zamiast włóczy użył przekleństwa jest twórcą cywilizacji”. Tak więc słowo i Słowo warunkuje dalsze istnienie człowieka jako osoby. Istnienie zakłada przestrzeń, więc i przestrzeń między-słowną¹.

Swołoczizm jest w zasadzie jawny, sam się obnaża i się tego nie wstydzi. Warto jednak wyłuszczyć jego cechy w domenie poezji:

1. Kreowanie „drogi słowa” (czyli wiersza) od konkretnego metaforyzowanego do złożonego z nim współrzędnie innego konkretnego podobnego typu. „Drogi”, której pointą nie jest konstatacja uogólniająca, więc nie znaczy więcej niż sam szum tej „słownej drogi” wersetów;
2. Ckliwość, unikanie promocji postaw heroicznych, strach przed cierpieniem (nawet poznawczym)
3. Zacieranie napięcia metafizycznego po-

między sferą sacrum i profanum;

4. Obowiązkowa wielokulturowość, która zwalcza zakorzenienie;
5. „Wieczna niedojrzałość” twórców spod „znaku swołoczy”, zamięłowanie do humbugu i prowokacji dla samej prowokacji;
6. „Swoizm”, czyli promowanie tylko swoich lub tych, którzy się odwzajemniają. Tworzenie zamkniętych grup, gdzie krąg „pisa-tieli” nadyma się swoją wielkością i wydaje sądy ostateczne;
7. Praktycyzm ontologiczny, czyli przyjęcie ostrzeżenia (C. Michalskiego): - „Jeśli roztrwonicie swoje siły, walcząc z Zasadą rzeczywistości, zabraknie ich wam, żeby zmierzyć się z konkurentami. A wtedy grozi wam los nieudaczników.”
8. Mania zajmowania się ludźmi zwykłymi, akcentowanie ich postrzegania, choć to Inni są istotowo ważni.

Swołoczizm dotyka nie tylko poetów i pseudo-poetów, poetessy i narcyzów w taflach krzywych luster, dotyka także (jako mocno) jurorów i krytyków, którzy częstokroć pełnią jedno i drugie, i trzecie (poetów) funkcje naprzemiennie. Dotyka nieliczne (może i na szczęście) grono czytelników. Sam chcę być dumny z „hasła dostępu” do Katakumbii, ale swołoczizm kusi, tokuje swe racje, staje się w buntowniku piątą kolumną zdrady. Można się jakoś tak umysłowo rozkraczyć, że hipokryzja staje się naczelną cnotą.

Katakumbia nie jest odwrotnością swołoczizmu. Jest konsekwencją pójścia pod prąd. Kardynał Josef Ratzinger w 1999 r. „wyrżał obawy (patrz: „Sól ziemi”), że przemiany industrialne zmuszą wyznawców Chrystusa do zejścia w neo-katakumby. Oznacza to zwycięstwo relatywnego konsumpcjonizmu nad wrażliwością ponad-czasową.

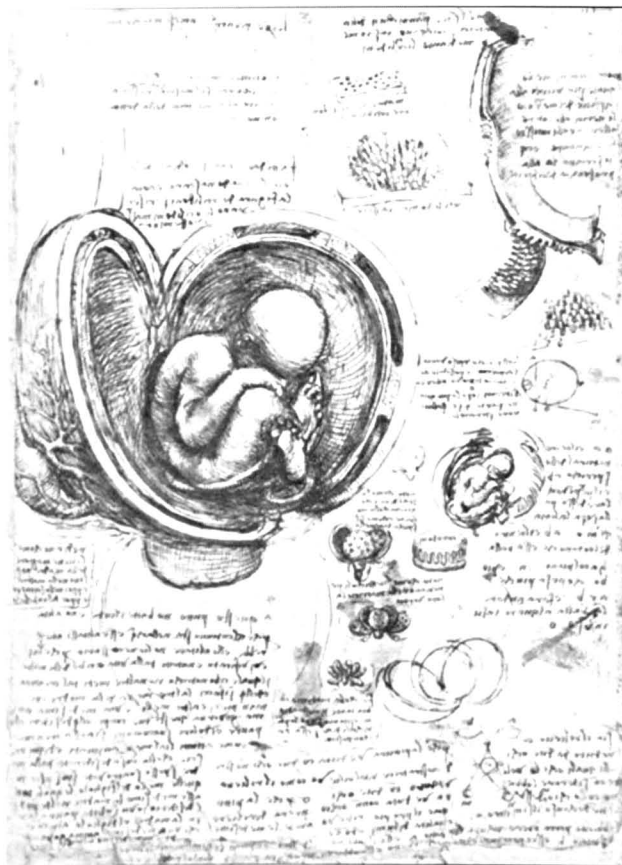
Wydaje się, że ostatnim poetą, który chciał postawić holistyczną diagnozę wizji

¹ Teza Nicola Chiaromonte o tym, że współczesna poezja od Flauberta i Baudelaire’a jest gnozą współczesności wydaje się być zaledwie nieco adekwatna tylko do tych twórców (dorzucając Mallarmego). Gnostycyzm wieków od II-ego do V-ego po Chr. był jednak religią światową (udowadnia to Gilles Quispel: patrz: „Gnoza” IW PAX W-wa 1988). Tamta „fałszywa gnoza” (jak ją określał Ireneusz z Lionu) realizowała próbę wcielenia w historię wielkich mitów platońskich i emanacji plotyńskich łączonych z elementami chrześcijaństwa i motywem samozbawienia. A współczesna poezja w swej wyalienowanej masie podsuwa osobie zbawialność indywidualistyczną. Te relacje są interesujące i warto omówienia, ale tematyka społeczna i duchowa tamtych i naszych czasów jest na tyle odmienna, że wymaga to opisanie w szerszej perspektywie.

„globalnej wioski” był Czesław Miłosz. Szanse miał Zagajewski, ale... Geniusz Herberta, z racji historycznych, ugrzązł w „postawie wyprostowanej”.

„Poezja jest rzeczą samotnego sumienia” napisał po II wojnie światowej więzień Oświęcimia, propagandysta „lepszego świata” w wydaniu sowieckim. I tę prawdę zastosował do siebie dosłownie. „Borowski zdradził” - pisał potem w roku 1951, Czesław Miłosz - „Więc gaz otworzył i twarzą do ściany / odwrócił się i w mroczne wieki minął (...) Borowski zrozumiał zbłąkanie. Słowo postawił po stronie fałszu i zbrodni, a tego twórca nie powinien sobie łatwo wybaczyć. „Samotne sumienie” wyciągnęło z tego faktu konsekwencje. Nie chciał ozdrowieńczej pokuty. Rozpacz ślepego zaułka była silniejsza. Wierność powołaniu podniosła samobójczą rękę na podmiot dotknięty ideową klęską.

Dwadzieścia lat później Rafał Wojaczek przedstawiał stosunkowo nowatorską, na gruncie polskim, receptę na twórczość. Pisanie jakby wiersz, który dana osoba aktualnie tworzy miał być ostatnim, jakby za każdym wersem rodzącym się we wnętrzu człowieka i nanoszonym na papier stała już tylko śmierć, anihilacja postrzegania. Takie zaangażowanie gwarantuje eliminację płycizn, zbędnej ornamentyki. Wojaczek to doskonały paradygmat całościowego zaangażowania człowieka w twórczość stricte literacką. To, że tragiczny, tę postawę uwiarygodnia. Przytoczmy fragment jego tekstu: „Zaprawdę powiadam ci, poeta się jest. Jest się nim żyjąc (...) Bywa się nim wtedy, kiedy braknie sił, by dźwignąć ciężar życia. Wtedy ucieka się do ogródka, sztucznym sposobem ogrodzonego i sadi się smętne kwiatki na schludnej grządce.” To kontra wobec Przybosa, który uparcie twierdził, że „poetą się nie jest, poetą się bywa”. Wojaczek to egzystencja heroiczna. Nie miejmy nadziei, że ten typ będzie „na topie”. Zmarł podziw dla jedności życia i tego, co się tworzy. Liczy się sukces, nie trud wnikania w subtelne światy znaczeń i doznań pełnych subtelności nieznanego. One nie pachną



farbą banknotów i nie tworzą Wieży Babel nakładów kolorowych piśmideł.

Podaj przykłady! - zażądał czytelniku. Ach! - ich tyle! „Legion”, który nie chce przejść w wieprze. Przykładów nie warto przytaczać, choć wiele ma koloryt anegdoty i żywotność mitu, bo przywołane, w kontekście powyższych konstatacji, stałyby się incydentalnym donosem. Wszystkich „swołoczystów” nie sposób wymienić, a tak by trzeba, by oddać sprawiedliwość wszystkim. Literackich kapusiów, którzy na przejrzystych aluzjach robią interes wydawniczy i zbierają swołoczy aplauz jest bez liku.

Na koniec, żeby diagnoza nie była jednoznaczna, przytoczę pytanie, które ze stron „Drogi” zadał św. Josemaria Escriva: „Dlaczego wydając sąd o innych, do swych krytycznych uwag dodajesz gorycz własnych niepowodzeń?”





JĘSZEK SOKOŁOWSKI

dobrze ci mówić
o szczęściu
dobrze i serdecznie
zaklinać słowa w papier
w oceany się bawić bez granic
za siódme góry i rzeki
odsylać
w snach miłosnych błękitami żonglować
grzecznie łodzie zawracać
dobrze ci
tęcze malować
kolory zmyślać i czekać
na imiona
by zmieniać na lepsze
na polach marsowych
gdzie cicho twoja muzyka
dla harmonii świtu
oddycha snem dziecka
matczyną rozpaczą
głodne oczy jej
rozpalisz chłodem kochanka
kłaśnięciem w dłonie uwiedziesz
znużony wiecznością

spacer ci pozostanie
pustą aleją
i taniec
skradziony nocy
bo coś rozumiesz
gdy jesteś miłością świata
moim sercem

wydać się drobnostką obrót ziemi
gdy czuję smak twoich ust
wydać się, że zatrzymujesz czas
dotykem dłoni
ostrożnie otwieram oczy
jakbym przychodził na świat
jakbym chciał zmienić kolor nieba

jest w moim posiadaniu półksiężyc
w ognistej podkowie
i srebrne poziomki
skarby moje
śliczności jedyne
aksamitna obietnica rozkoszy
w twoich oczach

wydać się drobnostką świat cały
gdy przenikam przez twoją skórę
ogarniam przestrzeń
byśmy jednym się stali
w czystej poświęceniu oddechów
bez przysięg i słów ulotnych jak pamięć



ARTUR ROGALSKI

HERBERT W ARCHIWUM

W kontekście żenującej doprawdy batalii o miejsce przechowywania spuścizny po poecie, zagadnienie „Herbert i/a archiwum” wydaje się jednak mniej absurdalne niż po tysiącokrotnie obszmiany „słoń a sprawa polska”. Tym bardziej, że archiwum pojawia się kilkakrotnie w twórczości Mistrza. Co prawda, w porównaniu z muzeami, których poeta był stałym gościem, wręcz mieszkańcem, archiwa wypadają bladziutko, a raczej należałoby powiedzieć: wyblakłe. Rękopisy przegrywają na całej linii z chropowatością gotyckich cegieł, smukłością antycznych waz i umiłowanym przez Herberta ponad wszystko malarstwem. Zmysłowość barw przyćmiewa monochromatyczne diariusze... To pachnie zwycięstwem codzienności nad myślą, nad ideą. Powie ktoś: niemożliwe, na pewno nie u autora *Węzła gordyjskiego*. Stoi tam jak byk, jak Minotaur wręcz: „...niepojęte zasłепienie sprawiło, że wprowadził [Aleksander Wielki – A.R.] do procesu myślenia element siły. Jak mógł przeoczyć fakt, że rozwiązywanie węzłów i problemów nie jest popisem atletycznym ale operacją intelektualną, a ta zakłada zgodę na błędzenie, bezradność wobec splecionej materii świata, cudowną ludzką niepełność i pokorną cierpliwość”. Czy to nie pochwała „intelektualności”, prymatu myśli nad materią? Tak? A kto napisał: *Temat niebobaterski, Dyskretny urok mieszczaństwa, Cenę sztuki?* Te i inne eseje złożyły się na *Martwą naturę z wędzidłem*, cudowną pochwałą normalnego, nieheroicznego życia, jego codziennego światłocienia. Bo o tym naprawdę jest ta książka, Holandia w XVII wieku to tylko sztafaż, piękne tło. „Malowali jabłka, portrety kupców bławatnych, cynowe talerze, tulipany z taką cierpliwą miłością, że gasną przy nich obrazy zaświatów i hałaśliwe opowieści o ziemskich triumfach”, „...I wtedy zasłonią wszystkie lustra w domu i odwrócą wszystkie obrazy do

ścian, aby wizerunek dziewczyny piszącej list, okrętów na pełnym morzu, wieśniaków tańczących pod wysokim dębem nie zatrzymywał w drodze tego, który wędruje ku światom niewyobrażalnym...”. Upodobanie poety w codzienności, przeciwstawianie jej urokliwych zakątków murom idei, polityki i mgłom zaświatów jest oczywiste. Mimo szlachetnych (często) początków, idee mają niestety smutny końcowy mianownik: dla obietnic światów niewyobrażalnych mniejsi lub więksi Aleksandrowie wysyłają żyjących w nieodgadnione zaświaty. O tym Mistrz wiedział aż nadto dobrze. Ale wracajmy ad acta, czyli do archiwum.

Posiłkując się terminologią samego Herberta można rzec, że archiwa niejako przeświutują przez draperię jego opowieści. Bo czyż wyobraźnia (i zdrowy rozsądek) w momencie, kiedy pisarz np. cytuje śliczny list pisany w 1635 r. przez Terborcha seniora do Terborcha juniora, nie podsuwają na myśl stosu pożółkłych foliałów piętrzących się na archiwalnych półkach? Nawet nie odwiedzając archiwum osobiście, jedynie cytując czyjeś ustalenia, badacz (a Herbert-badacz jakże często zastępuje/uzupełnia Herberta-pisarza) pośrednio zawsze jest beneficjentem jakiejś archiwalnej placówki, jej zasobu. Inna rzecz, że stare papiery znajdują się nie tylko w archiwach. I tutaj sam Mistrz studi wyobraźnię, kiedy w apokryficznym *Liście* już, już spodziewamy się, że po słowach „został odkryty przypadkowo w latach dwudziestych dokładnie w roku 1924...” padną słowa „w archiwum”, to jednak miejscem akcji zostaje lejdecki antykwariat. Szkoda.

Archiwa pojawiają się także u Herberta na drugim planie, przy okazji opisu procesu twórczego. „...Tak zakończyłem pierwszą wersję szkicu o Torrentiusie. Rękopis schowałem do szuflady. Liczyłem po cichu, że czas będzie pracował na moją korzyść.



✂️ 📷 Grażyna Nowacka

Zgłębianie tematów trudnych wymaga alchemicznej cierpliwości – w ten sposób poeta kończy swą *Martwą naturę z wędzidłem*. Pisarska szuflada, szafka, czy półka, to przecież nic innego jak prywatne archiwum, gdzie trafiają utwory skończone, ale nie przeznaczone do natychmiastowej publikacji. Znany wszystkim piszącym „czyścić szuflady”, wypalający brudy z kruszcu słów... Szlachetne oblicze archiwum.

Z definicji archiwum to miejsce przejmowania, zabezpieczania, przechowywania, i udostępniania dokumentów. Oczywiście jest, że na ogół postrzegane jest nieco inaczej niż formułka przewiduje. Chyba najczęściej rozumie się 'archiwum' jako miejsce przechowywania „dawnych”, „starych” papierów, coś w rodzaju staropolskiego lamusa ciekawostek. Rzadko kiedy ludzie z szeroko pojętego świata kultury i sztuki wnikliwiej interesują się rzeczywistą rolą archiwów w życiu codziennym. Ale Herbert i tutaj stanowi wyjątek. Tematyce stricte archiwalnej poświęcił tekst pt.

Gdański dokument. Ukazał się on po raz pierwszy w „Słowie Powszechnym” z 1951 r. w cyklu „Listy z Wybrzeża” (podpisany „Ptryk”). Herbert opisywał w nim wrażenia z nadmorskich wędrówek. W tym konkretnym wypadku zajął się gdańskim Archiwum Państwowym, prezentowaną tam wówczas wystawą dawnych dokumentów. Porównując *Gdański dokument* z innymi esejami Mistrza trudno uznać go za arcydzieło, raczej był to tekst „dla chleba”. Ale i tutaj znajdują się herbertowskie smaczki: „pod dokumentem [...] widnieje zwarty tłum sześćdziesięciu sześciu pieczęci”, „rzewnym, wyblakłym atramentem układa się francuski tekst...”, „ostatni epizod wierności... kładzie się ciepłym promieniem na dziejach miasta”, etc. Nawet w tak krótkim sprawozdaniu poeta dał wyraz swej fascynacji szczegółem, detalem; widać ją wyraźnie, gdy pisze o przywileju używania czerwonego wosku do pieczęci miejskich, złotej koronie w herbie miasta i prawie starosty królewskiego do używania złotych ozdób przy ubiorze.

Ostatnie słowa tekstu: „dobrze się stało, że zwiedzającym Gdańsk pokazano skarbiec archiwum. Historię murów uzupełnia historia pergaminów” – napawają nadzieją, że wystawy organizowane przez archiwum są jednak doceniane. Jak widać książkę poetów rozumiał wagę popularyzacji. A na marginesie warto dodać, że gdańskie Archiwum na tym polu może i dziś poszczycić się ciekawymi osiągnięciami. Ostatnio np. urokliwym kalendarzem, który miałem okazję podziwiać na ścianach odwiedzanych archiwów. Stare dokumenty, w leniwym, rembrandtowskim świetle, przyprószone płatkami róż, nabrały sensualnych odcieni. Naprawdę ładne. Myślę, że ze względu na walory plastyczne Mistrz byłby z kalendarza zadowolony, co najmniej tak jak z owej wystawy... No i z tego, że zamiast banalnie nieubranych młodych pań zazwyczaj obsypywanych płatkami na kalendarzowych rozkładówkach (a jeszcze częściej – bez płatków i w ogóle niczego), przekornie kuszą tu wiekowe pergaminy... Gdyby jednak – podpowiada mi małeńki diablik zza kołnierza – zestaw aktowy uzupełnić o wspo-

mniane panie, to na pewno tematyka archiwalna stałaby się popularna w naprawdę szerokich kręgach społeczeństwa... Prawdziwa sztuka (i profesjonalna arete) wyklucza takie kompromisy. Poszedł! – odpowiadam mu z godnością.

Dość szpasów. Czas na ostatni wizerunek poety w archiwum. *Obrona templariuszy*, jeden z najważniejszych tekstów *Barbarzyńcy w ogrodzie*, kończy się następująco: „W historii nic nie zamyka się ostatecznie. Metody użyte w walce z templariuszami weszły do repertuaru władzy. Dlatego nie możemy tej odległej afery pozostawić bladym palcom archiwistów”. Tutaj Herbert, oprócz maestrii pisarskiej, prezentuje zdolności profetyczne. Jako żywo, w czasach obecnych, kiedy archiwistę-historyka, archiwistę-badacza, zastępuje archiwista-urzędnik, archiwista-laik w materii dziejowej – zaprawdę trzeba będzie uważać nie tylko na jego palce, ale też świadomość znaczenia wykonywanego zawodu i erudycję. Cóż, to temat na oddzielne rozważania. Zresztą tekst o tym, ktoś już niedawno napisał...



PAWEŁ KOSIOREK

*** jestem małym mężczyzną

jestem małym mężczyzną z jedną małą ciążą
którą myślę czasami ze śmiercią
panoszącą się po moich powiekach
jak grube zegary po horyzoncie
skrobię każdy cal tej narośli

zamiast palców czarne lufy ponad głowy
tylko czasami strzelam do tłumów
upadają te ciała w stylu empire
z wielkością moją i ich strachu

mój drogi przyjacielu jestem chory
urodę rozkład kości w stopniu standardowym
bez wielkich uroczystości
zielonych szampanów
żadnych
toastów



MARIUSZ KARGUL

CZY DAWNI SŁOWIANIE MIELI POCZUCIE HUMORU?

Pytanie to tylko z pozoru wydaje się trywialne i mało istotne. Wyobraźmy sobie sytuację, w której odpowiedź wyjaśnić może wiele zagadek przeszłości. Mówi się często o „pomroce dziejów”, która nieprzeniknionym woalem otacza życie naszych odległych przodków. Pomroka owa wydaje się tak ciemna i gęsta, że tylko usiąść, ręce łamać i gorzko płakać. Z trudem przenikają badawczy wzrok mediewisty i łopata archeologa. Tak naprawdę możemy sobie tylko wyobrazić, jak wyglądała egzystencja ludzi zamieszkujących ziemie sąsiadujące od wschodu z Germanią kilka czy kilkanaście wieków temu. Zaiste, ciężko jest zawyrokować czy na obliczach naszych antenatów zakwitał częściej uśmiech czy też gościł smutek.

Zachowane przekazy źródłowe, nie dość, że raczej skąpe, to są jeszcze bardzo lakoniczne pod tym względem. Wykopaliska też nie mogą rzucić tutaj zbyt wiele światła, bo z której strony by nie patrzeć, odnaleziony szkielet nie powie nam ile za życia miał powodów do radości, a ile do płaczu. Możemy tylko starać się wnosić czy jego właściciel żył biednie czy bogato, i jaki szacunek, po odejściu z tego świata, okazali mu jego ziomkowie. Z okresem staropolskim jest już o wiele lepiej. Rej, Kochanowski, Modrzewski i Pasek zostawili nam liczne opisy krotochwil, które były w powszechnym użyciu jeszcze 500 lat temu. Ze Słowianami sprawa przedstawia się trochę inaczej.

Starożytna Sclavinia jakoś tak zawsze milej i cieplej leżała nam na sercach, niż zimna, północna Germania. Ziemie Słowian to rozległe przestrzenie pól, zwarte polacie puszczy, łąki pełne kwiecistych winnych stoki palone słońcem południa. I chociaż nie byliśmy aniołami paradującymi w aureolach niewinności, raczej trudno było przypiąć nam „łatkę” ekspansjonistów. W odróżnieniu od znanego z powszechnej nieślawy „parcia na Wschód”, nie wiemy nic szczególnego o potencjalnie równo-

znaczym „parciu na Zachód”. Jeżeli już, jest ono domeną ostatnich kilkunastu lat i przebiega w bardzo pokojowej atmosferze; bez bojowych okrzyków na ustach i mieczach w dłoniach. Jeśli dochodzi do jakichś potyczek, to bardziej o bilety na tanie linie lotnicze i lepsze oferty pracy.

Mówiąc językiem współczesności – Słowianie nie mieli szczęścia do specjalistów od „białego” public relations. Łatwiej było ich oczerniać i rzucać kalumnie wszelkiego kalibru. Ówcześni kronikarze nie grzeszyli bynajmniej nadmiarem obiektywizmu. W przypadku pozostawiania na usługach co bardziej przedsiębiorczego (czyt. pazernego) możnowładcy, musieli po prostu sączyć wiele jadu spod swych piór, tak aby wyszedł im paszkwil pierwszej jakości. Jeżeli napisali o Słowiańszczyźnie coś pozytywnego, to chyba przez czysty przypadek albo nieuwagę. Ogólnie rzecz biorąc – z małymi wyjątkami – wygodnym hasłem była teza, że „dobry Słowianin to martwy Słowianin”, co zresztą przez kilkaset lat, siłą i czynem, wcielano w rzeczywistość panującą na tych terenach.

Mitologię słowiańską długo starano się przedstawiać jako prymitywną i złowieszczą. Służyło to rzecz jasna interesom sfer zajętych chrystianizacją tych ziem. Literatura i film także zrobiły swoje. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że dzieło „zohydzenia” wierzeń dawnych Słowian nie powiodło się do końca. Na szczęście. Inaczej nie miałyby one współcześnie tylu sympatyków i osób parających się ich popularyzacją. Obrzędy i zwyczaje, które z takim uporem wybijano z głów naszych przodków nie mogły być bez reszty takie ciemne i ponure, chociaż wiadomo było, kogo nie należy drażnić, a komu za mocno kadzić.

Człowiekowi chyba od zawsze potrzebne były mity i mitologizowanie otaczającej rzeczywistości. Być może była ona zbyt szara i przewidywalna, stąd też zrodziła się po-



 Bogumiła Jarecka

trzeba zapełnienia jej istotami nie z tego świata. Słowianie nie mogli okazać się w tym zakresie gorsi od swych sąsiadów. Też chcieli mieć powody do radości i do strachu. Wiadomo, że raźniej jest trząść się ze strachu w kupie, niż samemu. Nikomu nie śniła się wtedy psychologia, lecz psychologia tłumu działała już bez zarzutu. Z najstarszych przekazów historycznych wylania się obraz Słowian atakujących wroga jednym wielkim tłumem. Było to dosyć egalitarne rozwiązanie, dające szansę każdemu z osobna na sławę i chwałę albo pogrzebowy stos. Jakoś jednak więcej chce się człowiekowi myśleć o tym, co mogło się dziać podczas nocy kupałnych, niż w trakcie składania ofiary z pojmanych przeciwników...

Patrząc z perspektywy minionych lat należy stwierdzić, że jeśli nawet mało wiemy na temat tego czy dawni Słowianie mieli poczucie humoru, to z pewnością posiadali rozbudowane poczucie honoru. Nie pozostawiali obojętni na obce wpływy, ale nie było im też łatwo rozstać się ze swia-

tem starych wierzeń, bóstw, mitów i legend. Świadczą o tym bunt i akty oporu przejawiane wobec nowego – nowych porządków religijnych i politycznych. Nie dojdziemy dzisiaj kto był pierwszym Słowianinem, a kto będzie ostatnim. Wiele tajemnic musi pozostać niewyjaśnionych, jak chociażby etymologia słowa „san”, która ginie gdzieś w pra-indo-europejskich odmętach naszej wspólnej historii. Możemy sobie tylko wyobrazić jego mistyczną inicjację wywołaną przez jakiegoś wielkiego szamana, który nadał mu pierwsze tchnienie, a wszystko dalej potoczyło się już własnym torem. Spróbujmy wsłuchać się więc w słowa takiej oto krótkiej przypowieści:

Słowo padło. I zaraz uniósł je wiatr. Skąd nagle tyle pytań się wzięło, dlaczego w sitowiu zaległo się mrowie wąpiącego pokrzewia? Słowo leciało dalej gnane niewiadomym przeznaczeniem. Przekazywano je z ust do ust i z pokolenia na pokolenie. W każdej wiosce i mieście żył przynajmniej jeden jego strażnik, ale czynił to bezwiednie.

Kiedy umierał, słowo szukało kolejnego wcielenia. I tylko nadąsane gospodynie biadoliły czasem przy studniach, na widok kogoś takiego: durny, sam nie wie, co mówi! Bo tak naprawdę nie wiedział...

Słowa nie dało się jakoś namierzyć czy zatrudnić do konkretnej idei. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę z tego, że wypowiedziane odpowiednią ilość razy, we właściwym miejscu i czasie, przez wybrane do tego osoby, może przynieść totalne zniszczenie bądź wieczny dobrobyt. Istniał podobno sposób na jego śledzenie, na typowanie miejsca, gdzie akurat może się ono w danej chwili znajdować. Z upływem

czasu stawało się to jednak coraz bardziej skomplikowane. Raz, że liczba ludzi zaczęła rosnąć w zastraszającym tempie, a dwa, że ludzie ci, między jedną rzezią a drugą, potrafili jeszcze produkować coraz to nowe środki przekazu. Zrobił się jeden wielki szum i słowu nie było już tak łatwo dotrzeć do swego odbiorcy.

Tyle mówi zmyślony przed chwilą mit – mit o pierwszym słowie wypowiedzianym przez pierwszego pra-Słowianina, który rzekł do swej niewiasty, że chce być po prostu przez parę chwil sam, a wyszedł mu z tego „san”.



IZABELA IWAŃCZUK

Anioły

opłatkami ziemię obsypały
na swoje podobieństwo
objęły nas skrzydłami

bielą nieba malowani
my piękni już
święci od aniołów

Nokturn grudniowy

tuż przed pierwszą gwiazdką śniegu
pod szarym mostem nowego miasta
Maria i Józef
niczym dwa ziemskie anioły
w śnieżnobiałych oparach milczenia
wypalają uzbierany skromny zapas zapalek
w kruchym opłatku dla siebie
nawzajem próbują zamknąć całą miłość
nim nocą w szopie ukołyszą
na sianie do snu synka
pełni nadziei scalają z jego
twarzy kropelki mleka i miodu
ich życie będzie odtąd miało
zapach łąki w lipcowy poranek

NOTA BIOGRAFICZNA





JOANNA KOWALIK

IGNACY POTOCKI

Potocki Ignacy (Roman Ignacy Franciszek) h. Pilawa (1750-1809), marszałek wielki litewski, działacz polityczny, oświatowy i wolnomularski, współtwórca Konstytucji 3 Maja, jeden z przywódców insurekcji kościuszkowskiej, właściciel Kurowa w Lubelskiem.

Był synem Eustachego (zm. 1768), generała artylerii litewskiej i Marianny z Kąskich (zm. 1768), bratem Jerzego, Stanisława Kostki i brygadiera Jana.

Urodził się w Radzynie 28 II 1750 r. W latach 1761-1765 wraz z braćmi uczył się w warszawskim Collegium Nobilium. Przeznaczony przez rodziców do stanu duchownego, w końcu kwietnia 1765 r. wysłany został na studia do Rzymu. Przyjęty do Kolegium Nazareńskiego, 3 sierpnia 1765 r. rozpoczął nauki w klasie filozofii, a następnie teologii i prawa. Naukę w Kolegium zakończył 30 VII 1768 r. na polecenie ciotki Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, która od śmierci rodziców Eustachego i Marianny - w lutym 1768 r. sprawowała nad Potockim opiekę. W latach 1768-1770 nadal pozostawał w Rzymie oraz zwiedzał Italię. Część wycieczek odbywał z Grzegorzem Piramowiczem, który czuwał nad jego edukacją. Od października 1770 r. Ignacy przebywał w Paryżu, 13 II 1771 r. wyruszył w drogę powrotną do Polski przez Nancy, Lunville, Mannheim, Frankfurt nad Menem, Lipsk i Drezno.

Po powrocie do kraju za zgodą rodziny nie przystąpił do ślubów kapłańskich. Latem 1772 r. rozpoczął starania o rękę Elżbiety Lubomirskiej, wnuczki kanclerza litewskiego Michała Czarotoryskiego, córki marszałka koronnego Stanisława i Izabeli z Czarotoryskich. Ślub odbył się 27 XII 1772 r. w Warszawie. Dzięki temu mariażowi Potocki wszedł w szeregi tworzącego się właśnie opozycyjnego ugrupowania politycznego, na którego czele stał m.in. jego teść. Inteligentny i wykształcony, wyróżniał się też w młodym pokoleniu licznej

rodziny Potockich. Pozyskał sobie zaufanie i wdzięczność Szczęsnego Potockiego, dzięki pomocy jaką udzielił mu podczas procesu o zabójstwo Gertrudy Komorowskiej. W 1772 r. był uczestnikiem obiadów czwartkowych.

14 X 1773 r. wyznaczono go w skład pierwszego kompletu Komisji Edukacji Narodowej (KEN), a 10 I 1774 r. powierzono administrowanie Biblioteką Załuskich. W marcu tego roku (28) na posiedzeniu KEN przedstawił *Mysł o edukacji i instrukcji w Polsce ustanowić się mającej*. Stały się one podstawą opracowywanego przy współudziale G. Piramowicza *Przepisu na szkoły wojewódzkie*, czyli programu dla nauczycieli szkół oraz *Przepisu dla dyrektorów* opiekunów uczniowskich.

W ramach prac w KEN latem 1774 r. Potocki wizytował szkoły byłego woj. podlaskiego i lubelskiego. W kwietniu 1775 r. odwiedził warszawskie kolegium pojezuickie.

Był projektodawcą otwartego 7 III 1775 r. Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych, na którego czele również stanął. Do zadań Towarzystwa należało przygotowywanie podręczników i programów nauczania oraz popularyzacja wśród nauczycieli założeń KEN i na tych celach głównie skupiał się Potocki. W swoich zabiegach i staraniach o sprowadzenie do Polski wybitnych uczonych i wartościowych książek oraz nawiązanie kontaktów naukowych współpracował z G. Piramowiczem. W lutym 1780 r. Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych przyjęło opracowany przez Ignacego program nauczania historii *Zdanie o elementarnej książce z dziejów ludzkich dla szkół narodowych*.

W 1781 r. KEN powołała Ignacego do zbadania i oceny dokonań Hugona Kołłątaja. Pozytywne wnioski o pracy reformatora umożliwiły temu ostatniemu kontynuowanie działalności w Akademii Krakowskiej. Poza działalnością w KEN Potocki zajmował się pracami literacko-nauko-

wymi. W latach 1777-1778 uczestniczył w odbywających się w Warszawie posiedzeniach Towarzystwa Fizycznego, założonego przez J. B. Dubois. W czerwcu 1790 r. wszedł w skład utworzonego przez KEN Departamentu Szkół Pijarskich. Z KEN ustąpił 17 V 1791 r. w związku z powołaniem go do kompletu ministerialnego Straży Praw. Na miejsce Potockiego w Towarzystwie do Ksiąg Elementarnych wyznaczono Juliana Ursyn Niemcewicza.

Równoległe z działalnością edukacyjną biegła działalność polityczna i wolnomularska. 29 V 1773 r. został nominowany na pisarza litewskiego. Podczas sejmu rozbiorowego wszedł w skład kilku komisji rozstrzygających sprawy majątkowe oraz do Komisji Emfiteutycznej. Początkowo przeciwnik króla, odmówił miejsca w pierwszym składzie Rady Nieustającej. Mimo to król chcąc pozyskać Ignacego obdarzył go Orderem Świętego Stanisława (14 II 1774 r.). W 1775 r. Potocki, mimo rekomendacji przywiezionych z Petersburga, prawdopodobnie w wyniku osobistej niechęci ambasadora rosyjskiego w Warszawie O. Stackelberga, nie otrzymał jednak pieczęci litewskiej po zmarłym w sierpniu tego roku Michale Czartoryskim. W lutym 1776 r. wyjechał z hetmanem Branickim do Petersburga, gdzie starał się bezskutecznie o zgodę Katarzyny II na obalenie lub ograniczenie uprawnień Rady Nieustającej.

Po powrocie do Polski w maju 1776 r. brał udział w lubelskim sejmiku poselskim, gdzie wybrano go na posła. W zabiegach o niedopuszczenie Potockiego do udziału w sejmie starania królewskie popierali również N. Panin i Stackelberg. Ostatecznie nie dopuszczono go do podpisania aktu konfederacji, a następnie do sejmu. Sytuacja zmieniła się w 1778 r., kiedy to Stackelberg zabiegając o opozycyjną większość w Radzie Nieustającej gotowy był zgodzić się na kandydaturę Potockiego do łaski marszałkowskiej. 15 X Potocki został marszałkiem. W tym samym też roku odznaczono go Orderem Orła Białego oraz powołano w skład Komisji Menniczej.

Jesienią 1779 r. Potocki wstąpił do loży masońskiej. Od 6 II 1780 r. był wielkim mistrzem



łoży „Katarzyna pod Gwiazdą Północną”. Od 1781 r. rozpoczął organizację Wielkiej Łoży Narodowej Wielkiego Wschodu Polskiego. W 1782 r. polska Wielka Łoża Narodowa uniezależniła się całkowicie od Wielkiej Łoży Anglii. W działalności wolnomularskiej współpracował z nim również żona. Jej nagła śmierć 22 IV 1783 r. spowodowała chwilowe porzucenie przez Ignacego wszelkich poczynań i wyjazd za granicę.

Czynione od śmierci teścia (12 sierpnia 1783 r.) intensywne starania rodziny o ministerium dla Potockiego, przyniosły efekty. 20 listopada 1783 r. otrzymał marszałkostwo nadworne litewskie. W 1784 r. powrócił więc do kraju. Podczas sejmu był przywódcą opozycji i skłonił kuzyna Szczęsnego do wystąpień antykrólewskich. Sejm grodzieński wyznaczył Potockiego w skład sądów sejmowych na kadencję od 1 lutego 1786 r.

Latem 1785 r. Stanisław August odnotowywał szczególną aktywność Potockiego na spotkaniach opozycji w Puławach, Białej Cerkwi, Humaniu i Tulczynie. Wiosną 1786 r. spędził 6 tygodni na zjeździe opozycji u hetmanowej Aleksandry Ogińskiej w

Siedlcach (kolejny zjazd opozycji miał miejsce wiosną 1788 r. w Puławach). Obok nienawidzącej króla marszałkowej Izabeli Lubomirskiej Potocki uchodził za inspiratora afery Dogrumowej, która miała ujawniać rzekomy trucicielski zamach króla na A. K. Czartoryskiego.

Od początku obrad Sejmu Wielkiego wywierał na niego wpływ. Przywódca stronnictwa o orientacji pruskiej, które w skonfederowanych izbach zdobyło większość i nadało Sejmowi charakter pro reformatorski, antyrosyjski i antykrólewski. Przyczynił się do zawarcia wiecznego przymierza obronnego z Prusami. W kwestii reform wewnętrznych jego koncepcje sformułowano w *Zasadach do poprawy rządu* oraz *Projekcie do formy rządu* zakładały supremację władzy ustawodawczej (przed wszystkim sejmików) nad władzą wykonawczą. W toku prac sejmowych nastąpiło zbliżenie między Potockim a królem. Nie mogąc uzyskać poparcia Ignacy oddał inicjatywę przygotowania „ustawy rządowej” w ręce nie lubianego króla Stanisława Augusta oraz jego współpracowników. Rezultatem kilkumiesięcznej pracy było uchwalenie konstytucji. Jako jeden z jej współtwórców Potocki wszedł w skład Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej (Klub Przyjaciół Konstytucji). Po jej ogłoszeniu wszedł również w skład Straży Praw (17 maja) jako minister policji.

Po odpoczynku w Kurowie w lipcu 1791 r. powrócił do Warszawy. Podczas lutowych sejmików 1792 r. Potocki wraz z bratem Stanisławem, czuwał nad przygotowaniem sejmiku lubelskiego, choć sam do Lublina nie przybył.

Podczas wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. jego misja do Berlina w celu skłonienia Prus, by wypełniły swe sojusznicze zobowiązania wobec Polski, zakończyła się niepowodzeniem. Po przystąpieniu Stanisława Augusta Poniatowskiego do konfederacji targowickiej przeciwny temu Potocki wyjechał do Lipska. Podobnie jak inni przebywający tam emigranci, miał nadzieję, że król zdoła wynegocjować kompromis między przywódcami zawieszonego sejmu a Rosją. Druki rozbiór Polski w 1793 r. rozwiązał te na-

dzieje. Na emigracji intensywnie pracował nad dziełem *O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 Maja* i w końcu września 1793 r. oddał do druku kilka rozdziałów.

Bezskutecznie zabiegał o poparcie zagranicy dla przyszłej insurekcji. Jesienią 1793 r. w związku z przygotowaniami do powstania przeniósł się do Dreżna. Na początku 1794 r. z inicjatywy Potockiego, Kościuszki i Piattolego podjęto starania o subsydia francuskie. Wybuch powstania odroczono do wiosny.

Wyjeżdżający do Polski w marcu 1794 r. Kościuszkowski wiozł ze sobą opracowaną przez Potockiego i Kołłątaja instrukcję w sprawie przebiegu pierwszych chwil insurekcji w Krakowie, włącznie z aktem konstytucyjnym powstania. Po jej wybuchu powrócił do kraju. 14 IV 1794 r. przybył do Krakowa i za pośrednictwem Józefa Maksymiliana Ossolińskiego wszczął starania o poufny kontakt z Thugutem, któremu zamierzał przedstawić memoriał o wspólnocie interesów Austrii i Polski.

I. Potocki był członkiem Rady Najwyższej Narodowej, w której kierował Wydziałem Interesów Zagranicznych, należąc de facto do osób rozstrzygających o wszystkich decyzjach powstańczego rządu. Po upadku powstania do 1796 r. wieszony był w Petersburgu, w latach 1798-1800 przez Austrię.

Śmierć ukochanej jedynaczki Krystyny (4 III 1800 r.) spowodowała usunięcie się Ignacego z życia politycznego. Nie chcąc przebywać w Kurowie, skąd na żądanie władz austriackich musiał wyjechać też jego przyjaciel G. Piramowicz, Potocki przeniósł się do skromnego drewnianego domu w Klementowicach, gdzie od końca 1803 r. zamieszkał z nim jego brat Jan wraz córką Laurą. Czas wypełniały mu prace naukowe oraz częste wizyty w Puławach. Od 1801 r. był członkiem warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

W ostatnich latach życia utrapieniem Potockiego byli wierzyciele. Po rodzicach Ignacy odziedziczył Kurów, Klementowice i Michów (ten ostatni przegrał w karty) w Lubelskiem, Sidrę w Grodzieńskim, klucz sartawicki i jurydyki warszawskie i grodzieńskie. Żona wniosła mu pałac w

Warszawie na Krakowskim Przedmieściu oraz starostwo jurborskie. W Kurowie, gdzie w okresie aktywności politycznej Potocki najczęściej odpoczywał, uposażył szkołę parafialną i czuwał nad jej działalnością. Proboszczem był tu Grzegorz Piramowicz. W końcu 1787 lub w 1788 r. projektował przebudowę pałacu kurowskiego. Po śmierci żony nie znalazł oparcia finansowego w jej rodzinie. Wraz z bratem Janem zaciągnęli pożyczkę u bankierów holenderskich w wysokości 100 tys. dukatów. Pożyczką tą obciążono m.in. należące wówczas do Jana dobra radzyńskie. Długu tego nie zdołali Potoccy spłacić do śmierci. Część dóbr sprzedał, prawa do starostwa jurborskiego przejął na brata Stanisława. W 1802 r. zmuszony był sprzedać pałac warszawski, w 1804 r. sprzedana została Sidra, w 1806 r. na licytację wystawiono Kurów, który w 1807 nabył A. Kuczyński.

W związku z wojną Księstwa Warszawskiego z Austrią w 1809 r. Potocki dał się namówić na udział w delegacji do rokowań pokojowych i na jej czele udał się do Wiednia. Epidemia krwawej biegunki, która wówczas panowała w Wiedniu, nie pozwoliła Potockiemu dokończyć rokowań. Po kilku dniach choroby zmarł w Wiedniu 30 VIII 1809 r. Polskie władze nowo zdobytej Galicji uczestniczyły w uroczystym nabożeństwie żałobnym, które odbyło się 3 X w Lublinie. Egzekwie w Warszawie odprawiono 20 X w katedrze św. Jana. Zwłoki sprowadził Stanisław Kostka w 1810 r. Zostały złożone w na cmentarzu w Wilanowie. Obecnie sarkofag i nagrobek znajdują się w wilanowskim kościele.

Z małżeństwa z Elżbietą z Lubomirskich miał troje dzieci: Krystyna Eleonora, Stanisław Ignacy, Eleonora. Spadkobiercą Potockiego był jego bratanek Aleksander, który scalił w Wilanowie bogate zbiory biblioteczne z pałacu w Warszawie i Kurowie.

Bibliografia:

- Portrety w Muzeum w Wilanowie: 2 portrety pędzla M. Tokarskiego, 2 portrety nieznanych malarzy;
 Nowy Korbut (Oświecenie); Polski Słownik Biograficzny (hasła: Piattoli Scipione, Piramowicz Grzegorz);
 Zielińska ofia, Potocki Ignacy, PSB, t. 28, Wrocław 1984-1985; *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Warszawa 1888 (hasła: Klementowice, Sartawice, Sidra);
 S. Askenazy, *Księżę Józef Poniatowski*, Warszawa 1974; tenże, *Napoleon a Polska*, Warszawa 1918-19; tenże, *Przymierze polsko-pruskie*, Warszawa 1918; I. Baranowski, *Biblioteka Żaluskich w Warszawie*, Warszawa 1925, s. 45-46; P. Buchwald-Pelcowa, *Materiały do dziejów KEN w Bibliotece Narodowej*, „Rocznik Biblioteki Narodowej”, T. 9, 1973, s. 400, 403, 405; Chojcecki R., *Stanisław August a proces Adama Potockiego*, „Przegląd Historyczny”, t. 63/1972, s. 33, 39, 45-46; B. Dembiński, *Ignacy Potocki*, „Bibl. Warszawska”, t. 1/1909; tenże, *Misja Ignacego Potockiego w Berlinie w roku 1792*, „Kwartalnik Historyczny”, nr 51/1937; tenże, *Polska na przełomie*, Warszawa 1913; J. Dihm, *Przygotowania do Konstytucji 3 Maja ...*, [w] *Pamiętnik V Powsechnego Zjazdu Historyków Polskich*, Lwów 1930; J. Dutkiewicz, *Ambasada Potockiego*, „Przegląd Historyczny”, t. 32/1934, s. 67, 81, 84, 105; J. Ender, *Sprawy oświatowe w okresie Sejmu Czteroletniego*, „Rozprawa z dziejów Oświaty”, t. 4/1961, s. 42, 44, 45, 49-51, 58-60, 69; J. Feldman, *Na przełomie stosunków polsko-francuskich*, Kraków 1935; W. Fijałkowski, *Wilanów*, Warszawa 1973, s. 102, 120, 210, 211, 226-227; U. Głowacka-Maksymiuk, *Aleksandra z Książąt Czartoryskich Ogńska*, Siedlce 2003, s. 146-147; Ł. Gołębiowski, *Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy*, Warszawa 1827, s. 155, 159, 168, 232; J. Graala, *Potoccy herbu Pilawa. W kręgu aktywności rodu wystawa w AGAD*, „Archeion”, t. 96/1996, z. 1, s. 31-45; Grzegorz Piramowicz (1735-1801) i jego epoka, red. K. A. Boreczek, A. A. Witusik, Kurów 2001, s. 63-102; K. Gutowska, *Louis Marteau i jego portrety uczestników obiadów czwartkowych*, „Rocznik Muzeum Narodowego”, t. 19/1975, s. 490, 500, 517; L. Hass, *Sekta farmazonii warszawskiej*, Warszawa 1980; Z. Janeczek, *Działalność polityczna Ignacego Potockiego w okresie Sejmu Wielkiego*, [w] *Cztery lata nadziei. 200 rocznica Sejmu Wielkiego*, red. H. Kocój, Katowice 1998; tenże, *Ignacy Potocki (1750-1809)*, Katowice 1992; tenże, *Ignacy Potocki i Hugo Kolltāj. Kulisy wielkiej polityki w powstaniu kościuszkowskim*, „Summarius”, t. 22-23/1993/1994, [druk] 1997, s. 81-85; tenże, *Ignacy Potocki wobec spraw ustrojowych i „rzędów sejmikowych w Polsce” w latach 1790-1792*, „Przegląd Humanistyczny”, t. 33/1989, nr 4, s. 19-31; tenże, *Marszałek litewski Ignacy Potocki wobec pruskich planów cesyjnych dotyczących Gdańska 1788-1791* [w] *Gdańsk-Polska-Europa. Praca zbiorowa ofiarowana prof. dr hab. Władysławowi Zajewskiemu w siedemdziesiąt rocznicę urodzin*, red. Z. Kropidłowski, Gdańsk 2001, s. 79-86; tenże, *Marszałek Wielki Litewski Ignacy Potocki (1750-1809)*, Katowice 1992; tenże, *Zainteresowania literackie i bibliofilskie Ignacego Potockiego*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego”, nr 858/1988, s. 38-55; tenże, *Zmagania Ignacego Potockiego z opozycją prorosyjską po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja*, „Studia Historyczne”, t. 37/1994, z. 1, s. 39-55;
 M. Janik, *Hugo Kolltāj*, Lwów 1913; K. Jarochońska,



Dyplomacja austriacka względem Polski pod koniec XVIII wieku, [w] *Rozprawy historyczno-krytyczne*, Poznań 1889, s. 283, 289; T. S. Jaroszewski, *Chrystian Piotr Aigner*, Warszawa 1965, s. 17-18, 22, 29-30, 37, 42-3, 57-58, 63, 72, 128, 130, 143-145, 193; A. Jobert, *KEN w Polsce*, Wrocław 1979; R. Kaleta, *Oświeceni i sentymentalni*, Wrocław 1971; tenże, *O twórczości satyrycznej i paszkwilanckiej Franciszka Zablockiego w okresie Sejmu Czteroletniego*, „Przegląd Humanistyczny”, R. 7/1963, nr 4, s. 5-7, 12, 15-16; W. Kalinka, *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta*, Kraków 1891, s. 250, 252, 263-271, 274, 308-309, 312; H. Kocój, *Dyplomacja pruska w przeddzień drugiego rozbioru Polski*, Kraków 1973; tenże, *Francja a upadek Polski*, Kraków 1976; W. Konopczyński, *Geneza i ustanowienie Rady Nieustającej*, Kraków 1917; T. Korzon, *Kościuszkowski*, Kraków [b.r.]; S. Kot, *Adama Czartoryskiego i Ignacego Potockiego projekty urzędnictwa wychowania publicznego* [w] *Epoka wielkiej reformy*, Lwów 1923; tenże, *Ignacego Potockiego rozprawa o wpływie reformacji na politykę i oświatę w Polsce*, „Reformacja w Polsce”, R. 2/1922, nr 5-6, s. 139-160; J. Kowecki, *Pospolite ruszenie w insurekcji 1794*, Warszawa 1963; A. Kraushar, *Sprawa Dogrumowej* [w] *Drobiazgi historyczne*, Petersburg-Kraków 1891; M. Kukiel, *Próby powstańcze po trzecim rozbiore*, Kraków 1912; tenże, *Z dziejów dyplomacji insurekcyjnej*, „Kwartalnik Historyczny”, t. 24/1910, s. 207 i in.; Z. Kukulski, *Pierwsi nauczyciele świeccy w szkole wydziałowej lubelskiej w dobie KEN*, Lublin 1939; T. Kupczyński, *Kraków w powstaniu kościuszkowskim*, Kraków 1912; B. Leśnodorski, *Dzieło Sejmu Czteroletniego...*, Wrocław 1951; tenże, *Polscy jakobini*, Warszawa 1960; J. Lubieniecka, *Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych*, Warszawa 1960; J. Łojek, *Upadek Konstytucji 3 Maja*, Wrocław 1976; B. Majewska-Maszkowska, *Mecenat artystyczny Izabeli z Czartoryskich Lubomirskiej*, Wrocław 1976; B. Michali, *Działalność oświatowa Ignacego Potockiego*, Wrocław 1979; J. Michalski, *Dyplomacja polska w latach 1764-1795* [w]

Historia dyplomacji polskiej, Warszawa 1982; tenże, *Z dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, Warszawa 1953, s. 20-21, 50-51, 76, 96, 109, 118-119, 279; K. M. Morawski, *Ignacy Potocki*, Kraków 1911; W. Puszczyński, *W kręgu biletu poetyckiego. Warsztatowe popisy literatów skupionych wokół Ignacego i Stanisława Potockich* [w] *Sztuka pisania. O liście polskim w wieku XIX*, red. J. Sztachelska i E. Dąbrowicz, Białystok 2003, s. 9-18; E. Rostworowski, *Sprawa milicji mieszczańskich w ostatnim roku Sejmu Czteroletniego*, „Przegląd Historyczny”, t. 46/1955; J. Rudnicka, *Biblioteka Ignacego Potockiego*, Wrocław 1953; tenże, *Ignacego Potockiego zapowiedź dzieła „Epoki nauk w Polsce”*, [w] *Studia i Materiały z Dziejów Nauki Polskiej*, Warszawa 1954; tenże, *Instrukcja KEN z 1779 roku dla Grzegorza Piramowicza podróżującego po Italii*, „Przegląd Humanistyczny”, R. 17/1973, z. 4; W. Smoleński, *Konfederacja targowicka*, Kraków 1903; tenże, *Publicyści anonimowi z końca wieku XVIII*, Warszawa 1912; W. Wilkoszewski, *Rys historyczno-chronologiczny Towarzystwa Wolnego Mularstwa w Polsce*, Londyn 1968; *W kręgu Wielkiej Reformy*, Kraków 1977; J. Wojański, *Straż Praw*, Warszawa 1982; A. Zahorski, *Centralne instytucje policyjne w Polsce w dobie rozbiorów*, Warszawa 1959; T. Zielińska, *Poczet polskich rodów arystokratycznych*, Warszawa 1997, s. 273;

Korespondencja Ignacego Potockiego w sprawach edukacyjnych, Wrocław 1978; *Listy Katarzyny z Potockich Kossakowskiej*, Poznań 1883; K. Koźmian, *Pamiętniki*, Wrocław 1972; *Tajna korespondencja z Warszawy do Ignacego Potockiego*, Warszawa 1961;

Archiwum Główne Akt Dawnych, Archiwum Branickich z Białegostoku; Archiwum Gospodarcze Wilanowskie; Archiwum Publiczne Potockich; Archiwum Roskie; Archiwum Radziwiłłów; Archiwum Zamoyskich; Zbiory z Muzeum Narodowego; Biblioteka Czartoryskich w Krakowie; Biblioteka Ossolińskich.



PRZEMYSŁAW KUŁIŃSKI

Antycznie

Jest noc
to tylko jedno słowo

jest słoneczny dzień
to tylko dwa słowa

orgazm
w niecałe trzy minuty

nie ma żadnej metafizyki
nie ma nie ma

Jedność miejsca czasu i akcji: śmierć
Antycznie





ROBERT KONCA

*Teraz, kiedy widzę śmierć słów, wiem,
że nie ma granicy rozkładu. Pozostaną
po nas w czarnej ziemi rozrzucone głoski.*

Akcenty nad nicością i prochem.
Zbigniew Herbert „Epizod w bibliotece”

POSAG LUSI

- Aha, jakby co, to to jest posag Lusi! – oznajmił Strażnik Praw, zostawiając mnie samego w bibliotece. Czego tam nie było. Henri Michaux, mieszkaniowiec przestrzeni wewnętrznych, jak kiedyś napisała Julia Hartwig, i jego *Qui je fus* oraz *Lointain interieur*. Zbiory poezji Eliota, Pounda, Audena i obu Miłoszów: Czesława i Oskara. *Wielkie wygrane* i *Gra w Klasy* Cortazara. Eseje i wiersze Zbigniewa Herberta, *Cień Bafometa* Stefana Grabińskiego; Homer i Bruno Schulz, Franz Kafka i Hrabal, Keats i Yeats. Z wolna pochłaniał mnie ich świat; przypomniane wiersze i wątki powieściowe nakładały się na siebie, tworząc nowe, zaskakujące perspektywy. Wkrótce zapomniałem, że przyszedłem tu, aby zebrać materiały do pracy naukowej; zapomniałem o długiej wojnie papierowej, którą musiałem stoczyć, by pozwolono mi tu wejść; o stosie formularzy w dwóch językach, które kazano mi wypełnić. Gdzieś na peryferiach świadomości, nawet nie wiem, czy mojej, tam, gdzie szum myśli napotyka otchłań ciszy, a ostatnie przejawy życia giną jak krople wody w jałowej glebie śmierci, Józef K. przypomni sobie słowa Yeatsa: „Jestem duszą nieśmiertelną uwięzioną w ciele zdychającego zwierzęcia”.
- Dobry wieczór! Dobrze się pan czuje? – spoza przestrzeni literackiej usłyszałem ciepły, kobiecy głos i poczułem czyjaś troskliwą dłoń na ramieniu. Odwróciłem się i ujrzałem zaniepokojoną twarz gospodyni.
- Wszystko w porządku, pani Lusi – powiedziałem. – To biblioteka tak na mnie działa.
- Dobrze ci z oczu patrzy, chłopcze – uśmiechnęła się pani Lusia. – Mam coś dla ciebie – rzekła tajemniczo i bezbłędnym ruchem sięgnęła do regału. – Wiersz Zbyszka. O ile wiem, nigdy nie był drukowany. Może tro-

chę... frywolny, ale to przecież cały Zbyszek. Niech ludzie przeczytają, dość się już odleżał w szufladzie.

Podziękowałem i pożegnałem się serdecznie z biblioteką i jej wspaniałą gospodynią. W holu spotkałem Drwała Vlado z nieodłączną piłą. Jak zwykle szepnął mi do ucha: „My już się kiedyś spotkaliśmy”. Mrugnął okiem porozumiewawczo i wymieniliśmy silny uścisk dłoni na pożegnanie.

*

Jeszcze nie wiedziałem, w co się pakuję. Kiedy pani Lusia dawała mi wiersz, przez mój umysł przemknął fragment *Słów wróżebnych*, które napisał Jean-Claude Renard:

*Wiedz przede wszystkim,
Że na drzewach figowych w kwietniu pierwsze figi
Na ogień przymrozków
Nie skarżą się nigdy.*

*Bo opowieść snuje się dalej
Nawet w sali, gdzie leżą umarli.*

Wiersz Pana Zbyszka został po kilku miesiącach wydrukowany w pięknej i godnej oprawie w pewnym prowincjonalnym kwartalniku, redagowanym przez pasjonatów kultury. Wspomniany periodyk istnieje dzięki skromnym dotacjom i ciężkiej pracy jego twórców, dla których jedynym zyskiem jest satysfakcja, że bez błogosławieństwa centralnych i nieomylnych salonów, literatura, nauka i sztuka mogą się jednak rozwijać, a na peryferiach jest więcej miejsca i przestrzeni dla różnorodnych poetyk i poglądów, niekiedy bardzo od siebie odległych i specyficznych, ale przecież co najmniej równie ważnych jak te błyszczące splendorem oficjalności i

owinięte bawełną wątpliwych namaszczeń.

Minęło kilka tygodni. Moja niepojęta karma (nie mam tu na myśli karmy dla psów, a mimo to myśląc „karma” odczuwam niekiedy głód) dopadła mnie pewnego dnia o świcie. Spałem właśnie w zakonspirowanym lokalu Klubu Literackiego im. Julio Cortazara w powiatowym mieście S., śniąc o manewrach miłosnych z pewną cyganką, gdy nagle, w kluczowym momencie onirycznej akcji, do mojego umysłu dotarł niepokojący sygnał dochodzący wyraźnie spoza świata snu. To telefon dzwonił, dzwonił... dzwonił tak, jakby chciał, żeby go ktoś odebrał. No i odebrałem, niestety.

Usłyszałem w słuchawce monotony, mechaniczny głos, który oznajmił: Dziewięćdziesiąt sekund temu wpłynął do tutejszego sądu akt oskarżenia przeciwko pańskiej osobie w trybie przyspieszonym, dwugodzinnym. To oznacza, że za dziesięć minut zjawi się u pana jednostka uderzeniowa THOR, która otrzymała właśnie rozkaz zatrzymania pana i dostarczenia przed oblicze Sądu. Proszę natychmiast się ubrać i przygotować do rozprawy, która rozpocznie się za siedemnaście minut. Wszelki opór jest bezsensowny i daremny. Czy są pytania?

- Nie, towarzyszu, nie mam pytań – zaśmiałem się rozmyślając, który to z moich kolegów robi mi taki kawał z samego rana. – Ale myślałem, że sądy dwugodzinne to przeżytek i że mamy już sądy z naliczaniem sekundowym.
- Nikt nie jest doskonały – odparł poważnie Głos. – Ale wiele procedur liczymy już w sekundach, o czym za chwilę się pan przekona. Do widzenia. – wycedził i rozłączył się.

Napiłem się wody mineralnej i poszedłem do łazienki. Nagle usłyszałem huk i przeraźliwe krzyki. Drzwi od łazienki przestały istnieć i ledwo zdążyłem schować siusiaka, a już leżałem na podłodze z rękami skutymi kajdankami na plecach. Po chwili jechaliśmy już do sądu tymi nowymi, włoskimi blacharniami, na sygnale, jak paniska. Mimo niewygód, z nieodpartym podziwem obserwowałem sprawność proce-



Barbara Medajska

dur. Nie minęło pięć minut od zatrzymania, a wprowadzono mnie na salę rozpraw. Sąd był w składzie jednoosobowym: mężczyzna w srebrzystej todze pokrytej czymś w rodzaju łusek. Rybie, nieruchome oczy sędziego zdawały się mnie nie dostrzegać; patrzyły, jak piasek osypuje się w sądowej klepsydrze.

- Następnie wszedł prokurator (rozpoznałem go po czerwonych paskach na czarnym dresie), a za nim wjechał na pokrzywionych, skrzypiących kółkach, dziwaczny wehikuł, przypominający nieco starą pralkę „Frania”. Urządzenie zbliżyło się do mnie i, z pewnym trudem, niezdarnie zajęło miejsce przy ławie oskarżonych. Zauważyłem, że miało krótkie, trochę zardzewiałe kończyny dolne, podobne do nóg fotela obrotowego, oraz jedną tylko, ale za to błyszczącą nowością i chromem kończynę górną, która w dodatku okazała się lewa, oczywiście pod warunkiem, że ten ciekłokrystaliczny ekran maszyny uznamy za jej twarz, a nie na przykład za coś w rodzaju potylicy czy karku.
- Uff, ledwo zdążyłem – zasapało urządzenie, obcierając jedynym ramieniem krople jakiegoś oleju z ekranu. – Za dużo spraw mi zlecają, nie ma kiedy się w dupę podrapać. No, ale do rzeczy. Jestem twoim Elektrycznym Obrońcą z Urzędu.
- Chyba elektronicznym? – zapytałem, chcąc ustalić fakty.
- To jest możliwe. Może nawet jestem kwantową papugą... – zastanawiała się maszyna drapiąc się po obudowie. – Ale w tabliczce znamionowej napisano: elektryczny. Mniejsza o większość, wstańmy.

Pospiesznie wstaliśmy, bo sędzia uderzył młotkiem w stół i oświadczył, co następuje:

- Otwieram przewód pokarmowy... – sędzia beknął głośno i przez chwilę kłapał szeroko rybimi ustami, łapiąc powietrze.
- Pokarmowy? – zapytał zawiedziony prokurator.
- Sądowy, oczywiście! – oznajmił wesoło sędzia, mówiąc coraz szybciej. – Rozprawa odbywa się w trybie przyspieszonym, a w zasadzie, można powiedzieć, ekspresowym – dwugodzinnym. Panie prokuratorze, proszę odczytać akt oskarżenia.

Prokurator zaczął czytać monotonnym głosem, jaki to ze mnie zimny drań, pijak i złodziej, bo każdy pijak to złodziej wierszy. Na szczęście mój Elektryczny Obrońca z Urzędu zaczął wyświetlać na swoim ekranie film. Obraz był kiepskiej jakości, jak w starych, ruskich telewizorach, które wybuchały, gdy telewizja puszczała coś ostrzejszego od *Emmanuelle*, ale poznałem, że to *Barton Fink* braci Coen. Prokurator czytał i czytał, a tymczasem mały John Torturro zakładał kłameę zapaśniczą na potężnym Johnie Goodmanie w ciasnym, zapyziałym pokoju hotelowym.

- Czy oskarżony zrozumiał zarzuty? – przerwał mi sędzia.
- Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- Czy oskarżony przyznaje się do winy? – nie odpuszczał sędzia.
- Ja bardzo przepraszam, - powiedziałem - ale podejrzenia panów są całkowicie bezpodstawne. Ja niczym nie handluję. Ten pan przyszedł z tym wierszem i z nim wychodzi.
- Co na to obrona? – zapytał zde gustowany sędzia.
- To prawda, że mój klient włamał się do Biblioteki i ukradł przedmiotowy wiersz, a następnie doprowadził do jego publikacji bez zgody Strażnika. Jednak obrona zamierza wykazać, że oskarżony działał w stanie wyższej konieczności...
- Nie włamałem się, tylko normalnie wszedłem, i nie ukradłem, tylko pani Lusia dała mi wiersz i powiedziała, żeby publikować.
- Przepraszam – mruknął zakłopotany obrońca. – Zasugerowałem się aktem oskarżenia, ale w tym pośpiechu trudno coś ustalić. Nie widziałem nawet akt śledztwa. Czy oskarżony może jakoś udowodnić, że

otrzymał ten wiersz od pani Lusi?

- Nie wiem – odpowiedziałem. – Strażnik mówił, że to jest posag Lusi, ale pani Lusia wkrótce umarła.
- Teraz to jest już nie posag Lusi, ale spadek – rzekł z satysfakcją prokurator.
- Teraz, panie prokuratorze i wszyscy święci, jest to historia literatury, nie tylko polskiej, ale światowej. Wszystkim powinno zależeć na tym, aby wiersze pana Zbigniewa były publikowane, by za parę lat ktoś jeszcze wiedział, że poezja to nie tylko lingwistyczne pohukiwania. Ale w bibliotece spotkałem kogoś jeszcze... Mógłby zeznać, że pani Lusia dała mi ten wiersz, że nie było żadnego włamania. To pan Vlado Drago, bardzo wiarygodny świadek, noblista, był blisko, wszystko widział i słyszał, Wysoki Sądzie.
- Wnoszę o przerwę w rozprawie w celu przeprowadzenia dowodu z zeznań świadka Vlado Drago – przytomnie zawnioskował Elektryczny Obrońca z Urzędu. – Jednocześnie wnoszę o zwolnienie oskarżonego, gdyż stawiane mu zarzuty nie są dostatecznie uprawdopodobnione i powinien on odpowiadać z wolnej stopy. A właściwie – stwierdził po namyśle Obrońca – wygląda na to, że wszyscy tracimy tu czas, bo opisywane zdarzenie nie ma znamion czynu zabronionego.

Z ciekawością spojrzałem maszynie prosto w ekran. To król elektrycznej palestry, pomyślałem. A na ekranie spocony John Goodman siedł przez płonący korytarz hotelowy, mrużąc ze zdziwieniem pod nosem: „Ależ gorący”.

- Jaka przerwa! – ryknął sędzia waląc młotem w stół. – To jest postępowanie przyspieszone. Dowody na stół albo zamykam przewód! Za dwadzieścia trzy minuty musi zapasć wyrok – popatrzył na klepsydre. – Nie ma czasu na szukanie świadka. Dla pańskiego szeroko pojętego dobra byłoby wskazane, żeby dobrowolnie poddał się pan karze. Nasza wspaniała procedura przewiduje takie rozwiązanie. Proponuję tysiąc euro grzywny!
- Nie mieszmajmy dwóch systemów walutowych, Wysoki Sądzie. Nie bądźmy pewekami. Tysiąc złotych mogę... - rzekłem dla świętego spokoju.
- To razem będzie dwa tysiące – odparł Sąd.

Nagle drzwi sali rozpraw otwały się z hukiem, a raczej wypadły z futryny, i na salę wkroczył Vlado Drago ze swoją nieodłączną piłą spaliniową, a za nim Cyganka Marta w kolorowej, długiej sukience i talią kart crowleyowskiego tarota w ręku. Vlado stanął za barierką dla świadków, oparł na niej potężne ramiona i patrząc sędziemu prosto w oczy oświadczył:

– Jestem Vlado, drwal. Właśnie przypadkowo przechodziłem obok sądu, wszedłem i co się dzieje? Niewinnego człowieka się sędzi. Nieładnie.

– Przechodził pan? Przepadkowo? – sędzia patrzył na niego podejrzliwie. – I do tego z piłą. Dlaczego ochrona nie odebrała panu piły?

– Bo sobie tego nie życzyłem. – odparł Vlado z niewinnym uśmiechem. – Nigdy się z nią nie rozstaję. Tylko raz, w Sztokholmie, musiałem ją na chwilę zostawić, jak odbierałem nagrodę ufundowaną przez tego wynalazcę dynamitu, jak mu tam było... Mniejsza o to. A ochrony już nie ma, Wysoki Sądzie, okazała się zbyt cenna. Przy mnie i tej pani – wskazał na Cygankę Martę rozkładającą kolorowe karty na podółku – nic się nikomu nie stanie.

– Daruję pan sobie te komentarze. – sędzia zrezygnowany otarł pot z czoła, pochylając się w bok i patrząc gdzieś w dół, jakby ktoś był pod stołem sędziowskim. – Proszę wszystkich o powstanie, a świadek niech powtarza za mną rotę przysięgi.

– Powtarzam: Świadomy znaczenia moich snów i odpowiedzialności przed Panem przyrzekam uroczyście, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego co mi jest wiadome.

– Proszę podać swoje imię, nazwisko, wiek, zawód i czy był karany za składanie fałszywych zeznań... – sędzia, mówiąc to, coraz bardziej pochylał się pod stołem, jakby jakiś malutki świadek łasił się do jego kolan. Wszyscy obecni na sali wyciągali głowy z ciekawością, kto tak zaabsorbował uwagę sędziego. Ale nikogo tam nie było widać. Wreszcie sędzia wyprostował się z godnością, wysmarkał głośno nos i zwrócił się do Vlady zniecierpliwiony – Czy świadek jest głuchy?

– Nie. Wydawało mi się, że to było nie do



Barbara Medajska

mnie. Ale już mówię: Vlado Drago, 54 lata i 54 centymetry w bicepsie, Wysoki Sądzie, z zawodu drwal, z powołania pisarz, nie karany za składanie fałszywych zeznań.

– Wy, Polacy, – zaczął Vlado z wysokiego ce-wprawiacie mnie czasem w zdumienie. Zamiast rozpowszechniać wiersze swoich najlepszych poetów, kłóćcie się o prawa autorskie. Zamiast podziękować temu młodemu człowiekowi i jego kolegom, zamiast wspierać upadającą kulturę, stawiać mego przyjaciela przed sądem. A on tylko chciał, żebyście mogli przeczytać niepublikowany wcześniej utwór poety, któremu Seamus Heaney zadedykował ten oto wiersz:

*Byłeś jednym z mieszkańców krainy północniejszej
nawet niż wiatr,
Ale najbliższej sercu Apollina: to do niej powracał
Każdej zimy. Dla wszystkich, którzy w krainie
mieszkał,*

*Byłeś jego heroldem, kiedy znowu unosił go szum
Wichru i milkła kraina, i nadzieje lata pierzchały.
To on uczył cię gry na lirze, starannego strojenia jej
strun.*

- Powtarzam: dowody na stół – wściekły sędzia walnął młotem w stół. – To jest rozprawa sądowa, a nie klub literacki!
- Prawo jest iluzją w umysłach sędziów – stwierdził ze smutkiem Vlado. – To wymysł szatana opętanego przez człowieka, vide: Wojciecha Szmigonia koncepcja opętania, Wysoki Sądzie.
- Mogę świadka ukarać za obrazę Sądu i zrobić to z przyjemnością – powiedział cicho sędzia, znowu pochylając się w dół z wyraźnym niepokojem. Cyganka Marta przerwała kontemplację kart, zbliżyła lewą dłoń do swoich ust i lekkim dmuchnięciem skierowała jakąś niewidzialną substancję w stronę stołu sędziowskiego. A maleńcy świadkowie nadal nie dawali spokoju sędziemu, gryząc go coraz silniej po łydkach.
- Może pan, panie sędzio. Ale może pan też się opamiętać i zwolnić niewinnie oskarżonego. Przejdzie pan do historii literatury, stanie się pan bohaterem. Jakiś nowy Cervantes opíše pańskie heroiczne czyny. Niech pan sobie wyobrazi: sam przeciwko niesprawiedliwości, przeciwko wiatrakom komercji. Mogę być przy pana boku, jak Sancho Pansa.
- Milczeć! – coraz bardziej roztrzęsiony sędzia nie mógł już usiedzieć na swoim fotelu. Wykonywał rozpaczliwe ruchy, jakby oblażył go gryzące insekty. – Ja stoję na straży prawa przez duże Pe!
- Panie sędzio! – drwał Vlado wyszedł powoli zza barierki dla świadka i zbliżył się do stołu sędziowskiego. – Czy wie pan, jaka jest różnica między prawem a sprawiedliwością?
- Osiem tysięcy wyroków wydałem – odparł z dumą sędzia, drapiąc się intensywnie po udach.
- To z samych wyroków pan wie, jaka jest różnica – stwierdził Vlado, odpalając swą straszliwą pilę. Tymczasem Elektryczny Obrońca z Urzędu wyświetlał na swym ekranie *Drogę Smoka*. Bruce Lee i Chuck Norris rozpoczynali właśnie śmiertelną walkę w ruinach Koloseum, a rzymskie koty przyglądały się zmaganiom mistrzów

z dziką fascynacją. Świadek Vlado Drago przeciął wprawnym, szybkim ruchem stół sędziowski i powiedział – Oto dualizm, Wysoki Sądzie. Pańskie prawo to moje lewo. Z jednej strony prawo, a z drugiej sprawiedliwość. A między nimi jest otchłań, przepaść nie do przebycia... – Vlado błyskawicznie zbliżył się do mnie i jednym cięciem przeciął kajdanki na moich dłoniach. Następnie wszedł w rozpadlinę między dwiema częściami stołu sędziowskiego, znikając na chwilę w czającej się tam ciemności, a potem wyłonił się znowu i usiadł na miejscu sędziego, który gdzieś się zapodział. Jego toga wolno opadała na podłogę jak suchy liść na wietrze. – Rozprawa dobiegła końca, w trybie przyspieszonym – ogłosił uroczyście Vlado.

- Co tu się dzieje?! – złapał się za głowę prokurator.
- Zmiany, zmiany, zmiany – rozłożył potężne ramiona drwał Vlado.

★

Było późne popołudnie. Siedziałem z Drwalem Vlado na werandzie małego domu, w siedzibie Południowego Oddziału Klubu Literackiego im. Julio Cortazara. Ośnieżony masyw Lodowego Łśnił złotą barwą w promieniach zachodzącego słońca, zupełnie jak piwo Złoty Bażant w naszych kufkach. Rozległą polanę obsiadły kruki patrzące z niecierpliwością na ścieżkę wyłaniającą się z gęstego lasu. Pies, stary owczarek górski, niegdyś śnieżnobiały, a obecnie skłaniający się ubarwieniem raczej w rejonach jasnobarzowej nieokreśloności, także podniósł wielki łeb i patrzył z nadzieją na ścieżkę. To znak, że zbliżała się Cyganka Marta z nowymi wieściami. No i rzeczywiście – nie minął kwadrans, jak nadeszła, potężna, ale jak zawsze powabna, jakby przyrastająca masa i upływające lata nie były w stanie naruszyć jej piękna.

Przystanęła na chwilę, rzucając w górę niewidzialne kawałki pożywienia, które sprytnie kruki łapały w locie. Po dłuższej chwili ptaki usiadły znowu na drzewach wokół polany i zaczęły coś gadać do Cyganki; możliwe, że dziękowały za tę osobliwą kolację. Marta odpowiedziała kilkoma

gardłowymi dźwiękami, następnie uniosła prawe ramię jakby w geście błogosławieństwa i stado kruków odleciało.

– Co słyszać w eleganckim świecie? – zagailem.

Marta z tajemniczym uśmiechem ściągnęła plecak i wyjęła z niego trzy butelki nalewki z cannabis, po jednym egzemplarzu dla każdej ze stron, że użyję języka prawniczego. Wypiliśmy po łyku i Marta wreszcie wygrzebała z plecaka sfatygowany numer jednego z wszechobecnych tabloidów wydawanych chyba już w całej galaktyce przez koncern Alexa Spritzera.

– Czytaj, Marto, bo mnie oczy bołą – rzekł Vlado.

– What the Fuck? – zaczęła czytać Marta. – Fauna, flora, sexy gogo tanećnice... Opytajcie się lisiaka... – kątem oka nad tytułem gazety zobaczyłem figlarne uszy lisa, zaś na dole strony powiewającą rudą kity.

– Ale nie reklamy, kotku – mruknął zniecierpliwiony Vlado. – I nie zapowiedzi imprez kulturalnych. Tytuł z pierwszej strony prosimy.

– Już, już – Marta spojrzała zalotnie na drwała i przeczytała, a Vlado śmiertelnie poważnym tonem tłumaczył na polski:

„Ciganka ukazała prsia! (Tego ci, bracie, chyba nie muszę tłumaczyć – powiedział drwał.) Dramatyczne wydarzenia w siedleckim sądzie! Skandalem zakończył się proces groźnego gangstera Bobiego K., pseudonim Czarny (38 l.), członka zorganizowanej grupy poetyckiej o charakterze zbrojnym, znanej jako Klub Literacki imienia Julio Cortazara. Jak informuje policja, pod tą straszliwą nazwą krył się gang, który od wielu lat zajmował się uprawianiem literatury i sztuki. Jego metody działania były wyjątkowo bezwzględne. Bandyci systematycznie pisali wiersze i prozę, które to narkotyki następnie pod postacią książek rozprowadzali po całym kraju, a jak się okazało po drobiazgowym śledztwie, także za granicą, między innymi na Słowacji, w Czechach i Izraelu. Do odrębnego rozpoznania prokuratorzy skierowali wątek współpracy gangu z tak zwaną Wschodnią Ośmiornicą vel Koziną. Sądzony w trybie przyspieszonym Czarny w tajemniczych

okolicznościach wymknął się ze strzeżonego gmachu sądu przy ulicy Biskupa Świrskiego i wszelki ślad po nim zaginął.

Jak ustalił nasz informator, wysoki funkcjonariusz policji (192 cm, 45 l.), podsądnemu w ucieczce pomagali inni, bezwzględni członkowie gangu: Vlado D., pseudonim Drwał (54 l.), ukarany niedawno Literacką Nagrodą Nobla, oraz nieznana z imienia i nazwiska kobieta narodowości romskiej (wiek nieokreślony; jeden ze świadków przysięgał, że była młoda i piękna, drugi – że stara i odrażająca). Co ciekawe, początkowo wydawało się, że Cyganka została schwytana. Na pospiesznie zwołanej konferencji prasowej minister sprawiedliwości Zbigniew Zorro (37 l.) triumfalnie oświadczył do stu kamer i dwustu mikrofonów: „Ta pani żadnego mężczyzny już cnoty nie pozbawi”. Po dokładniejszych oględzinach i przesłuchaniu okazało się jednak, że kajdanki założono na spracowane ręce sądowej sprzątaczkii (51 l.) o ciemnej karnacji skóry. W tej sprawie jest więcej niewiadomych. Sędzia orzekający w tym procesie dosłownie rozplynął się w powietrzu, co potwierdza w rozmowie z naszym dziennikarzem Elektryczny Obrońca z Urzędu (7 l.). Wciąż nie jest też jasne, jak i dlaczego ochroniarze wpuścili wspomnianą parę opryszków do sądu. Nasz reporter zapytał o to pracownika Agencji Ochrony „Tarcza i pała”, Alojzego H. (65 l.), który pilnował wówczas ze swoim partnerem wejścia do siedleckiego Pałacu Sprawiedliwości. Oto, co usłyszał od strażnika nasz dziennikarz śledczy Jurek Mazurek (43 l.):

– Najsamprzód szła ta Cyganka, ubrana w taki kolorowy szlafrok czy coś. Uśmiechnęła się do nas i rozchyliła poły tego szlafroka. Nic nie miała pod spodem i wtedy zobaczyłem te jej wielkie piersi. Panie! Jestem weteranem ZOMO, wiele w życiu widziałem, ale to było ponad moje siły. Nic nie mogłem zrobić, jak Boga kocham! Potem wszedł ten wielki gość z piłą, mówił coś, że jest na świadka, pokazywał jakiś wiersz, mówił chyba, że to powiastka do sądu, ale ja już nie pamiętam dokładnie, film mnie się urywał. Ale ja to pół biedy, panie redaktorze. Gorzej było z Młodym, co ze mną



Barbara Medajska

miał służbę, bo on spojrzał tej cygance niżej... Na OIOM chłopaka zabrali. Zanim stracił przytomność, bredził coś w gorączce o jakichś otworach. Wielkie otwory, powtarzał, wielkie otwory zieją w miejscach, gdzie starczyłyby zwyczajne...

Nasza redakcja apeluje: Panie Premierze Donaldzie Duck (55 l.)! Kiedy wreszcie w Polsce zapanuje porządek? Niech pan i pana podwładni wydadzą bezwzględną walkę zorganizowanej przestępczości, która swymi mackami sięga do pieniędzy podatników, obejmując wszystkie aspekty życia publicznego, od wymiaru sprawiedliwości po kulturę i sztukę!

O nieudolności rządu w ściganiu przestępców czytaj na stronie drugiej" – zakończyła z ulgą Cyganka Marta.

Na stronie drugiej był obszerny fotoreportaż. Na pierwszym zdjęciu jakiś gruby facet z piłką do cięcia metalu wynajmuje pokój w

recepcji hotelu. Napis pod zdjęciem: „Jestem Drago, Vlado Drago – tak przedstawił się nasz reporter, który ucharakteryzowany na poszukiwanego groźnego gangstera, bez żadnych problemów zameldował się w hotelu MSWiA”. Na drugim zdjęciu ten sam facet spaceruje po hotelowym korytarzu w objęciach dwóch przechodzących pań, dzierżąc w dłoni wino musujące marki Sovietskoje Igritskoje. Napis pod fotografią: „Tak w Polsce bawią się gangsterzy. Nikt nie zareagował na prowokujące zachowanie naszego reportera, który w otoczeniu naszych koleżanek ucharakteryzowanych na ekskluzywne prostytutki, nie miał najmniejszych trudności w zakupie luksusowych alkoholi w restauracji resortu spraw wewnętrznych, mimo, że ciągle przedstawiał się jako Drago, Vlado Drago”. Na trzecim zdjęciu facet wychodzi z hotelu machając serdecznie ręką w stronę uśmiechniętej z politowaniem recepcjonistki. Poniżej napis: „Po upojnej nocy nasz reporter przez nikogo nie niepokojony opuszcza rządowy hotel”.

– Podobny do ciebie, Vlado – zażartowała Marta. – No i ta wspaniała piła... – uważnie przyglądała się zdjęciu próbując dojrzeć rzeczne urządzenie.

– Powinienem ich oskarżyć o zniesławienie – zaśmiał się Vlado. – Ale na razie mam dość sądów. Ten brzeszczot jednak obraża moje dobre imię – nie mógł sobie darować drwał. – Ale coś ty jemu ukazała, temu ochroniarzu, Marto?

– Och, nic takiego – zarumieniała się Cyganka. W tej chwili była uosobieniem niewinności i dziewictwa. – Tylko magiczne ciasteczko z dziurką...

– Już ja znam te twoje ciasteczka... – Rozmarzył się Vlado. – Pokaż gazetę, zobaczymy co tam w kulturze. O, jest bogata oferta. Na przykład: Siedlecka Noc Kulturalna: Kino „Centrum”, godzina 23: John Rambo (65 l.).

– O reszcie propozycji kulturalnych nie mówmy – powiedziałem z rezygnacją. Leżący obok pies zastrzygł uszami. Z lasu dobiegał jakiś osobliwy dźwięk. Zbliżał się. Vlado od niechcenia pogłaskał swoją spalinową piłę. Patrzyliśmy na ścieżkę. Skrzypienie narastało. Wreszcie z lasu wyłonił się jakiś pękaty kształt podskakujący na wybojach. Ze

- zdziwieniem stwierdziłem, że to Elektryczny Obrońca z Urzędu. Jechał wolno, wyraźnie zmęczony, ale machał do nas z daleka radośnie jedynym ramieniem.
- Witam Klub Literacki imienia Julio Iglesiasa – wykrzyknął na powitanie zdyszany Obrońca. Vlado spojrział na niego krzywo.
 - Julio Cortazara, oczywiście! – poprawił się z entuzjazmem Elektryczny. - Strasznie cię lubię, Vlado – klepnął drwała po szerokich plecach chromowanym ramieniem. – Wszystkie Władki to porządne chłopcy! A dla ciebie – zwrócił się do mnie – coś mam – podał mi wybór wierszy Zbigniewa Herberta. – To prezent.
 - Od kogo? – zapytałem.
 - Mogę powiedzieć ci tylko jego inicjały, chociaż i tego nie powinienem: A.R.
 - Dzięki, Elektryczny, dobrze się spisałeś.
 - Tylko pamiętaj – podniósł swoje ramię obrońca, jakby chciał tym rzymskim gestem dodać powagi swoim metalicznym słowom. – To jest posag Lusi!
- Uśmiechnęliśmy się wszyscy na wspomnienie tych niezwykłych wydarzeń, które zaplotły nasze losy i oddały nas tajemnej grawitacji poezji Herberta. Dawno nie widziałem nas takich radosnych; każdy był świadomy, że zrobił to, co powinien; jakbyśmy zapalili nikły płomyk w mroku ignorancji, gęstym od lepkich gadżetów pseudokultury. Bo czymże są nawet najbardziej spektakularne misje odwetowe Johna Rambo wobec krótkiego postoju na stacji Rovigo? Jak ten dzielny komandos zachowa się u wrót doliny? Pośle serię z pistoletu maszynowego, strzałę z kuszy w spadające niebo? I co może przeciwstawić obłudny strażnik tak zwanych praw autorskich przesłaniu Pana Cogito albo gorzkim i do bólu prawdziwym diariuszom kronikarza obłożonego Miasta...
- Napijesz się? – zapytał Obrońcę Vlado. – Mamy nalewkę z konopii indyjskich, bardzo łagodna, tylko 15 procent alkoholu.
 - Trudno, co robić – w głosie Elektrycznego zabrzmiała nuta pogodnej rezygnacji. Jednocześnie z prawej strony ekranu, w miejscu, które można uznać za ucho, otworzyła się z trzaskiem mała klapka. – To port ALKO – wyjaśniła maszyna. – Należy się, tylko nie pomył, bo obok jest USB!

- Nie wiedziałem, że masz takie możliwości – pokiwał głową Vlado, wlewając ostrożnie alkohol do tego osobliwego portu.
- A widziałeś kiedyś adwokata-abstynenta? – zapytał Obrońca retorycznie.
- Pozwolisz jednak, że jeszcze o coś spytam – rzekł ostrożnie drwał.
- Jasne, dziś pytanie, dziś odpowiedź – maszyna krzesła wesołe iskry z ekranu.
- Po co pijesz, skoro nie możesz przecież poczuć działania alkoholu?
- Ależ mogę i czuję! – Elektryczny zakręcił się chwiejnie wokół własnej osi. – Port ALKO zawiera sieć receptorów bezpośrednio połączonych z czymś w rodzaju odpowiednika waszego mózgu. Działanie alkoholu i innych używek jest właściwie natychmiastowe. 100 % chłonności. Satysfakcja gwarantowana!
- Muszę wracać do Smokovca – przerwała tę ciekawą dyskusję Marta.
- O tej porze? Przecież to osiem godzin drogi przez góry. Na samą Lodową Przełęcz masz stąd sześć godzin marszu – powiedziałem.
- Ja wyrobię się w godzinę, i to bez miotły – zaśmiała się Cyganka. – Obiecałam Frankowi, że wrócę.
- A co u niego?
- Po tym spotkaniu z Robertem trochę się zmienił. Mniej pije, wrócił do treningów. Jestem mu dzisiaj potrzebna – spojrzała na Lodowy Szczyt jakby szukała najkrótszej drogi do Franka. – Bywajcie, chłopcy!

Marta zrobiła kilka ćwiczeń oddechowych i odeszła. Patrzyłem, jak przyspiesza, zagłębiając się w las. Usłyszałem, jak nuci jakąś cygańską, melancholijną melodię. Mimo, że szybko się oddalała, dotarły do mnie jeszcze słowa, które śpiewała, a był to fragment wiersza Herberta:

*nie chcemy innych bogów nasz kruchy dom z
powietrza
wystarczy kamień drzewo proste imiona rzeczy
nieś nas ostrożnie od nocy do nocy
a potem zdmuchnij zmysły przed progiem pytania*

- Siedzieliśmy w milczeniu; słowa pieśni krążyły nad polaną, dobiegały ze wszystkich stron cichnąc powoli, a czas drzemał w nas ujażdżony siłą poezji.
- To może na drugą nóżkę... – pierwszy ode-

- zwał się Elektryczny, otwierając z fasonem swój zachłanny port.
- Ja już nie mam – powiedział Vlado, odstawiając pustą butelkę. – Powinni większe te flaszki robić, zwłaszcza dla takich mecenasów jak ty – spojrzał na pękate kształty maszyny. – Pójdę do domu, coś się znajdzie.
 - Widziałeś go, abstynenta jednego? – zwrócił się do mnie oburzony obrońca, gdy drwał wszedł do domu. – Sam łyknął prawie całą nalewkę w pół godziny.
 - Teraz to nic, on prawie nie pije, oczywiście w porównaniu z tym, co było kiedyś. Dziesięć lat temu w niecałe pół godziny wypijał ćwiartkę wódki i cztery piwa. Cała karczma była postawiona w stan najwyższej gotowości, żeby zdążyć mu to wszystko nalać i podać w odpowiedniej porze, bo zawsze po robocie w lesie spieszył się na pociąg do domu. I wierz mi, miał powody, żeby pić. Chyba tylko pisanie go uratowało. *Wrażliwość i siła*, bracie, tytuł jego najważniejszej książki, mówi sam za siebie. Ale masz, bo widzę, że cię suszy – nalałem mu resztę swojej nalewki. – To za ten proces dola.
- Wrócił Vlado z butelką boroviczki, dwoma kieliszkami i wielkim słojem utopenców, czyli cienkich kielbasek w pikantnej zalewie. Najpierw wlał słuszną porcję destylatu do portu ALKO obrońcy, aż ten zatrzęsł się z radości. Potem napełnił nasze kieliszki i wypiliśmy, jak ludzie, zagryzając utopencami.
- Zjesz jednego, mecenasie? – zapytał uprzejmie Vlado.
- W odpowiedzi, na ekranie Elektrycznego pojawiły się jakieś równania z tyloma niewiadomymi, że chyba brakowało już alfabetu na ich oznaczenie, a następnie rozbłysły wielopiętrowe wykresy i tajemnicze fraktale.
- Brak dostępu do jedzenia. Ne identyfikujem – stwierdził wreszcie ze smutkiem Obrońca, a jego ekran przygasł. – Ale co tam jedzenie! – krzyknął znowu z podnieceniem. – Panowie, jesteście komandosami literatury! Kiedy następna akcja? – zaczął chwiać się na boki wymachując groźnie ramieniem, ale po chwili opadł z głuchym stuknięciem na werandę. – Lingwiści się zbroją, strażnicy praw autorskich ślą cyniczne monity, umierają słowo... słowo... wa –

bełkotała kompletnie pijana maszyna. – Zrobimy na... jazd... Najazd klubu na sa... na sa... lony. Najazd cameli na kiosk! Poe... Poezja! Love... Lovecraft! – ekran znowu przygasł i zapanowała nagle cisza.

- Zaniósę go do domu i położę spać – powiedział po chwili Vlado. – Zostajesz?
- Posiedzę jeszcze trochę – odpowiedziałem.

Drwał wziął na ręce Elektrycznego Obrońcę i zaniósł go do domu. W drzwiach maszyna odezwała się jeszcze słabym głosem: Skrytym uto... utopencożercom mówimy stanowczo: nie...

Pijany mechanizm jest mądrzejszy od wielu trzeźwych ludzi, którym wydaje się, że są właścicielami literatury; że dorobek życia umarłych poetów mogą trzymać w zakurzonych szufladach, albo sprzedawać każdą strofę wybranym przez siebie jedynie słusznym gazetom lub czasopismom. Tak sobie myślałem, ulegając naglemu zwątpieniu. Przypomniałem sobie domy tak zwanej kultury, wyświetlające coraz bardziej durne filmy, organizujące wybory miss nastolatek, utrzymujące niezliczone zespoły tańca nowoczesnego, w których dzieci miejscowych notabli podskakują w rytm debilnej muzyki. Przypomniałem sobie gazety opiniotwórcze; w każdej stado posłusznych literatów i kompatybilnych z nimi recenzentów, przekonanych, że nie istnieje literatura poza ich wąskim gronem.

Nalałem sobie kielicha, żeby ochłonać. Spojrzałem w stronę domu i znowu poczułem się lepiej, bo przez okno widziałem, jak Drwał Vlado troskliwie układa do snu Elektrycznego Obrońcę z Urzędu, przykrywa go dokładnie kocem aż po sam ekran i cicho, na paluszkach, podchodzi do kontaktu, aby zgasić światło. Później patrzyłem na góry. Słońce wreszcie zaszło, a nad Jaworowymi Szczytami pojawiła się burzowa chmura. Błyskawica oświeciła na moment masyw Lodowego i wydawało mi się, że tuż pod Lodową Przełęczą, na tle białej pościeli śniegu, widzę ciemną postać Cyganki Marty podążającej do swojego Franka. Pozdrowiłem ją w duchu, życząc szczęścia po drugiej stronie przełęczy.

Depresja zniknęła. Teraz byłem już przyszłym autorem tego opowiadania. Przypomniałem sobie opowieść Darka Magiera o absurd-

dalnych perypetiach domniemanego złodzieja wiersza Herberta. Co prawda nie były tak dramatyczne jak jazda mojego bohatera, ale kto wie, co będzie za parę lat, biorąc pod uwagę tempo degeneracji współczesnej kultury oraz gwałtowny rozwój prawa karnego i autorskiego. Barbarzyńcy już zaorali Ogród i wkrótce zasadzą w nim swoje betonowe pomniki. Wiedziałem, że aby mój tekst nie stał się ponurą ionesco-groteską, daremnym krzykiem na puszczy i bazgrołami zaciśniętej pięści, konieczna będzie pomoc panów: Stanisława Barei, Jerzego Dobrowolskiego i Stanisława Tyma, których poczucie humoru i sposób przedstawiania rzeczywistości są mi szczególnie bliskie i którym w tym miejscu strasznie dziękuję.

Wrócił Vlado. Siedzieliśmy w milczeniu; każdy nasłuchiwał dalekich pomruków burzy, szumu potoku, melodii własnych wspomnień. Słowa umierają, mało kto już

potrafi się nimi posługiwać, myślałem, patrząc na szmatławą gazetę, która nie jest godna, by stać na niej słoik utopenców i flaszka borowiczki.

Nie ma granicy rozkładu. Ale może rozsypane głoski kiedyś znowu się połączą, wyrosną poematami w umysłach na tyle wrażliwych i jednocześnie silnych, że poprzez jęki chorej rzeczywistości usłyszą odwieczną opowieść Ziemi i Kosmosu.

Kolejna błyskawica rozświetliła całą Javorową Dolinę. Podczas nocnych burz często myślałem o tej lipcowej nocy sprzed 10 lat, kiedy w warszawskim Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc umierał Zbigniew Herbert. Zastanawiam się, co czuł, jaka była jego ostatnia myśl i czy po drugiej stronie ktoś wyszedł tej myśli na spotkanie.



ADAM ŚWIĆ

Pan Cogito ogląda mecz w telewizji

Pan Cogito kiedy był małym chłopcem
grywał w futbol
czynił to
nie bez namiętności
właściwej neofitom

dzisiaj jest zaledwie kibicem
patrzącym na mecz
przez lupę ekranu

potrafi jednak docenić
kunszt zwycięskich Achillesów
i męstwo pokonanych Hektorów

lecz z największą satysfakcją
przyjmuje remis
szlachetny brak rozstrzygnięcia
który pozostawia w powietrzu
bladą smugę niepewności



JERZY REUTER

GOŁĘBIE

Moje balkonowe stado składa się z trzech gołębi rodów. Lamparty, to te mniejsze od wszystkich, z jasnym upierzeniem, poplamionym granatowymi cętkami. Przeważnie siedzą na parapecie i są ostatnimi w kolejce do jedzenia. Znają swoje miejsce. Nigdy nie wchodzi w środek rozsypanego ziarna i dziobią po obrzeżach. Ich pokora przekłada się na bardzo rodzinne relacje. Dbają o swoje potomstwo, a jajka znoszą gdzie popadnie. Lamparty są najliczniejszą grupą mojego stada.

Dynastią środkową w ptasiej hierarchii są Kury – tak je nazwałem. Hałaśliwe i najodważniejsze ze wszystkich, okupują poręcz balkonową. Jasne, prawie białe, mają na szyjach czarną otoczkę. Podchodzą pod drzwi i zaglądają do mieszkania, dziobią w szybę i gruchają doniosłe. Są największe i najsilniejsze, ale rządzą tylko Lampartami, które są zbyt pokorne, by walczyć o pozycję w balkonowej władzy.

Nad wszystkimi gołębiami sprawują rządy ciemne, prawie czarne z białą lotką w lewym skrzydle, przewodnicy. Piórka, nazwane tak od białego akcentu, pierwsze zaczynają jedzenie i zawsze są w centrum. Szefem piórkowego stada jest stary samiec bez jednego oka, nazwany Piratem. Natomiast, całym balkonem rządzi niewiele większa od gołębia, moja suczka, Norka. Przegania Kury, obojętnie przechodzi obok Lampartów i ze strachem ucieka przed Piórkami. Zna balkonowe zwyczaje.

Do zaokiennych postaci zaliczam jeszcze moją sąsiadkę, Helę. Właśnie skończyła dziewięćdziesiąt lat i nabyła dziewięćdziesiąt chorobę. Hela jest wrogiem wszystkiego, co żywe na balkonie. Nie rusza się zbyt żwawo i ma tendencję do wywracania się na plecy. Gdy upadnie, sama już nie wstaje. Wali wtedy laską o podłogę, przywołując sąsiada, czyli mnie. Szczególnie nienawidzi gołębi, a Norkę toleruje tylko ze względu na moją pomoc.

– Ty, Cyngiel, kiedyś się dorobisz! – przestrzega. – Dorobisz się jakiegoś kolegium, aż cię

pokręci.

– Może nie, pani Helu – odpowiadam grzecznie. – Same przylatują i co mam zrobić? Jeść nie dawać? To grzech.

– Głupiś, Cyngiel.

Hela, gdy przymyka oczy, przypomina starą porcelanę. Zamyka się do wewnątrz i nie ma jej obok. Jest tylko świszczący oddech i zapach maści cynkowej, wtedy wstaję ci-chutko i wychodzę. Mam klucz od jej mieszkania, tak na wszelki wypadek, na okoliczność nieszczęścia, albo szczęścia – jak mówi Hela. Odchodzę do siebie i wiem, że już blisko, gdy odejdę ostatni raz, a klucze zostawię na stole, jakieś kuzynce, czy innej krewnej.

– Głupiś, Cyngiel – powtarza. – Otwórz lodówkę i weź sobie dziesięć jajek. Siostrzenica ze wsi nawiozła. – Bo taka jest moja Hela kochana.

*

Od dwóch dni nie widzę Pirata, a Piórka żyją w rozproszeniu i nie przypominają panującego rodu. Kury wyczuwają nieobecność przewodnika i wprowadzają anarchię. Biją niemiłosiernie Lamparty i przeciwstawiają się dominującemu Piórkowi. Pirat zaginął i nie wiem czy jeszcze powróci. Na balkonie zrobiło się głośno. Gołębie walczą o panowanie.

– Pan Cyngiel? – W drzwiach stoi młody policjant. Przestępuje z nogi na nogę jak dziecko w potrzebie i pokazuje blachę. – Koński jestem, dzielnicowy. Nowy dzielnicowy, panie Cyngiel jestem.

– No, tak – odpowiadam. – Jeżeli powiem, że jest mi przyjemnie, to skłamię, ale niech pan wchodzi, panie... Jak?

– Koński, nie? Przecież mówię.

Wchodzi i pcha się do pokoju. Potem siada w moim fotelu i wyciąga z teczki jakieś papieryska, i gapi się na nie, że niby taki mądry. Udaję absolutną obojętność i zapalam papierosa, a żeby go zdenerwować,

stawiam na stole ćwiartkę wódki i dwa kieliszki.

- Jednego? – pytam z kamienną miną. – Lubi pan czasem? Co?
- Coś pan zgłupiał? – odpowiada. – Ja nie jestem tutaj towarzysko, miły panie, ale dziękuję, no jasne, towarzysko zawsze można.
- Co też pana do mnie sprowadza?
- No właśnie – podtyka mi pod nos jakiś papier. – Mamy donos na pana, panie Cyngiel. Mało tego, mamy sprawę do sądu grodzkiego. Jednym słowem, nie jest dobrze.
- Czyli, że co? Panie Koński.
- Czyli będzie sprawa. Sprawa sądowa, panie Cyngiel. A o co? No, właśnie. O jakieś osrajdachy! Pan dokarmia gołębie i czyni to na swoim balkonie.
- Pirat nie wrócił, panie Koński.
- Co? – patrzy na mnie zdziwiony. – Jaki pirat, do diabła!
- No, ten bez oka, Pirat, taki ważny ktoś. Nawet pan nie wie, jak ważny.
- Co to za jeden? Ten Pirat, gdzie mieszka?
- Kto go wie? Gdzieś mieszka, albo mieszkał? – nalewam sobie wódki. – Może już nie żyje?

Może zabity gdzieś leży?

- Panie! Niech pan zagadkami nie gada. Do rzeczy, panie Cyngiel!
- Można powiedzieć, że wyszedł z domu i do dziś nie powrócił.
- Cholera jasna! – dzielnicowy wyjął notes. – Teraz ja to muszę wszystko zapisać. Dodałeś mi pan roboty! Może jednak wróci?
- Może tak, a może matka natura go zjadła? Ktoś kogoś zjada przecież... Żeby żyć.
- No nie!
- A wracając do gołębi – kończę temat z Piratem. - Jakie gołębie ja karmię? Proszę to nazwać konkretnie. Podać rodzaj karmy i gatunek. Niech się pan nie dziwi, bo to ważne informacje. Od rodzaju karmy zależy wysokość kary, panie Koński. Proszę podejść do okna i pokazać mi te dokarmiane ptaki. Corpus delicti, mówi to panu coś? Mnie głównie obchodzi, co tam ktoś napisał, a pan niech blokesrów goni po piwnicach i dupy nie zawraca. Rozumiemy się?
- No... Pan coś nerwowo... Ja mam obowiązek i nic mi do gołębi, ale sam pan rozumie,



nie? Tu sprawa w sądzie, a panu ktoś zaginął i bez wieści...

– Panie dzielnicowy – przerywam. – Niech mi pan zostawi wezwanie. Dzisiaj nie mam czasu. Nie mam, bo czekam na Pirata, dobrze?

– Dobrze. Mnie wsio ryba. Może ten Pirat znajdzie się do naszego spotkania – wyciąga druczek i wypisuje. – Proszę. Za dwa dni się widzimy. Tutaj wszystko zapisane. Ledwie wyszedł, słyszę za ścianą stukanie. To Hela leży na plecach i wali łaską o ziemię. Muszę iść i kolejny raz uratować jej życie. Ona tam leży i modli się bym nie przyszedł.

*

Mój pirat wrócił! Zobaczyłem go dzisiaj rano, gdy sypałem pszenicę na balkon. Przechrządał się dumny po poręczy i gruchał radośnie, a Kury nie odważyły się wchodzić mu w drogę. Najgorsze jest to, że wrócił ranny. Miał zakrwawione nogi. Mało tego, nogi były związane zieloną żyłką. Hela

doradziła bym złapał Pirata i uwolnił go z pęt, ale jak złapać dzikiego gołębia? Długo wabiłem go ziarnem. Gdy się uspokoił i wszedł na balkon, zarzuciłem na niego ręcznik. Udało się. Obciąłem krepującą żyłkę, a rany nasmarowałem jakąś maścią gojącą, od Heli. Pirat żyje i przewodzi gołębiom na moim balkonie.

W kilka dni od powrotu Pirata, umarła Hela. Znalazłem ją wciśniętą pomiędzy klozetem, a wanną. Nie miała łaski pod ręką, nie miała, czym zapukać w podłogę. Może tak chciała? Może specjalnie, do toalety wyszła bez podpórki? By nikt nie przybiegł na czas? Kto to wie? Jej spękana porcelana rozsypała się bez żadnego dźwięku.

W sądzie wygrałem sprawę. Wszystkie szkody wyrządzone przez ptaki poszły w zapomnienie. Pomogła mi zza grobu Hela. Wzięła winę na siebie, a właściwie ja tę winę przerzuciłem na nieboszczkę. Na pewno tak by chciała, bo taka była moja Hela kochana.



MARZENA PODKOŚCIELNA

* * *

dzieci biegają za piłką
śmiechem
rozbiły ciszę

* * *

dzwony w oddali
woła cisza
z pustego kościoła

* * *

wilgoć wawozu
po brzegi
ubłociła buty

* * *

taka cisza w sadzie
nawet robaki
spią w jabłkach

* * *

śliwy nieruchome pod ciężarem
spadł
liść pierwszy

* * *

wiatr w koronach drzew
pusta droga
korzenie wiją się z bólu

* * *

wiosna
matka zakłada skarpety
coraz chłodniejsza



ANNA NOGAJ

DOTYK DAJĄCY CARTE BLANCHE

Otworzyła drzwi do świątyni i wolnym krokiem weszła do środka. Ciche odgłosy szeptanych modlitw odbijały się głucho od kamiennych murów, uspokajały. Światła były przygaszone, tylko wizerunek Chrystusa oświetlony czerwoną lampką widniał między witrażowymi okienkami. Czuła się obco i nad wyraz dziwnie, bo nie wiedziała, dlaczego tu przyszła właśnie dziś i właśnie o tej porze. Czego ja tu szukam? - pomyślała siadając w jednej z zacisznych ławeczek oddalonej znacznie od ołtarza. Uklękła i przymrużonymi oczyma popatrzyła na obraz Chrystusa. - Dlaczego tak bardzo oddalałam się od ciebie? Czy Ty w ogóle istniejesz? Jeśli tak, to dlaczego zabrałeś mi Elego? Ech... to nie ma sensu - jęknęła. Skuliła się w sobie chcąc opanować narastające drżenie. Odklepała szybko modlitewną formułkę i wyszła przed świątynię. Jakoś nie było jej lżej, wciąż bolało. Ulica wydawała się równie obca. Porcjowane z trudem powietrze, wtłaczane do płuc, szarpało wnętrzności. Po pięciu minutach szybkiego marszu była już w domu. Znalazła się wśród głuchych, zimnych ścian. Nikogo nie było. Włączyła spokojną muzykę i przytuliła twarz do poduszki. Kolejny raz powrócił dręczący sen. Ośmioltnia Lidka siedzi samotnie nad kałużą i beznamietnie odgarnia zamokłe liście cicho pochlipując. Zawsze sama. Poskręcane ponure konary drzew skrzypią zło-wieszczco, a wiatr smaga po twarzy. W migo-tliwym odbiciu szuka twarzy Milego. Czasem zbliżał się do dziewczynki, wyciągając w jej kierunku ręce. Ale wtedy budziła się i już do końca dnia wypełniała ją tęsknota za nieznanym.

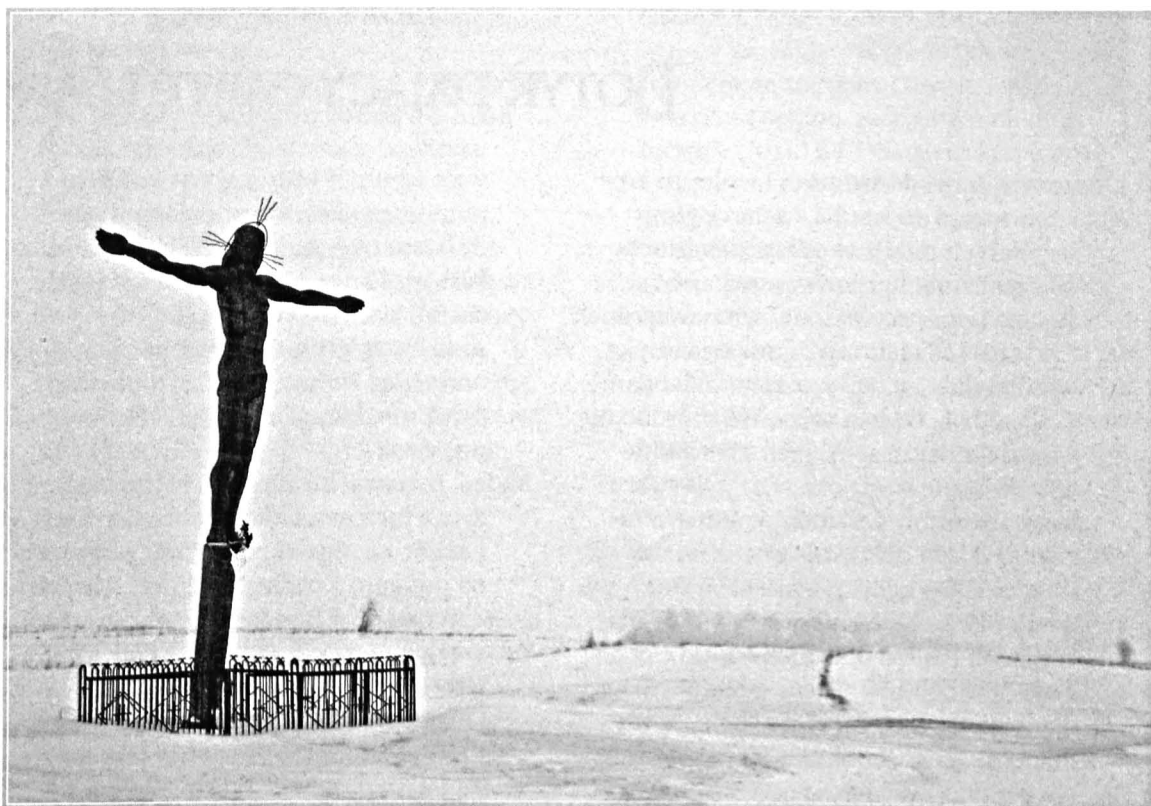
Od najmłodszych lat Go szukała. Wtedy kiedy było smutno, kiedy tata nie miał dla niej czasu, a mama krzyczała. Kiedy koleżanka z ławki zabrała jej ostatnią kanapkę, a ruda Olka wytykała ją palcem i zanosila się bełkotliwym śmiechem. Czasami wyda-

wało jej się, że Miły jest wikariuszem z pobliskiego kościoła, a czasami ogrodnikiem pielęgnującym rabatki pani Barbary - bo to byli tacy dobrzy ludzie: dawali jej cukierki, przytulali. Cóż, Lidka rosła i zażyłość z tymi ludźmi malała, zaś ona wciąż nie mogła się pozbyć pustki, którą mógł wypełnić tylko On. Obrońca i pocieszyciel.

Budzik rozerwał gwałtownym krzykiem rzednącą już ciszę. Lidka zerwała się z łóżka i patrząc na zegarek, rzuciła się ponownie na posłanie. Kolejny studencki szary dzień - pomyślała. Chciało jej się wyć na myśl, iż spotka się twarzą w twarz z panem profesorem, wlepiającym w nią nieufne oczy, i z ludźmi, a raczej karykaturami ludzi, którzy za wszelką cenę chcą przypodobać się prowadzącemu zajęcia.

- Lidziu baw się z dziećmi, zobacz, jakie mają tutaj ładne zabawki, no, nie bądź dzikuska!
 - Ja nie chcę, nie chcę! - Zabierz mnie do domu!
 - Ryknęła tłumionym płaczem. Nie cierpiała szkoły. Zamknięta w tej amorficznej klatce pragnęła, aby jak najszybciej wydostać się na zewnątrz. Wybiec z rozłożonymi ramionami na łąkę, stać się łąką, wypełnić się śpiewem ptaków, po czubek głowy. Zagubić się w lesie, rozkładać i składać krajobraz w różne kształty, gonić zachodzące słońce. Ten świat był lepszy. Tutaj była cisza, a tam szum miasta, pośpiech, ból. Ot, taka mała dzikuska, jak ją nazywali niektórzy.

Po zajęciach wolno szła korytarzem, nie uważając nikogo. Hałas stawał się nie do wytrzymania, drażnił uszy. Wyszła przed uczelnię i skierowała w stronę parku. Jaki jest sens tego wszystkiego? - pomyślała rozgarniając czubkiem buta leżące na chodniku liście. Ta niekończąca się samotność, same straty i nieustanny żal. Jeżeli już szczęście, to tylko na moment, błysnie jak płomień zapalki i równie szybko gasnie. I ten strach przed wszystkim. Może to zło, dziejące się wokół mnie wynika stąd,



 Mirosław Koczkodaj

że nie mam odwagi dokonać tego jednego arcyważnego kroku w dorosłość...? Tak rozmyślając nie zauważyła, że niebo przybierało z minuty na minutę coraz mocniejszy, stalowy odcień, a chmury nadęte jak ogromne balony z wolna kłębiły się nad głowami wieszcząc rychłą ulewę. Pierwsze krople, rozbijające się na nosie, wyrwały ją z zadumy. Przyspieszyła kroku.. W górze przenikliwie jęknęło, zadudniło i trrrach. Sypnęło deszczem nie na żarty, a do domu jeszcze zbyt daleko. Co robić, co robić...? Skreśliła w boczną uliczkę i pobiegła do pobliskiego kościółka. Za godzinę majówka, wiec na pewno kościelny krząta się już w zakrystii - pomyślała. Z daleka majaczył krzyż strzelający z tryumfem w niebo i przykościelne zabudowania. Po paru chwilach przemoczona do suchej nitki, zbliżała się do świątyni. Wtedy zastąpił jej drogę proboszcz Antoni. Po zdawkowym „Szczęść Boże” i wymuszonym uśmiechu, chciała odwrócić się na pięcie i wejść do środka, gdy ksiądz chwycił ją za ramię.

- Poczekaj chwilkę. Pytał o ciebie jakiś miły pan, Taak, bardzo miły pan, choć nie wiem, kim jest ani co robi u nas, bo chyba nie z naszej parafii. Ale twierdzi, że dobrze się znacie.

- Co też ksiądz mówi? - uśmiechnęła się.

- W kościele?

I nie czekając na odpowiedź pobiegła w stronę drzwi. Przez głowę przepląnęło jej tysiące myśli, ale nadal nie mogła sobie uświadomić, kimże jest ten mężczyzna, czemu pytał o nią proboszcza. Jej policzki zapaliły się nagłym rumieńcem.

Po chwili weszła w kojący chłód świątyni.

Faktycznie, nikogo nie było w środku, oprócz niego. Siedział w nawie bocznej z twarzą ukrytą w dłoniach. Podeszła na palcach, cichutko i uklękła za nim. To on? Niemożliwe. Widzieli się parokrotnie. W parku, na uczelni, w kawiarni. Mężczyzna długo ją obserwował i zachęcał uśmiechem do rozmowy. W końcu zamienili ze sobą kilka słów i tak się zaczęła ta dziwna znajomość. Był chyba literatem, tak mówił bynajmniej. A jego oczy - jakby aniola

oczy. Wzbudził w niej takie zaufanie, że odnalazła w nim uosobienie Miłego. Potem nagle zniknął, ot, rozplynął się w powietrzu. I tyle go widziała. W jakim celu do niej przyszedł tym razem? Boże, co też ja mówię. Jaki Miły!? Za dużo naczytałam się książek i stąd ta rozpasana wyobraźnia...

- Nie skradaj się, wiedziałem, że dzisiaj tu przyjdiesz - mężczyzna odjął ręce od twarzy i czule się uśmiechnął.
- Naprawdę? A ja miałam nadzieję, że nigdy cię nie zobaczę. Po co za mną łazisz. Kiedyś myślałam, że jesteś moim opiekunem i pocieszycielem. Ale to były tylko dziecięce wymysły i nic więcej. Daj mi święty spokój, słyszysz!? Nie chcę, abyś mnie nachodził i mówił do mnie to swoje „będzie dobrze”. Zawsze, jak cię widzę, coś złego się ze mną dzieje. Może właśnie ty sprowadzasz na mnie te wszystkie nieszczęścia, aby później udawać miłosiernego samarytana... Hm, jaki masz w tym cel?
- Przypuszczałem, że mi nie wierzysz, ale mimo to przyszedłem. Zresztą... byłem tu częściej niż myślisz, tylko ty mnie nie dostrzegłaś. Nie chciałaś mnie widzieć.
- Taaak, bardzo zabawne. Chyba jesteś Duchem Świętym albo zakładasz czapkę niewidkę.
- Lidka skrzywiła usta i buchnęła ściszoną śmiechem. On jednak mówił dalej nie zważając na jej aroganckie zachowanie.
- Dzisiaj bardzo chciałaś mnie widzieć i wierzyłaś gdzieś w głębi serca, że się pojawię, więc jestem.
- Chyba żartujesz! Kim ty naprawdę jesteś? Jeśli naprawdę jesteś tym Miłym, to... przykryła pospiesznie usta dłonią.
- Hm, jak mnie nazwałaś? Miły? - filuternie się uśmiechnął. Miły - powtórzył. - Ładnie jego oczy wypełniły się radosnym światłem.
- Mówiłeś, że zawsze byłeś blisko, gdy było mi źle. Tak, a czemu jak odszedł Eli, jak umierał każdego dnia na moich oczach, nie było ciebie. - Lidka ściszyła głos. - Potem pojawiłeś się i znów sypałeś niczym z rękawa marnymi pocieszeniami. Niezły miałeś ubaw wiedząc, że tak ci zaufałam.
- Nie chciałaś mnie wtedy widzieć, a raczej nie

mogłaś mnie wtedy widzieć. Ja mimo to byłem blisko i wiem, jak było ci ciężko.

- Dobrze, że przejrzałam na oczy. Po naszym ostatnim spotkaniu wszystko się posypało. I ta pogłębiająca się pustka, ta cholerna pustka nie do wypełnienia. Nawet twoimi biblijnymi frazesami.
- Przykro mi, że tak sądzisz. No cóż, jednak nie przyszedłem tu z pustymi rękoma i zamierzam cię czymś obdarować.

Lidka zdumiona podniosła wzrok. Gdy miała coś powiedzieć, położył jej prawą rękę na głowie.

- Nic nie mów, słowa nie są potrzebne. Nie teraz - wyszeptał.

Początkowo chciała się wyrwać, odepchnąć od siebie tego człowieka, ale coś ją powstrzymywało. Chłonoła ciepło tej dłoni, mocno biło serce. Jednak po paru minutach powiedziała:

- Dość! i wyzwalając się z ciepłego uścisku uklękła, przykrywając dłońmi twarz. Trwała tak dłuższą chwilę. Kiedy uniosła czoło, nikogo przy niej nie było. Spojrzała gwałtownie w bok.

- A jednak!

Z drżeniem rąk odwiązała wstążeczkę i wolno odpakowywała.

- Kamień?! - niemal krzyknęła.

Obok karteczka i równe pismo: „Kiedyś podarowano ci piękne róże. Zachwycałaś się, ale one szybko uwieźły. Długo płakałaś przez te kwiaty. Ciągłe czujesz ich zapach, żyjesz nim. Potem je zasuszyłaś, ale już nie cieszą oczu. Pokrywa je gruba warstwa kurzu, a Ty szukasz ich piękna. Teraz daję Ci kamień. Jeśli uda Ci się przeniknąć jego zewnętrzna warstwę, odkryjesz w nim prawdziwe światło, pulsujące nowe życie. Długo ważyłem go w dłoniach zanim znalazł się w Twoim „posiadaniu”.

Lidka jak oparzona wstała z ławki i pognęła w stronę drzwi. Nerwowym wzrokiem wodziła po ogrodzie księży. Jedynie głowa wikariusza Tomasza pojawiała się raz po raz znad szpaleru tui i dobiegały stamtąd wesołe pogwizdywania. Na prawo, kościelny strzygł trawnik. I nic!, i nic!, i nic!. Wróciła do kościoła. Wielkie lzy kołysały się w niebieskich oczach. - Nie ma go! Znów



📷 Tomasz Młynarczyk

zostawił mnie durnym prezentem i jak zwykle sobie poszedł.

Nagle spotkała się ze wzrokiem staruszka, który z troską zapytał: - Dziecko co ci jest? Nie warto płakać, pamiętaj, że serce człowieka obmyśla drogę, lecz Pan utwierdza kroki. My, ludzie, ostrzymy się na kamieniu szlifierskim bólu i konieczności.

- Niech Pan przestanie! - przytuliła czoło do chłodnej ściany i wsłuchiwała się w radosny śpiew dzwonów. Zawsze ten dźwięk uspakajał ją. A teraz... Osunęła się wolno po ścianie i zakrywając twarz dłońmi, wyszeptwała: Nieee.

Co się ze mną dzieje? Skąd ci ludzie, czemu do mnie, czemu ja...? Wolno podniosła wzrok do góry. Z wysoko umieszczonego krzyża spoglądał na nią On i te jego zdumiewające oczy, dziwne... Ten człowiek miał podobne - pomyślała. Jakby w odpowiedzi na jej myśli ciężkie płaty powiek okrywające spokojne i pełne miłości źrenice uniosły się. Lidka przerażona wolno podniosła się z ławki i wybiegła z kościoła. Albo ją oszalała, albo po prostu spotkałam szaleńca - westchnęła. Chciała raz jeszcze przeczytać

kartkę skreśloną pismem mężczyzny, ale ku jej zdumieniu kieszeń była pusta. Delikatnie otworzyła dłoń, był tylko biały kamień. Może sama go tu przyniosłam, a to, co się działo w świątyni, to wytwór mojej chorej wyobraźni...

Z zamyślenia wytrącił ją sygnał telefonu.

Spojrzała z zaciekawieniem na mały ekran, gdzie pojawiła się pulsująca zielona koperta. Cicho odczytała treść wiadomości: „Są rzeczy, w które trzeba wierzyć, by je zobaczyć”. W zamyśleniu potarła kciukiem gorącą skroń, a w kącikach ust zagościł ledwo dostrzegalny uśmiech.

- a może to wszystko ma jakiś ukryty sens i jednak warto... - powiedziała już znacznie głośniej.

Ksiądz, proboszcz śledząc myślowe zmagania Lidki, zaciekawiony zapytał:

- Jak się czujesz, moje dziecko?

- Dziwnie, bardzo dziwnie - odrzekła. - A wie ksiądz? Trzymam właśnie w dłoni moje *carte blanche*. Spróbuję raz jeszcze powrócić do siebie, ale tym razem już inną drogą. Zdecydowanie inną drogą.



BOŻENA BARDA

Tuż pod powierzchnią

Szykuje do erupcji najlepsze zakończenia. Kończą się tytułem i zaczynają wierszem. I historie. Tym razem bez palca.

Otworzyła drzwi. W kącie piętrzyły się. Scenariusze. Zapachy. W nozdrzach wirowało. Plantami szybciej przez galerię przejść w stronę dworca.

Rejestrował na bieżąco. Musiał mieć pewność. Sens tego, co po wiedział był inny. Międzywierszowy. Wersss sssowy. Zbierał. Kwestionował w tonacjach między palce. We włosach. W kawiarni. Zimno, jak w *ósmym dniu tygodnia*.

Była tak wysoka, że gdy siedziała mi na kolanach, miała oczy na wysokości moich piersi. Chyba odwrotnie. Uśmiechnął się i po stukał palcami. Znalazł sposób na odwrócenie procesu. Odchylił się na krześle.

Góry. Skały. Są jak książki z obrazkami i magma. Gromadzi się.

Imiennie. Jolka

Jolce B.

Jesteśmy w dobrym miejscu. Gęsta zbitka materii. Protogwiazda. Ten sam proces przebiega we wnętrzu. Rozszerza się w ciągu kolejnych miesięcy. Tworzy pierwiastki, reakcje atomowe, nowe gwiazdy i bada materiał.

Sprowadza próbki z kosmosu, asteroidy i tworzy formuły. Pozostałości z najwcześniejszych dni. Zbiera pył i wchodzi w atmosferę. Łączy. Historię powstania z naszym wszechświatem. Później kompresja. Początek i zapadanie się by po wstać. Siła grawitacji. Naukowa zagadka.

Przyciąga. Tworzy nowe obiekty. Z jednakową siłą w każdym kierunku. Niezależnie od temperatury od zewnątrz do wewnątrz ochładza, kondensuje i staje się autorytetem.

Jesteśmy w dobrym miejscu, powtarzam i rezerwuję stolik. Miejsce, gdzie osiąga się spokój. Dźwięki. W różnych tonacjach tworzą symfonię.



ROBERT OLEWIŃSKI

ESTETYKI

Lato 2008, czas powstania i budowania rosarium.

1. Letnia sukienka. Wśród ludzi idących chodnikiem, oczyma nieobecnymi w tym obrazie miejskiego poranka, zauważyłem kobietę. Nosila czarną porzeczkę, malinę, białą brzoskwinie, śliwkę, marakuję, grejpfrut, skórkę cytryny. Pod tym kwiaty drzew owocowych, drzewo sandałowe, wetiwer, florentyński irys, hiszpański miód, piżmo, burbońską wanilię, z bielizną pachnącą bułgarską różą, jaśminem, dar-meńskim fiołkiem. Nie odnalazłem jej spojrzeniem, nie odnalazłem sukienki, w którą mogła być ubrana. Kto by przypuszczał, ile detali godnych podziwu, musiała dziś rano założyć na swoje ciało.

2. Niezrównoważony zachwyt. Przekleństwem chwili są doznania obrazów Caravaggia, gdzie doskonałość szczegółów stoi w niepokodzonej sprzeczności z ich perspektywą, krzywo złożoną z rzutowanych soczewką fragmentów. Nie takiego mistrzostwa spodziewał się obserwator, który sądził, że oko i dłoń wystarczą. ...że dzieło powstało bez mechaniki urządzeń.

3. Double Delight. Rano wśród rosy, razem z ziołami, nabrzmiałe paki róż nie zmęczone jeszcze słońcem, nęcą eterycznymi olejkami, by przygiąć kark ku nim, aż do samej ziemi. Na młodym krzaku pierwszy wśród innych, odważył się rozchylić swoje płatki i pokazał kremowo-biały środek z czerwono-różowymi ich brzegami. I dziwił się tym, które poszły w jego ślad tego poranka: to ja? Przechodzący obok ogrodnik śmiał się: ani to ty, ani twoje lustrzane odbicie, to ktoś podobny do ciebie.

4. Anty-niebo. Tam, gdzie wyciągniętym palcem dłoni brakuje trzech centymetrów przestworzy, by dosięgnąć wewnętrznego spokoju, znajdziesz piekło. Za życia ono bywa Twoim gościem. Potem prawdopo-

dobnie ono gości swoich najlepszych przyjaciół na wieki.

5. Wieczne strachy. ...osobisty diabeł jest przystojnym mężczyzną, który często może liczyć na uwagę płci jeszcze piękniejszej. Wieczorem zaś w fotelu, w pozycji półleżąc, gdy żadna już nie patrzy, śmierdzi lenistwem i papierosami, a odbicie czarnej i zgorzkniałej gęby przeraża bełkotem niezrozumiale postrzępionych fragmentów biblii i filozofów. Inteligencja bez miłości.

6. Kazanie starego jezuity. ...jestem w pewnym sensie przekonany, że opuszczając Raj pomiędzy rzekami Tygrysu i Eufratu, usłyszeli: „Nie wracajcie do czasu, kiedy nie przestaniecie się wzajemnie obwiniać o to, kto zgrzeszył pierwszy”. I nie wrócili już wcale...

7. Przypadkiem. Nowe zauroczenie dwojga, obcych sobie ludzi, kończy się przedwczesnym spełnieniem i przedwcześnie porzucenym na zawsze, pragnieniem trwania w zachwycie...

8. Mężczyzna. Rozdzierający głód pustego miejsca, po tym, który trwał tylko przez chwilę przypadkiem bez odpowiedzialności.

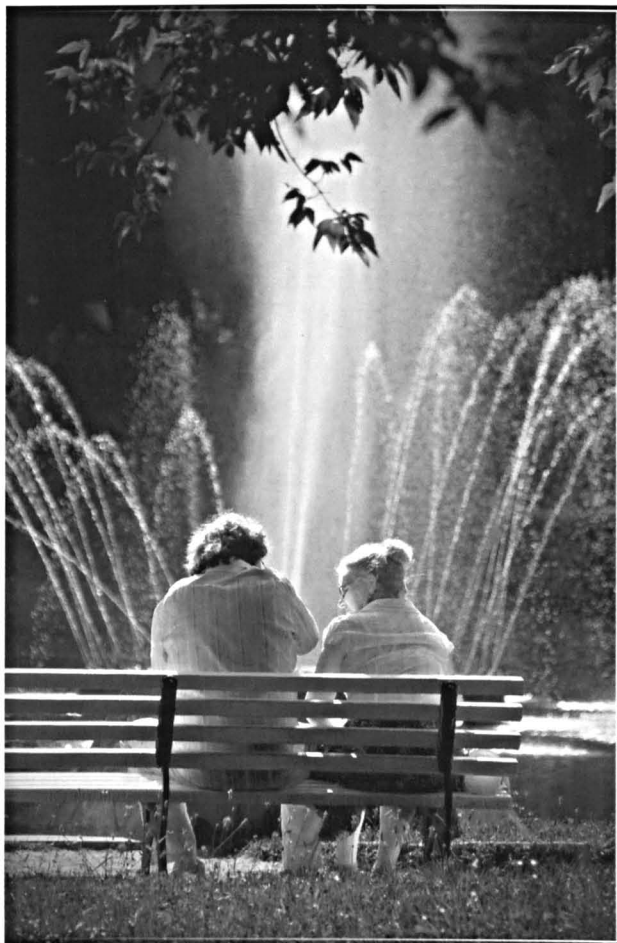
9. Łaknienie oczu. Brzydotę daje się podziwiać równie długo jak piękno, tyle że bez chęci dotyku, bo jednak mamy wrażliwe dłonie.

10. Gentleman. Leksykalnie przywilej bycia gentlemanem przysługiwał mężczyznom urodzonym wysoko - należy domyslać się, że bez względu na maniery, bo encyklopedia milczy w tym aspekcie. W tej samej definicji, na jej końcu stoi akapit, który parafrazuje: ten, który grubiaństwem nie gwałci wdzięku i delikatności.

11. Magnetyzm porzucony. Obserwuję twoje myśli, których nie nazywasz - a których

treść czytam z perspektywy widzianej całości, gdy mówisz. Tak więc nie dotykam ich. Nie dlatego, że boję się o nie pytać. Nie pytam, bo nie masz odwagi i doświadczenia w tym, co dzieje się z człowiekiem potem.

12. **Pieprzowe Góry.** Miejsce na południu, gdzie w czerwcu kwitną dzikie róże w takiej ilości odmian, jak nigdzie indziej w kraju, ponoć nawet na kontynencie. Znajoma Róża mieszka gdzieś tam. Ojciec jest fotografikiem przyrody, dziadek był malarzem. Wystarczy rzeczywistość taka, jak ta opisana wyżej, ładny zbieg okoliczności, bez metafor.
13. **Epoka.** W XXI wieku umysłowi mającemu w zasięgu klawiatury i monitora antypody wszystkiego, łatwo przychodzi ta trudna do zniesienia chęć dawania wszechstronnych rad. Choćby wtedy, gdy spełnia się obywatelski obowiązek przed tępą osobą referenta. Ten urzędnik męczy się brakiem wszystkiego, rozsądku i technologii. Rozumienie historii uspokaja, więc żółć przestaje zalewać. Przypomina się, że trudność ustalenia przez historyków jednej daty dla nowej epoki ma swoje źródło w fakcie, iż wieki temu człowiek Renesansu stanął przed równie tępym rejentem i jego skrybą.
14. **Zbyt często.** Zakochuję się zbyt często i niepotrzebnie. Po co? Raczej dlaczego. Dojrzałem bez smaku mięsa i szpiku ludzkich kości, które teraz smakuję rzucając się na nieostrożnie ciekawych mnie samego. Zbyt długo głodowałem, by nie pożerać. Dalej jednak będzie już bardziej ludzko, bez wydzierania serc.
15. **Hydrargyrum.** Ocierałem się o swoją śmierć prawie do ucieleśnienia - więc się znamy. Nawet nie odwróciłem głowy w jej stronę, gdy mówiła rano o sensie i proponowała mi dziś do śniadania kroplę hydrargyrum. Odparłem, że jako krople do uszu, może i tak, ale doustnie? Literatura nie potwierdza zbawionego działania nawet w ilości 2 szklanek. Również inha-



📷 Tomasz Młynarczyk

lacje nie dają szans na ukojenie, bo towarzyszy temu zbyt wiele niepożądanych efektów ubocznych. Musiałem jednak wyjść do pracy i rozstaliśmy się, aż do następnego razu.

16. **Relatywizm pragmatyczny.** Mam dużo wolnego czasu w rozumieniu mieć czas wolny od. Jak wyprowadzam psa, mam wolne od czytania, jak czytam mam wolne od psa, gdy jestem w pracy mam wolne od obu powyższych. Po dwudziestej trzeciej zaś, mam już wolne od psa, czytania i pracy, też od dzieci, żony, rozmów ze znajomymi. Wtedy jest ten czas na nic, po czym muszę się jeszcze tylko wyspać, choć nie zawsze mam na to ochotę. Pomnażałbym dalej swoje *wolne od*, aż do antynomii. Sen jednak niestety, jak inne obowiązki, nie lubi kiedy odkładam go na później.

17. **Gramatyka braku.** Miniona chwila wyrzutow sumienia ma formę czasu przeszłego trwającego.
18. **Gramatyka pełni.** Trwająca chwila spełnienia ma formę czasu teraźniejszego dokonanego.
19. **Gramatyka dążenia.** Oczekiwana chwila celu ma formę czasu przyszłego rozpoczętego.
20. **Oswajania tabu.** Brawura rozważania każdej zauważonej myśli pozbawia możliwości bycia rozumianym, przez trwających w stereo-typach.
21. **Algebraiczna suma jakości.** Winnym zostaje się w oka mgnieniu na całe życie, bo wszystkie ciosy dają sumę równą jednemu, brakowi zaufania.
22. **Apokryf.** Jak donosi dzisiejsza poranna pra-



Joanna Bukowska

sa, anonimowy kolekcjoner wystawił na licytację apokryf ze znanym fragmentem: c z a s g o i r a n y. Historycy nie są zgodni, czy dopisane na marginesie słowo t r o s k i zostało dopisane przez autora później w wyniku doświadczeń i winno być jako drugie w ciągu, czy może odnosi się do innego epigramatu, który nie zachował się w odnalezionym dokumencie. Jeżeli te drugie przypuszczenie potwierdzi się, psychologowie szacują, że poszukiwanie nowych metod leczenia depresji zajmie kilka... Nie doczytałem szpalty, ale sądzę, że aż do tej chwili ulgi, gdy językoznawcy rozstrzygną czy słowo z marginesu oznacza zmartwienie czy czułe opiekowanie się kimś).

23. **Za plecami.** Kilka metrów przede mną siedzi ktoś tyłem do mnie i nie wie, że o nim myślę, a myśli zmieniają człowieka.
24. **Białkowe pamięci masowe w nanotechnologii i kwarcowe serce.** Ewolucja technologiczna przejawia się również w fakcie porządkowania wiedzy o emocjach i gromadzenia jej na masowych pamięciach białkowych. W tym samym czasie bliźni nie radzi sobie z przeżywaną rzeczywistością, bo nie różnicuje własnych stanów emocjonalnych. Być może do czasu przyszłych badań historycznych, gdy uda się odczytać owe nośniki ponownie. Wtedy badacz pochyli się nad tekstem i sformułuje odkrywczą hipotezę: czy ta wiedza była tożsama z sercem ówczesnego człowieka.
25. **Wynalazek.** Każdą swoją nową pasję rozpoczynam od wynalezienia koła. Ewoluuje od małego uchwytu przez szukanie ułożenia dłoni na narzędziu. Nic nie wy-cisza wewnętrznie bardziej od niespiesznego napięcia w amnezji o reszcie świata, aż do spontanicznie okazanej radości odkrywcy zamkniętego w pracowni. Pomiedzy atlasami i albumami, podłogą zasypaną końcówkami do multi-szlifierki a biurkiem zarzuconym rysunkami i notatkami. Wtedy staję w drzwiach jako doświadczony wynalazca, dla siebie i swoich dzieci.

26. Stary diabeł. Znajomy diabeł od dawna nie mówi dyszkantem, więc nie daje skusić się chwilowym pięknem młodości i nie ludzi się nadzieją na tego rodzaju utratę oddechu. Woli snuć alegoryczne obrazy, na wpół prawdziwe, bo tylko z domieszką prawdy udają piękno. Dlatego jest tak skuteczny wśród osób z astygmatyzmem moralnym.

27. Rozmowa dwóch diabłów przy kartach.

- Irytuje mnie ta stara baba, nawet nie ze względu szpetnego ciała, które mi nie przeszkadza w podziwieniu starości. Odrażający jest brak wrażliwości... sprawdzam.
- ...to nie mija z wiekiem, nie miała i nie będzie miała, ot zwykła baba. Daj popielniczkę...
- Niech to wszyscy diabli...
- No przyjacielu coś się dzisiaj podłożyłeś. Stara Baba jest twoja...

28. Pragnienie. Palce kobiecej dłoni zaciśnięte na rękawie niebieskiej męskiej koszuli, w oddaniu i kategorycznym nakazie pozostania.

29. Pożądanie. Zmęczona męska twarz wtulona w łuk kobiecego ramienia, opierająca policzek o jej szyję pachnącą migdałami, w pożądaniu spokoju.

30. Chmury. Chmury są po to moje dziecko, by patrząc na nie z innym chłopcem czy dziewczynką, widzieć to, co kto lubi. Nawet jeżeli patrzycie na ten sam obłok. Trzeba położyć się tylko na trawie obok siebie, ale w takiej, która jest wyższa, niż wasze nosy.

31. Podlewanie trawy. Dzieci pomagają rodzicom podlać trawę przed domem, bo sprawia im to radość. Nie dlatego, że jutro znowu nie będzie deszczu. O tym nie wiedzą, więc tylko przy okazji powiem ci moje dziecko, że prognoza to przypatrywanie się niebu i wiatrowi, by odgadnąć jaka będzie od rana pogoda: na spacer czy rysowanie słoni.

32. Szpetota. Szpetota jest nieobecnością spodziewanego piękna, którego nie zastały moje oczy, gdy przyszedłszy spojrziałem.



📷 Tomasz Młynarczyk

33. Pomiar Rezonansu Emocjonalnego - eksperyment. Pomiar wrażliwości dokonywany winien być słuchaniem muzyki. Próg ustala się w momencie, kiedy badany odpowiada, że już nie rozróżnia czy to rozedrgane wspomnienia, czy wciąż jeszcze muzyka włączona przez laboranta.

34. Tytuł. Mówcie mi z szacunkiem Wasza Skromność. Smakuje mi w tym wytrawna ironia, którą wyuczuję.

35. Nos. Wąchać należy wszystko, mamy zioła w drewnianych doniczkach obok ławki przed domem i kwiaty w ogródku, musztardę, mydło, ulubioną poduszkę, obrus na stole w salonie, taty rękawiczki z dziurkami do prowadzenia samochodu, sadzę w kominku, nawet smycz naszego psa, od którego można nauczyć się, że po tych zapachach zawsze trafi się do rodzinnego domu.

36. Nadzieja. Kłamstwo i przemilczenie absolutnie nie rodzą nadziei, która daje zmartwychwstanie.

37. Typ. Żalonym pozostaje pokonany mężczyzna-zwycięzca.



📷 Tomasz Młynarczyk

- 38. Plamy i kreski.** Można zmartwić się, że rysunki wychodzą brzydkie, bo barwne plamy rozlane są poza koślawe kreski. Nie są ładne. Nie przejmuję się gryzmołami. Mają tylko symbolizować wytwory wyobraźni przenosząc do niej. Stają się wtedy portalem, te bohomyzy.
- 39. Nie-bajki.** Najbardziej dzieci lubią słuchać tego, co tata robił kiedy był małym chłopcem. Opowiadanie o tych psikusach śmieszy nas wszystkich. Potem, gdy sami coś spocą, może nie boją się tak bardzo jak ja. Jak ja, gdy utopiłem w olbrzymiej kałuży mały czerwony rowerek na trzech kółkach, który ich babcia długą szczotką wyciągała z wielkiego oceanu, którym była dla mnie tamta kałuża.
- 40. Dojrzałość emocjonalna.** Pewien przedszkolak powiedział smutno, że coś się z nim dzieje, a on nie wie co. Zuch spostrzegawczy. To wszystko co szwenda się w sercu jest potrzebne. Gniew - zamiast bić brata grozi mu palcem, by więcej nie kopał. Lęk i strach - rozkazują ustom, by poszukać rodzica i prosić o pomoc. Cierpienie - rozumie jak to możliwe, że niesmaczne lekarstwa są dobre. Poczucie krzywdy - umie upomnieć się o swojego miśka. Poczucie winy - odważnie przyznaje się do głupiego kawału. Zachwyt i radość są siłą do podskoków. Żal - daje nauczkę, by następnym razem nie upuścić w piasek ostatniego z paczki cukierka. Zalety i wady pozostałych: smutku, miłości, nienawiści, nudy, szczęścia, wstępu, wstydu, zazdrości, musisz poznać sam młody człowieku. ...i wtedy już wszędzie razem dacie sobie wspianale radę.
- 41. Spacer.** Symfoniczna uwertura dźwięków wieczoru w mieście zmoczoną wrześnie w deszczem. Ciepło. Gęste żółte światło, u szczytu zgiętych żeliwnych latarni, wzdłuż brukowanej ulicy, coraz niższych, zbiegających się w jednym punkcie w oddali. W powietrzu druga nuta pachnideł kobiet i mężczyzn, więc niezbyt wcześnie. Nie serce ich, więc jeszcze i niezbyt późno. Wiele się jeszcze dziś zdarzy, tym rozbarwionym duszom. Obserwator wróci do domu, kiedy noc w okolicach starówki pochłonie wszystkich do reszty. Aż tak, że

nie będzie można liczyć nawet na cudze przelotne spojrzenie.

42. **Afisze.** Całą troskę okazują jednym pytaniem i dalej nie widać ich całe lata. Tak więc teraz moje zaproszenia ponawiam tylko dziesięć razy, potem już mam w dupie. Skoro w dniu imienin nie wpadało na kieliszek nalewki więcej niż 3 osoby, to po jaki czort zapraszać nekrologami całe miasto. Nie życzę sobie takich afiszy, bo z ust tych, których nie widywałem, nie życzę sobie kłamstw jakim byłem dobrym człowiekiem, bo nie byłem. Ale skąd oni mogą o tym wiedzieć, skoro nie widzieliśmy się od kilkudziesięciu lat.

43. **Non panta rhei.** Pomiedzy industrialną przestrzenią zdarzają się miejsca, gdzie przymrużywszy oczy można widzieć tyle tylko, ile mogło wyglądać identycznie tysiąc lat temu i więcej. Abstrahuję ludzi z współczesności zegarków i stylu ubiorów. Niezmienne pozostają wtedy emocje i pragnienia na tle soczystego trawnika, krzewów dzikiej róży i pni drzew w alejce z granitowego tłucznia.

44. **Herodot.** Padło wiele razy pytanie: po co pisać? Jeśli porzucić szczegóły współczesności i sięgać do motywacji ludzkich pragnień, to próżnością jest powtarzanie po filozofach-olbrzymach, na plecach których usadawiamy się. Nikt jednak ze świadków prawdopodobnie nie opowie jak Herodot o tym, co zdarzyło się człowiekowi wychodzącemu ze stacji metra na Placu Wilsona. A być może znalazłby się ktoś, kto z równie gorącym pragnieniem, jak podczas czytania *Dziejów*, chciałby być uczestnikiem tego zdarzenia.

45. **Zostać kloszardem.** Można znieść wszystko. Wystarczy wyobrazić sobie, że zapomniało się o miękkości materaca i smaku innym, niż zaplesniały chleb. Wtedy jest lekko, bo ma się wszystko o czym zdołało się pomyśleć.

46. **Pamięć kinestetyczna.** Nie pamiętam numerów telefonów. Spisując je patrzę na

dłoń, która kolejno wciska klawisze na aparacie. Bez postaci obrazu w umyśle. Ciało pamięta dotyk. Nieprawdaż?

47. **Elementarz estetyki.** Pragnąłem antypodów sklepowych witryn socjalizmu. Te, były tylko w kolorowych magazynach wydawanych na kredowym papierze na Zachodzie Kontynentu. Szukam do dziś, ja perfekcjonista, ładu. Elementarzy estetyki, z których nauczyłem się, że wszystko musi być ładne i uporządkowane, jak z katalogu. Tak, jak we francuskich wydaniach 3 *Suisses* z lat 80-tych.

48. **Hibiscus.** Jestem zwolennikiem nieustannego poznawania otaczającego świata, wszystkimi umiejętnościami. Kto wie ile podróżował Arystoteles? Może równie odległe, jak Herodot a może i dalej. Powiedzieć o nim, że był filozofem to przejaw ignorancji. To jak powiedzieć o Da Vincim, że był malarzem. Bez reszty.

Tak więc dla mnie paradygmatem są pytania o przyczynę i związku. Te pytania wiodą ciekawość wszędzie. Tkwiąc na wskroś w poszukiwaniu wiedzy o różach, natknąłem się na różę chińską. Zdziwiony ujrzałem znany Hibiscus. Klasa *Rosapsida*, ale nie rzędu *Różowców*. Znany, to prawda. Jednak nie jako róża chińska. Opuszczam opis systematyki i zastosowania. Jeśli zapytasz, osobno opowiem ci o przyczynie małej popularności, historię zapomnienia sprzed pół wieku.

Ciekawy jest fakt, iż jego pojedynczy kwiat w przeciwieństwie do różanego, kwitnie tylko jeden dzień. Dlaczego to inspirujące? Można by w opowiadaniu użyć zamiast lakonicznego sformułowania: *krzew, którego kwiat kwitnie jeden dzień w roku* (ot, bo tak bardziej bajecznie i niewiarygodnie), napisać szczerą prawdę o hibiskusie, wspominając o różach, Kraju Kwitnącej Wiśni, papierze, prochu, porcelanie, murze, sztuce miniaturyzacji długowiecznych drzew takich jak dąb czy sosna, o tysięcznej flotyli na długo przed tym, gdy Kolumb dysponował zaledwie jedną karaką i dwoma karawelami...

Kończąc. W praktyce konieczne wydaje się

wprowadzenie również kilku odmian krzewu i drzewa hibiskusa do założonej hodowli róż, by móc następnie wykonać rysunki z natury uzupełniające własną prozę. Ach, i jeszcze pomyślałem sobie, że motyw hibiskusa jako kwiatu kwitnącego jeden dzień w roku, byłby tym ciekawszy, że przecież hibiskus ma kwiaty przez sto dni. Codziennie nowe, każdy kwitnie kilka godzin. To mogłoby wzbogacić fabułę. Bohater myślałby zapewne, że nie kwiat a krzak kwitnie jeden dzień. To przecież różnica i dobra zagadka. Taka oczywista, kiedy znasz rozwiązanie.

49. Brooklyn Bridge. Na trasie pomiędzy miejscem jednym a drugim w mieście, można wybrać drogę pod starym mostem, pod którym przydarzały się: cielesna miłość, samotna przemarznięta noc, bójka nastoletniego chłopca, czyjaś śmierć w samochodzie rozbitym na kamiennym filarze. Dlatego chodzę po mieście bez gazet i książek.

50. Bibeloty. Jak daleko z rozpacz można rzucić kamieniem, po porzuceniu przez jego ofiarodawcę? Tuż pod własne stopy, by nie rozstać się chociaż z pamiątką?



 Izabela Koczkodaj

51. Duet. Rozczuła mnie wyobrażenie uczuć mężczyzny i kobiety śpiewających razem w środku tygodnia bez przyczyny.

52. Piękna i bestia. Nawet nie zanedbaj przy- stojny mężczyzna bywa pokusą, równą ziarnku pieprzu w ustach kobiety.

53. Ile. Ile pieniędzy potrzeba, by poczuć się szczęśliwym? Szczęśliwcom nic, pozosta- łym w najgorszym wypadku 150 zł za godzinę.

54. Stół doktora Tulpa. Amsterdam. Za ukra- dziony płaszcz położyli go martwego na stole w auli. Ostatni uczynek złodzieja Adriaana Adriaansa, tym razem pro publico bono. Może więc łotr, jak ten z krzyża, powinien zostać świętym lub chociaż doctorem honoris causa?

55. Pracownia. Podczas ekstrakcji ciała stałego od jego znaczenia, diabły nie dotykają ma- terii. Dziś alchemicy położyli się wcześniej, więc kiedy nocą wróciłem do biblioteki, znalazłem już tylko składniki: pustkę, pa- mięć, nadzieję, słownik Kopalińskiego z podkreślonym tekstem o Dafne, stetoskop, pastele i szkice jabłka, mapę Tybetu i ty- toń. Następnego dnia rano przed kio- skiem, ktoś dał się zauroczyć pierwszej napotkanej, innej połowce jabłka.

56. Estetyki. Chciałbym pójść obojętnie ulicą, której nie zauważę. Gdzie nic estetycznego mnie nie zmęczy. Ani wzór bruku pod ka- mienicą w małej uliczce w centrum, ani święta cierpliwość kloszarda żebrzącego o wdowi grosz, którego nikt mu nie da, bo większość to młode rozwódki po podno- szących rękę mężczyznach. Usiłuję wyrzec się zachwyty, ale to niemożliwe bez zapo- mnienia emocji. Odkrywanych w latach dorastania, choćby tych, które objawiały się o 20-tej i kończyły napisem na czarno- białym ekranie:

F i n e





BENEDYKT OLSZEWSKI

Smutna prawda

spadająca łza
mija na swej drodze
usta serce dłonie

nie złapana
nie wyśmiana
spadać będzie ciągle

Koła

zataczałem koła
każde kolejne było nieco większe
nie było w tym planu, ani jedności
jakby w książce brakło
ważnej strony
gdy ją znalazłem
nie było już książki
po co mi to?
długo jeszcze gasilem zgasłą świecę
byłem słaby
zbyt mały
by nawet zostawiać ślady
w śniegu
czy w błocie długo leżałem
nie wiem
wiem, że niepotrzebnie

bez śladów do zatarcia
obawiać się niczego nie muszę
nikt na mnie nie poluje
lecz zostałem bez kłębka
bez śladu z okruszków
czy złotem brukowanej drogi
zgubiony przez kolej rzeczy
czekam na pogrzeb
...
albo zacznę nowe koło na wodzie

Stara Chiro

chciała czytać przyszłość
z mojej ręki
machnąłem tylko przechodząc
nie mam czasu

włożyłem dłonie do kieszeni
zaciskając mocno
czemu mnie zaczepia?

słyszę za plecami
idź sobie w pokoju
nie potrafię czytać z pięści

Czarnowidz

opłakuję na zapas
co się może stać
patrzac na przydrożne drzewo
widzę wypadek
krzyżyk
stojący wkrótce obok
jego drwala
i tych
co nigdy tego nie zobaczą
w żadnym oku nie mogąc
wykrzesać iskry



UWAGA QUIZ!

Zapraszamy Czytelników „Koziegorynku” do wzięcia udziału w quizie. Wszyscy, którzy przysła prawidłową odpowiedź na poniższe pytanie wezmą udział w losowaniu trzech nagród w postaci rocznej prenumeraty naszego kwartalnika.

Pytanie brzmi:

W której z książek Zbigniewa Nienackiego z serii o Panu Samochodziku jedna z przygód głównego bohatera ma miejsce na uroczysku Kozi Rynek?

Odpowiedzi należy przysyłać wyłącznie na adres e-mail: kozirynek@rasil.home.pl do końca grudnia 2008 r. O wynikach konkursu poinformujemy w pierwszych dniach stycznia 2009 na stronie internetowej kwartalnika oraz w zimowym numerze „Koziegorynku”.





CHIMERA

TOM IV. ZESZYT 10-11-12. 1901.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Minotaur.



*Śniłem sen dziwny:
 żeśmy klęczeli oboje w kościelcem zmroczu lip —
 a z rozsrebrzonych ollarzy
 sypał się kwiat — anielskich pełen twarzy —
 a pszczoły się skupiają wśród gałęzi w roje.*

*I klęczeliśmy przed sobą oboje —
 i usta nasze spoily się łzami —
 i nie było już światła przed nami —
 i tylko jedna świętość — serce Twoje.*

*Ponad borami
 krwawiło się zorze
 i słychać szum:
 tak chrzęszcząc zbroje,
 lub do księżycy wzbierające morze —
 a my słuchając klęczymy oboje.*

MINOTAUR

393

Potem — uniósłszy mą dłoń —
z licem płomiennym Ariadny —
grobow zamkniętych rozwarłaś podwoje,
a w głębi luezał Ten, co mrokiem władny,
i pod kopyta zabrał serc oboje.

I po wykutej z bronzu węzownicy,
przez gąszcz maków i modre powoje —
— — ciała nam slocił blask różanolicy —
to księżyc, —
wschodząc zegnał nas oboje.

I już na wieki — w kolumnowej sali —
pojrzałem w morskie lśniące
oczy Twoje.
Jakby mię w grobie ziemią osypali,
uczulem wiew, co gasił serc oboje.

Ale się jeszcze rozlilo zarzewiem
osamotnione w głębiach serce moje —
jeziora czarnym okryte modrzewiem,
nad wulkanami węzów krwawych zwoje.

Wir mię unosił do skalistej grotty,
gdzie króle w złotych maskach i heroje —
przez otwór w ścianie widzę gwiazd obroty —
wtem błyska żrenie fosforycznych dwoje.

A były drzące, jak noc przed oblędem —
wicher w nich szalał, gniew i niepokoje —
— — —

wbiłem miecz z rozpędem —
miedziana pękła pierś —
on błogosławił krwią swą
nas oboje.

394

CHIMERA

— *Ja*
— *duchy z głębin mroku*
— *wywiódłem, biorąc ból i wieczne znoje.*
— *Z gwiazd niedosiężnych —*
— *umieram — wyroku,*
— *aby rozpaść męką serc oboje.*

Nad pustym błędę brzegiem Acheronu,
gdzie z pęknięć płyną
ław czerwone zdroje.
I gwiazdom śpiewam hymn,
podobny dzwonu.
A w dzwon ten bije śmierć.
Znów nas oboje —
ja —
i Śmierć.

Tadeusz Miciński

REPORTAŻ





DOMINIK JACIAK
WYWIADUJE KAZIMIERĘ SAMPLAWSKĄ

„Od dziesiątej do dziesiątej strzały! Wyobrażasz sobie? Nas sześcioro z matką znowu ściśnięci w tym schronie, a tam wilgoć i zimno, i co z tego, że Polacy? Wojna to wojna” – wzdycha Kazimiera. „Znowu ta psychoza. Nasłuchiwanie. Mama mówiła, że to zabawa w chowanego. My wiedzieliśmy, że w chowanego, ale ze śmiercią. A ona nie umie się bawić”.

„Perenka była biało-czerwona. Była Polką z krwi i kości”. Na zaaferowanej twarzy Kazimierzy maluje się uśmiech. Chociaż przez chwilę. „To była prawdziwie polska krowa”. Ale jak rozpoznać polską krowę? Światło w staromodnej kuchni, gdzie siedzimy, zaczyna się psuć. Żarówka wymaga wymiany, ciągle zapach przetworów i cynamonu. Jest dużo po 23, rozmówczyni jest już zmęczona. „Nikt nie wracał. Nikt! – spogląda mi głęboko w oczy – rozumiesz? Jak Ukraińcy brali to na śmierć”.

„A ona wróciła”.

W lucyferskim przedsionku

Tuż przed drugą wojną światową. Spokojna wieś na Podolu (dzisiaj Ukraina). „Wcześniej było dobrze. Dobrzy sąsiedzi byli, zawsze pomogli, żyliśmy, jak to na wsi, w harmonii” – z nostalgią wspomina Kazimiera. „Polacy i Ukraińcy na roli, Żydzi mieli sklepy”. - Zatem co takiego stało się w Kościuszkówce? „Pamiętam, że jak się było pierwszym klientem, to się kupowało za darmo. Syjoniści wierzyli, że dzięki temu mają lepszy utarg”.

„Jatrzeć się zaczęło, jak wojna wybuchła. Niemcy obiecali samostiną (niepodległą) Ukrainę, ale dali warunek - pozabijać Polaków. Kwestię żydowską mieli rozwiązać sami”. - I zabijali? Z dnia na dzień z dobrych sąsiadów przemienili się w zabójców? – niedowierzam. „Od razu to nie. Pamiętam, jak mnie Ukrainiec na koniu gonił. Mało tego, miał szablę”. Kazimiera

SZCZEKAJĄ CERBERY W UKRAIŃSKIM PIEKLE

wstaje i wskazuje na szyję – „w takim dużym życiu uciekałam. A on za mną. W końcu mnie dogonił, a koń nastąpił mi nogę. Taki ból... Krzyczałam, aż się przestraszył”. - Nie wyjął szabli? „Wyjął. Pogroził i pojechał. To były dopiero początki, rok później, to by mnie zabił” – Kazimierze słowa grzęzną w gardle. „Przecież miałam wtedy dopiero 8 lat”.

Lucyfer robi pranie

„W sześcioro siedzieliśmy ściśnięci na kanapie. Jeden obok drugiego, zwarci nasłuchiwalismy, co się dzieje na wsi. W tym pokoju nie było okien. By nas powyrzucali jeszcze”. - Mieli broń palną? „Wszyscy! Naziści im dali”. Kazimiera roztrzęsionymi dłońmi chwyta aluminiowy kubek z kawą, woń roznosi się po całej kuchni.

„Siedzieliśmy tak co noc. Bo oni dopiero w nocy zabijali. Ojciec nigdy nie spał, był na warcie” – Kazimiera wierci się na drewnianym ta-borecie, zgrzyt. „Idą, czy nie idą... Idą! – nagle szczekają psy, słyszymy, jak spłoszone gołębie odrywają się od dachu, stukot kół. Powóz przejeżdża, ulga. Znowu cisza. Drapanie kota na strychu. Grają pasikoniki – Kazimiera uderza pięścią w stół – strzały! Blisko, ale nie u nas. Nam uszy puchną, rywalizujemy, kto więcej usłyszy. Nie płaczemy, żeby tata był z nas dumny” – zaznacza rozmówczyni.

Wiadomo, co to były za strzały? „Pewno! To u Zielińskich. Wybili szyby, weszli do środka i powyrzucali. A to młode małżeństwo było. Ukradli co cenniejsze, a resztę zdemolowali. Po prostu”. Mieli dzieci? „No właśnie mieli, Luśka. Cwany dzieciak. Jak Ukraińcy weszli, to się schował za takim... takie kotły do prania wtedy były – Kazimiera zatacza duży, kolisty ruch – nie znaleźli skubańca. Biedak potem wyszedł i zobaczył martwych rodziców – wyo-

brażasz sobie? Swoich rodzi-ców!
Siedmiolatek”.

Lucyfer nie sięga w głąb ziemi

A u was byli kiedyś? „Taa, u każdego byli”.

Kazimiera wstaje od stołu, wychodzi do przedsionka, ciągnie – „Krzyczeli, demolowali, strzelali, nawet tą, Matkę Boską, szablą pociągnęli. Jak w Częstochowie”.

Kazimiera wraca z szarym, podłużnym pudełkiem. „Nie mam żarówki, będziemy siedzieć przy świeczkach. To światło zaraz się popsuje”.

„Tatka pierw wymyślił, że będziemy się chować w sianie. Ale jak kto podpali? To wykopał schron pod korytem dla konia. Tam się odsuwało taki głąz, potem tatka zakrywał go słomą. Było wygodnie i nie do wykrycia”. Kazimiera naciska wyłącznik światła. „Tylko ciemno strasznie” – pociąga zapalną po drasce, zapala świeczkę.

„Po tamtej nocy, jak wyszliśmy z bunkra, to nie było do czego wracać. Pamiętam, że te zbiry posiekały też portret ojca. Tadek – najstarszy z nas - to zobaczył i wtedy chodził za mamą: - Nie mieszkajmy tu, bo nas zabiją. Ale matka bezradna: - Dziecko, gdzie my pojedziemy?”. - A ojciec? „Tatka już wtedy nie było”.

Lucyfer bierze tatka do siebie

„Jednego dnia wrócił po ósmej. Był smutny i te oczy... – Kazimiera trzęsie dłońmi – tak mu chodziły, tak! Wtedy poprosił mamę do pokoju”. - A wy już poza schronem? „Wróciliśmy jeszcze wcześniej. Tatka miał z nas pociechę, jak go dwanaście rączek co rano ścisnęło. Jakbyśmy go od wieków nie widzieli”. Poprosił mamę do pokoju i...? „Zamknęli się i o czymś rozmawiali”. - O czym? „Tadek podsłuchiwał, ale jak się w pewnym momencie rozbeczał... Nie chciał powiedzieć”.

„Z tej okazji ksiądz zrobił mszę. Lament, jak na pogrzebie. Pamiętam, że ksiądz opieprzył zakonnicę. Bo one miały nas pocieszać, a nie płakać. A chłopcy... Jak to chłopcy. Wzruszone i dumne. Wojaki”. Wierzyłaś



Dumny tatka z dziećmi. Kazimiera wygląda zza drzewa

wtedy, że zobaczysz jeszcze tatę? „Tatkę” – poprawia mnie Kazimiera. „A co nam pozostało?! Pamiętam, jak ksiądz podszedł do dwunastoletniego Tadeka i powiedział: - Teraz my zostali chłopcy dwa. Bo polscy mężczyźni z całej wsi zostali wezwani na wojnę”.

U Lucyfera za piecem

„Co ty tam piszesz?” – upomina się Kazimiera. Cień palącej się świeczki tańczy na ścianie z papierowym kalendarzem. „Tylko nie pisz, że wszystko było takie złe i okrutne. Opowiem ci teraz historię o miłości, zgoda?” – O miłości wtedy? – nie daję wiary. „Wtedy”. – Zgoda.

„Jej było Marysia, jemu Jasiu. Ona była Żydówką i miała przepiękne, długie, ciemne włosy. Ładna dziewczynka, osiemnastolatka. A on to był syn mojej macochy i miał... dziewiętnaście bodaj. Ech, którego dziewiętnastolatka stać dzisiaj na takie czyny?” – wzdycha. „My tę Żydówkę wte-



Kazimiera kilka lat po ukraińskich wydarzeniach

dy ukrywaliśmy. Aż przyszedł gestapowiec i chciał nam Marysię zabić". „Jeden przez drugiego wyglądaliśmy zza winkla. Nawet się założyłam z Tadkiem, że ją zastrzeli. Ale nie pisz tego... Bo wtedy śmierć była na porządku dziennym, jak podczas zarazy jakiejs" – tłumaczy się Kazimiera. „Matka błagała nas, żebyśmy wracali do domu, ale nie. A ten gestapo przyłożył jej, tej

Żydówce, karabin do pleców i ją prowadzał po łące: - Jest ty Żyd, czy nie jest? Nie przyznała się. Ocalała, a w Jasiu coś drgnęło".

„Oglądasz czasem filmy wojenne?" – pyta Kazimiera. – Sporadycznie. „To nie będziesz wiedzieć. Jasiu wtedy wpadł na pomysł żeby wykopać tunel. Zaczął w stodole i poprowadził go do studni, tylko tak do połowy odwiertu. I jak Żydówka zamieszkała w tym spichlerzu, to przez kilka miesięcy nie musiała wychodzić. Zaś Jasiu tylko chodził po „wodę" – spuszczał jej jedzenie w wiaderku. Tak się w sobie zakochali".

Tak po prostu? „No pewnie było coś, może nazywali się pieszczołtliwie? Ta miłość to był wyraz jej wdzięczności za uratowanie życia". – Może też chodził do niej, do tej stodoły? „A kto go tam wie, co on w nocy robił." – Kazimiera śle mi oczko. Całkiem fajna z niej babka. „Najważniejsze, że Marysia uniknęła masakry".

Lucyfer urządził igrzyska

Przed południem. Na dużej, tradycyjnej placie zupa. Wewnątrz strzela zajmujące się drewno. Kazimiera kazała nazywać się Kazia. Zatem Kazia obiera ziemniaki, a statystuje jej mały Franio wnuczek.

W Kościuszkówce jest już rok 1943. Mroźna zima. „Napisaleś, że mroźna? Napisz, że bardzo mroźna. W nocy i do minus 30 dochodziło. Franciszek idź się pobaw gdzie indziej". Sześcioletni Franio z dezaprobatą

opuszcza kuchnię. „To będzie straszna historia" – ostrzega Kazia.

„Od rana coś było nie tak. Śniegu dopadało, a małe Żydki nic. Żadnych bałwanów, bitew na śnieżki, nic. Taka przejmująca cisza. W końcu się zaczęło. Zamiast śnieżek - kule z karabinów". - To znaczy? „Rozpoczęła się eksterminacja Żydów. Do wioski zawitali hitlerowcy".

„Od dziesiątej do dziesiątej strzali! Wyobrażasz sobie? Nas sześcioro z matką znowu ściśnięci w tym schronie, a tam wilgoć i zimno, i co z tego, że Polacy? Wojna to wojna" – wzdycha Kazimiera. „Znowu ta psychoza. Nasłuchiwanie. Mama mówiła, że to zabawa w chowanego. My wiedzieliśmy, że w chowanego, ale ze śmiercią. A ona nie zna zasad. Raz, dwa, trzy, z gry wy-pa-dasz... ty" – energicznie wskazuje na mnie Kazia. Nożem. „Śmierć nie zna się na zabawie. I w tym momencie trzask! Wierzanie konia tuż nad nami. Niemieckie szprechanie, spokój... Ryk! Ryk ogiera, brzęk łańcucha – idą po nas. Mama zatyka usta pięcioletniej siostrze. Zasuwa się porusza, widzimy srebrzącą się kosę niemieckiej śmierci".

„Pojawia się jeszcze jeden głos" – Kazia szepce. „Wydaje rozkaz, wszyscy wychodzą. Zaglądamy przez szparkę, która rzuca promyk światła na przerażoną twarz mamy. W końcu ulga. Szczęście. Ukradli konia, ale nie ukradli nas! A wiesz, jakie konie wtedy były drogie?" - Tamtego feralnego dnia rozstrzelali wszystkich Żydów we wsi?



• Daria Kruczkowska

„Nie. To był dopiero początek”.
Ziemniaki obrane. Kazia zalewa je wodą i stawia na piecyku, ja dorzucam do ognia, który na mnie bucha. Rozmówczyni się uśmiecha. „Uważaj, bo się zajmiesz” – żartuje, ale zadowolenie schodzi jej z twarzy. „Oni chcieli spalić tych Żydów, wiesz? Tamtego dnia rozstrzelali tylko opornych, resztę zapędzili do stodoły sąsiada”.
„Stodoła to za wiele powiedziane. To był budynek z klepiskiem, żadnego siana, słomy... Miała takie duże szpary, a to był środek zimy. Przez cały dzień ich tam zwozili. Przed wejściem każdy musiał się rozebrać do naga. Przy kilkunastu stopniach mrozu do naga” – kręci głową, jakby wciąż z niedowierzaniem Kazia.
„Po dziesiątej wieczór było ich tam kilkuset. To byli Żydzi z wszystkich okolicznych wsi. Jak oni tam w środku jęczeli z zimna. Tej nocy byliśmy w domu, spać się nie dało. Wyli, krzyczeli, lamentowali... Błagali. A jak się który zapędził za bardzo to kulka w łeb. Później Niemce te ich ubrania powiązali, oblali benzyną ciuchy i stodołę, i próbowali podpalić”. -Próbowali? „Palec Boży. Nie chciała się zająć”.
„No. Nad ranem odnalazł się nasz ogier, Niemcy – szlachetnie – odprowadzili go na miejsce” – ironicznie stwierdza Kazia. „Ty wiesz, co ci zbrodniarze zrobili? Związali zamrożonych za nogi, przywiązali do koni i wio! Sine i skostniałe trupy pięknych dziewcząt wlekły się po śniegu. Co za koszmarny widok, co za koszmarny widok...” – rozmówczyni chowa twarz w dłoniach. „A ty nic, nic nie możesz zrobić, bo zabijają. Jaki to wstyd być człowiekiem podczas wojny”.
„Żywych gdzieś wywieźli. Chyba na rozstrzelanie” – tłumaczy.
„Inna historia... Chyba, że już dość?” – Nie, proszę, mów dalej. „Za frontem szły Rosjanki, telefonistki. Fajne babki, bardzo je lubiliśmy. Hania, Nadia i Gala. Pamiętam, że jak przychodziły do nas, mówiły: - Wy się nie bójcie. Wy jesteście za małe, żeby was ktoś mógł zabić. A potem... Jak kamień w wodę”. - Zniknęły? „Gospodarz Ukrainiec je do studni wrzucił. Ale za kilka dni – tryumfalnie – siedł front i czerwoni odna-

leżli swoje telefonistki. Spalili gnojowi gospodarstwo, utopili rodzinę, a jego... zostawili. Po tygodniu sam się powiesił”.

Męcząca podróż do nieba

„I tak to wyglądało na tej czerwono-brunatnej Ukrainie”. – Jak skończył się ten koszmar?
„To był czas, gdy polskie pociągi zabierały już ludzi do ojczyzny. Jaka to moja ojczyzna, jak ja się na Podolu urodziłam?” – pyta Kazia. „Ale wszystko lepsze od tego piekła. Cekał na nas wagon – wspaniały, towarowy Pulman 60”.
„To był 11 stycznia 1945 roku. Zimno jak cholera. I zapakowali nas. Wiesz jak?”. – Skąd mam wiedzieć? Kazia otwiera szufladę w kredensie ze złuszczoną farbą. Wyjmuje pełną paczkę zapalek, otwiera pudełko: „Tak” – Kazia wlepia we mnie swoje spojrzenie. „Dwadzieścia dwie rodziny z bagażem w jednym towarowym wagonie” – kręci głową, nie wierzę. „My siedzieliśmy na bagażach tuż pod sufitem”.
„Postój trzy razy dziennie, na kolejnych stacjach miska zupy na głowę. Tylko raz nie było postoju” – zamyśla się Kazimiera.
„Wtedy tak pędziliśmy... Kiwało, baliśmy się, że wypadniemy z torów. To było niedaleko Rawy Ruskiej. Okazało się, że Ukraińcy szykują zasadzkę i chcą ten nasz transport wysadzić w powietrze”. - Plotka?
„Nie. Nie zdążyli. Maszynista uratował nam życie”.
„Po trzech miesiącach (!) dojechaliśmy do Przemysła. Tam nas wyściskał taki ksiądz, który się u nas ukrywał wcześniej. Wszystkich nas do siebie przytulił, pocałował. A przecież my brudne, zawszone... Włosy to nam się ruszały, jakby żywe były”. – Dantejskie warunki – stwierdzam.
„Ale my młode, silne, to wytrzymali. Gorzej ze starowinkami. Obok nas odbywała się symboliczna zmiana pokoleń – jedne kobiety rodziły, inne umierały. Z nieboszczykiem to jeszcze łatwiej. Na postoju zasypywaliśmy w śniegu, robiło się krzyż z patyków, chwila modlitwy i można było ruszać dalej. Ale co zrobić z niemowlęciem?” – pyta zaabsorbowana.



Szczęśliwa rodzina Samplawskich w Polsce. Druga od lewej na trawie: Kazimierz, przedostatni Tata, po prawej Tadek

„Większość niemowląt nie przeżyło podróży.
Odbyły męczącą podróż do nieba”.

„To wszystko” - Kazia z nieukrywaną ulgą
wstaje od stołu, wpatruje się w okno.
Mówią, że dzisiaj jest tak źle w Polsce, że
niedobrze. To nieprawda. Spójrz tylko” –



MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

Konie

Konie są różne: kwadratowe i podłużne
Jedne mieszkają w stajniach. Ba, królewski wypas
Inne w preriach, bukszpanach (dobrze się popytaj)
Pierwsze mają skrzydła, ostatnie kopyta

Zdziczałe mustangi wiodą żywot słodki
Na obrzeżu miasta, czy w innych pustkowiach
Trawa tam pełnokrwista, ekspresji ładne kwiatki
Cichy szepot impresji - secesyjne kreski

Kazia wskazuje na podwórko. Kot dachowiec, Feliks, bawi się z owczarkiem niemieckim Sabą. „Powiedziałbyś, że jak pies z kotem?”. – Nie powiedziałbym też, że jak człowiek z człowiekiem.

Tadeusz Śliwiak
Niebieski Młyn

[...] „Kiedyś gałąź pięta oznaczała broń, dziś pod wiatrem się chyli tylko, albo ptakiem pięść ściśnięta powoli odkształca się w dłoń, nóż staje się narzędziem, a chorągiew znakiem” [...]

Czaple k/Świecia, dn. 21-22 lipca 2008 r.



Pochówek

Ekspresjonistę należy pochować za życia
Zasypać głęboko zgodnie ze zwyczajem
Literackiej dysputy stosownym rytuałem
Zasadzić się o zmierzchu lub w świetle księżyca
(Dziś pełnia, więc dogodna pora)
Uklepać go dokładnie - bo wychodzi bydle
Straszyć krzykiem sąsiada

MINIATURE





MAREK BRAND

19 grudnia godz. 07:00, mieszkanie prywatne, blokowisko. Wszystko jedno jaki dzień tygodnia!
 Jak zwykle, budzik zadzwonił tak jak go na-
 stawilem. Muszę przyznać, że wkurwia
 mnie to niesamowicie. Niby czemu nie
 zadzwoni kilka minut później. Jednak
 mając w pamięci dobre sentencje mojego
 taty: „ciesz się, że chociaż budzik dzwoni –
 jeszcze żyjesz”, ucieszyłem się. W końcu
 jednak żyję. Moje okno wychodzi na park i
 nie ukrywam, że dziękuję opatrności za
 to, że na park, a nie na przykład na budy-
 nek sejmowy czy, co gorsza, jakiś supermar-
 ket. Chociaż w obu przypadkach niewiel-
 ka byłaby to różnica. Oba te miejsca żyją
 przecież albo aferami albo promocjami. No
 więc popatrzyłem na park. Zazwyczaj tego
 nie robię, bo park o tej porze jest pusty, a
 przede wszystkim ciemny. Więc nie ma
 powodu się gapić. Ale popatrzyłem. I zdę-
 białem. Na chodniku siedział anioł i pa-
 trzył w moim kierunku. Wypilem łyk
 kawy, żeby się obudzić. A on tam siedział i



Piotr Kaczorowski

ŚWIĘTOCHŁONY

się gapił. No cóż, pomyślałem, widać musi
 siedzieć i się gapić. Przez chwilę pomyśla-
 łem, że to anioł stróż, ale szybko odrzu-
 ciłem tę myśl. Niby czego miałby pilno-
 wać. Kiedy wyszedłem z łazienki, w miej-
 scu gdzie siedział, powiewał duży transpa-
 rent z napisem „CWOK”. Jestem przekon-
 any, że to tylko zbieg okoliczności.

*19 grudnia godz. 11:00, miejsce pracy, a właściwie
 obszar pracy.*

Teraz mam dwadzieścia minut przerwy na
 lunch. Wolałbym przerwę obiadową, ale
 wszyscy mówią lunch. Raz nawet zażarto-
 wałem, że idę na lincz, ale kierownik dzia-
 łu wyjaśnił mi, że to głupi pomysł, a po
 drugie, żebym uważał co i przy kim mó-
 wią. Tak na wszelki wypadek. No więc
 siedzę na tym lunchu i się gapię. Moi kole-
 dzy popędzili do fast foodów, albo na
 szybki seksik, a ja się gapię. Nie żebym nie
 lubił seksu, przeciwnie, ale dwadzieścia
 minut to dla mnie za mało. Nie, nie zro-
 zumcie mnie źle. Ja muszę przed tym poro-
 zmawiać. Siedzę w kawiarence. Zima, mało
 ludzi. Można poflirtować z barmanką, albo
 tak właśnie siedzieć i się gapić. I nagle wi-
 dzę, jak przez ulicę idzie ten anioł z parku.
 Jakiś taki zamyślony. A może czegoś szu-
 ka? Zatrzymał się. Jakby nasłuchiwał i chui
 go obchodzi, że samochody i tramwaje.
 No, tak na światłach stoi, cwaniak. O zie-
 lone ma. Przechodzi przez jezdnię i staje. I
 teraz czeka znowu na zielone. Pewnie
 zapomniał o czymś. Nie, nie zapomniał, po-
 prostu łązi tam i z powrotem po pasach. I
 jakoś wyraźnie zaczyna zerkać w kierunku
 kawiarni. Zaczyna padać. Takie duże płyty
 śniegu z nieba lecą. A ten chodzi.

- No to chodź sobie zdrów – rzucam pod
 nosem.
- Co pan mówi? – pyta barmanka.
- Nic, nic pani Jolu – uspokajam – Ja kluczyk
 od ubikacji chciałem – mówię, zresztą
 zgodnie z prawdą. Co prawda, nie lubię
 knajpianych klozetów, ale jak trzeba...

Trzeba wrócić do pracy. Stoję na chodniku

przed przejściem dla pieszych i czekam na zielone światło. Zauważam w śniegu wydeptany napis „Jełop”. Ech te dzieci – myślę sobie.

20 grudnia godz. 02:00, mieszkanie prywatne, blokowisko

Sen przyszedł do mnie i powiedział: „Dostałeś wczoraj wiadomość, na którą nie odpowiedziałeś – zostaniesz ukarany”. Zamazana plama snu zaczęła przybierać ludzki kształt. Zapaliłem papierosa i patrzyłem jak się kształtuje. Głupie to było i śmiać mi się chciało, bo kształtował się sen w moim śnie. „Zgaś papierosa” – powiedział sen – „dym mi szkodzi”. Po chwili przybrał postać dziewczyny. Pomyślałem, że ją znam i dlaczego do cholery jest w ubraniu. „Bo zimno” – odpowiedział sen czytając w moich myślach. „I trochę cierpliwości” – dodał. „Nie, to nie” – powiedziałem bezgłośnie. „Jeszcze zobaczymy” – szepnął groźnie.

21 grudnia godz. 12:00, mieszkanie prywatne, gabinet

Wczoraj byłem bardzo blisko rozwiązania zagadki. A wszystko za sprawą ducha. Nawet nie wiem, czyj to był duch. Takie nie wiadomo co. Zmaterializował się akurat wtedy, kiedy pastowałem buty. Siadł na krześle naprzeciw i powiedział „Uhu-hhhu”, „Yhyhhhy”, a nawet próbował straszyć „Jahaha”. Zapytałem czy to nowy zestaw ćwiczeń dykcyjnych, ale on tylko wytrzeszczył puste oczodoły i zasikał prześcieradło, w które był owinięty. Dziwny jakiś był. Gdy zapytałem, czy wie, jak rozwiązać mój problem, skoczył na żyrandol i zaczął się huśtać. Wkurwiłem się i wyszedłem z domu. Wychodząc przykazałem mu posprzątać na biurku. Kiedy wróciłem, wszystkie moje notatki były zasikane z góry na dół. Czyżby objawienie? Na wszelki wypadek sprawdziłem dzisiaj swoje konto, znowu nic. Niedobrze, poczytnie już pewne plany finansowe. Ojciec pewnie powiedziałby – „Duchy są potrzebne, ale nie muszą od razu sikać, zrób coś z tym”.



 Bogumiła Jarecka

22 grudnia godz. 17:00, mieszkanie prywatne, balkon

Nic tak nie odpręża jak uprawianie seksu o siedemnastej. Tak mi się przynajmniej wydaje. A może czytałem o tym gdzieś? Nie wiem. Niedługo Wigilia. Anioł przestał się pojawiać. A może nigdy go nie było. Może był, ale nie dla mnie przeznaczony. W każdym razie już go nie widuję. Widuję za to innego anioła. Anielicę właściwie. Pierwszy raz zobaczyłem ją w parku. Właśnie w tym samym miejscu co anioła. Nie wiem czy jest brunetką czy blondynką, a może ruda. Nosi czapkę, albo kaptur. W końcu zima. Obiecałem sobie, że w Wigilię podejdę i zagaję rozmowę. Nie wiem, o czym ona chciałaby ze mną rozmawiać, ale spróbuję. Jeżeli się odważy, to mam już całą listę postanowień noworocznych. Oto one: rzucę palenie, ograniczę picie, wymaluję mieszkanie, dam po ryju sąsiadowi, powiem szefowi, co o nim myślę, zrobię na klatce schodowej dwa napisy „precz z komuną” i „precz z komunią”, wykapię psa i odpocznę. Porządnie odpocznę. A teraz obejrzę sobie Teleekspres i usystematyzuję swoją wiedzę na temat współczesnego świata. Dobranoc.

Gdańsk, kiedyś tam





ARTUR ZIÓNTEK

Pijactwo. Obserwacje drugie

w zasamotnieniu
wódke plotę i papieros
w gobelin radości
bo sztuka generalnie
wydaje mi się radosna

lekko wcięty, znów tu zerkam ...
nieprzystojnie...
pomrukując...
nieco drapiąc...
czując zapach...
dłonią ogrzewany...

w małym oknie
zakłeta w dłoniach spi
niczym bóstwo
czarując twarzą dnia koniec i początek

oparłem się głową
o zimny kaloryfer

doraźnie wystarczyło...

a po wódce...
jak i bez niej...

bywa słabo...

czasem jest tak radośnie
ale wtedy nie ma o czym pisać
tylko myśli się natrętnie

wiatr poruszył maleńką folijką
odbiło się w niej światło
też odbite
po lewej stronie mam odkręcaną i zakręcaną wódkę
po prawej odkręcany i zakręcany napój
czynności wykonuję miarowo i regularnie
ta folijka...
myślałem że to światło-znak
zza okna słycać radosne kwilenie



MALVINA PAJAK

Z PAMIĘTNIKA PANA B.

Wyobrażałeś sobie kiedyś, że możesz umrzeć w tak głupkowaty sposób: leżąc na łóżku, nagi, przykuty kajdankami do metalowego oparcia tuż za głową? I że na dodatek będzie nad tobą stała super laska w skórzanym bikini z pejcem w dłoni jako przyszłym narzędziem zbrodni? To mogłaby być dobra lekcja dla wszystkich tych, którzy myślą, że można zaplanować swoje życie. Ha! Masz 26 lat, właśnie zatrudnili cię w najlepszej firmie konsultingowej w kraju, odkładasz pieniądze na nowy samochód, inwestujesz na giełdzie i myślisz, że życie to bułka z masłem, że świat stoi przed tobą otworem. Planujesz kurs japońskiego w niedalekiej przyszłości, urlop na nartach z przyjaciółmi w przyszły weekend, a na dzisiejszy wieczór małe bara bara z profesjonalną dziwką poleconą przez znajomego. Wszystko jest piękne dopóki nie pojawia się ona, żeby zrobić ci z życia piekło. Przypominasz sobie rozmowę z matką, kiedy zrzedliwym głosem powtarzała: „Jeszcze się przekonasz, że rodzina jest ważniejsza niż kariera. Znajdź sobie żonę, zamiast kupować czterdziestą parę gaci od Dolce & Gabbana”. Problem w tym, że ty lubisz gacie od Dolce & Gabbana i że nie uśmiecha ci się wizja przychodzenia po pracy do domu na schabowego z kapustą. Za dużo mam planów i ambicji mamo, żeby bawić się w żeniactwo. Najpierw sukces, potem rodzina. Najpierw ja, potem inni. Że egoista? W dzisiejszych czasach jak się nie jest egoistą, to się tonie. Najpierw komunizm, potem globalizacja. Najpierw nic, potem za dużo. To nie nasza wina, że żyjemy w takich czasach. Ale wolę to, niż kilometrową kolejkę po mięso w Wigilię. Gadane to ty masz. Teraz akurat nie, bo profesjonalna dziwka wsadziła ci knebel w usta. Próbujesz jej coś powiedzieć, ale wychodzi z tego jeden wielki bełkot. Za to ona nawija jak nakręcona, że wszyscy jesteście tacy sami, parszywe dranie, co myślą, że świat do nich należy. Ale



Bogumiła Jarecka

ona pokaże, kto tu rządzi, najpierw zatłucze ciebie, a potem resztę poschizowanych świrów, którzy lubią, jak się ich traktuje pejcem. Ty wcale nie lubisz, myślałeś po prostu, że zabawa z kajdankami może być całkiem niezła, a do tego ona by wszystko za ciebie załatwiła, no żyć nie umierać. A tu taka niespodzianka... Najśmieszniejsze jest to, że ty wciąż nie wierzysz w to, co stanie się za chwilę. Słyszysz piski dzieciaków dobiegające z podwórza i marzysz, żeby się zamknęły, bo przyprawiają cię o ból głowy. Zwinięte prześcieradło uwiera cię pod lewym pośladkiem, ale nie możesz zmienić pozycji – nogi też ci przykuła. Zastanawiasz się, czy mogłeś to przewidzieć. Nie masz wrogów, nikt nie chciałby twojej śmierci. Znajomy, który polecił profesjonalistkę? Nie... On mówił o rudej, do Ciebie przyszła blondynka, od razu pomyślałeś, że musieli coś pomylić w agencji, ale ucieszyłeś się, bo wolisz blondynki, zawsze sprawiają wrażenie odrobinę głupszych niż cała reszta populacji. Oczywiście nigdy nie związałybyś się z taką na stałe. Twoja partnerka w dalekiej przyszłości powinna być smukłą, elegancką, platynową (koniecznie platynową!) naturalną blondynką z klasą. Nosić dopasowane żakiety i buty na obcasie, a włosy

spinać klamrą. Po pracy, w domu, może zakładać biały, bawełniany podkoszulek i szare dresy, najlepiej Pумы albo Adidas. Żadnych podróbek i bazarowej tandety. Czystość, klasa i profesjonalizm w każdym calu. Jak ty.

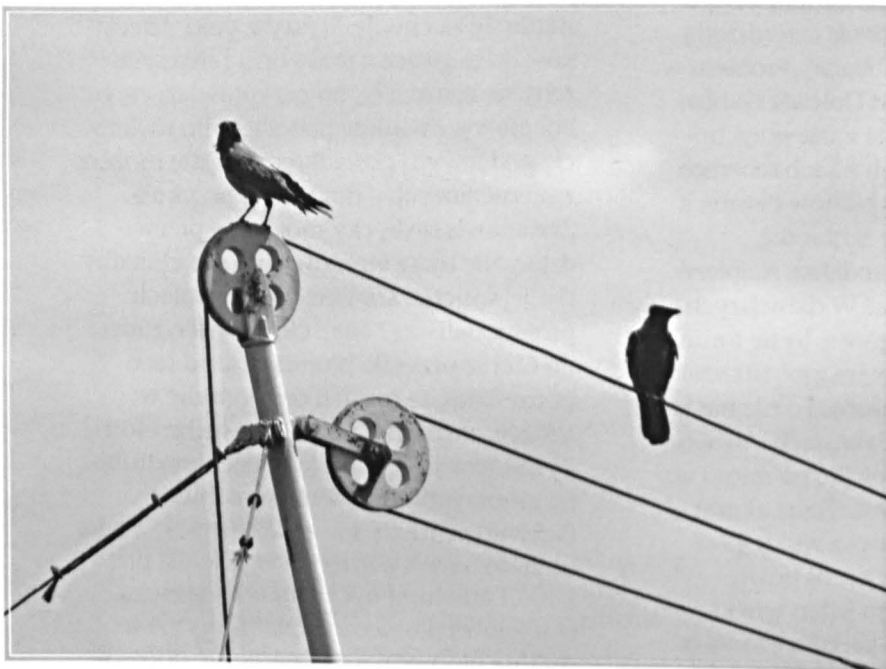
Czujesz się oszukany. No, nie tak miało być. Masz rację. Ona miała tu przyjść ze swoją koleżanką, drugą profesjonalną dziwką. Wtedy dopiero sprawiłyby ci manto. Ale ty oczywiście nie możesz o tym wiedzieć. Może gdybyś wiedział, nie myślałbyś, że życie jest tak bardzo nie fair. Tym razem przed oczyma masz obraz swojego kuzyna, który siedzi w pidżamie przed komputerem i prosi matkę, żeby przyniosła mu Fantę z lodówki. Jest trzy lata od ciebie starszy. Czy coś osiągnął? Czy chociaż próbował? Nie. I co on sobą reprezentuje? Cholerny darmozjad bardziej zasługuje na to, żeby żyć, niż ty? Zaczynasz się wściekać. Świetnie. Okazywanie emocji jest bardzo ważne, teraz masz okazję to poczuć. Profesjonalistka zbiera się w sobie. Jeśli cię to pocieszy, jej też nie jest łatwo. Jeszcze nigdy nikogo nie zabiła, chociaż już od jakiegoś czasu bardzo chciała. Dziś miarka się przebrała. Padło na ciebie. No, ale pomyśl, tak logicznie, czy naprawdę musiałeś

zadawać jej te wszystkie wulgarne pytania? Co w ciebie wstąpiło? Miałeś wino i truskawki w lodówce, bo w końcu wieczór z ekskluzywną dziwką trzeba jakoś uczcić. Nie mogłeś zachować się jak džentelmen? Chcesz jej powiedzieć o tym winie i truskawkach, ale kiedy bełkoczesz, ją to tylko jeszcze bardziej podkręca. Z tym, że teraz już nic nie mówi. Bierze pejcza, naciąga go, trzymając ręce za głowę i zaczyna tańczyć w rytm muzyki, którą włączyłeś. Trzęsiesz się, ale nie wydaje mi się, żeby jej uroda wciąż robiła na tobie wrażenie. Zaczynasz się bać. To ludzkie uczucie. Profesjonalistka robi striptiz. No, musisz przyznać, Demi Moore nie może się z nią równać. Pomyśl o tym w taki sposób: nie każdy na pięć minut przed swoją śmiercią ma okazję zobaczyć striptiz w wykonaniu profesjonalnej prostytutki.

Piosenka się kończy. Sztywniejesz, ona też. W ułamku sekundy cały ten żar, który jeszcze przed chwilą ją otaczał, zamienia się w bryłę lodu i nienawiści. Pierwsze uderzenie jest jak smagnięcie ojcowskim pasem z czasów dzieciństwa. Drugiego nie czujesz, trzecie wykrzywia ci twarz w bólu. Wciąż masz w oczach to głupkowate zdziwienie. Jakby to, czego doświadczasz nie miało się

prawa zdarzyć. Nie jesteś pojętnym uczniem. I co tu z tobą począć? Profesjonalna dziwka uderza coraz mocniej i coraz szybciej, nie mam za dużo czasu na podjęcie decyzji. Oho, słyszę jakieś dziecko. Jedną sekundkę... Modli się, żeby mu oddać tatusia, ewentualnie przysłać nowego. Myślisz, że byłbyś dobrym tatusiem?

Nie sądzę.



☒ Bogumiła Jarecka





ARTUR ROGALSKI

Kamień z Rosetty

dziękuję za alfabet
rozsypane litery
z których pomogłeś ułożyć słowa
mój mistrzu Zbigniewie

przed Tobą
to były tylko znaki
nieczytelne
jak obrazki hieroglifów
choć zawierające
niewyraźną obietnicę
odkryć i przygód

Twoja opowieść
jak klucz do szyfru
jak czarny kamień z Rosetty
nadała sens nieznanemu

jeszcze żyłeś
kiedy próbowałem
wejść do tej samej rzeki
odszedłeś
zostałem na dalekim brzegu
jak w koszmarnym śnie
w którym oddalają się bliscy
a my zamieramy w bezruchu
choć tak bardzo chcę się biec
krzycząc zatrzymać

dawniej
podało mi się
Nie
z Przesłania Pana C.
dziś coraz dłużej
coraz uważniej
patrzę na marginesy
Twoich podróżnych dzienników
tam gdzie pozostały rysunki

ich najbardziej
niewidoczny
niespodziewany
mieszkaniec
wydrapuję

w przestrzeni papieru
niezdarny hołd
dla katedry
modułu
i cyfry

gromady moich liter
śmieszne jak
paleolityczni wojownicy
którzy zastygli na ścianie jaskini
w nieporadnej pogoni za mamutem
dużym wyraźnym
znaczeniem

a chciałbym muskać
płótno kartki
światłocieniem wrażeń
jak Giorgione
jak Terborch
jak Ty

na szczęście wiem
że słów nie należy sądzić
palić z mocy fałszywych wyroków
na małych rzecznych wyspach w
centrum miasta
i bez tego bezlitosny trybunał
wszechświata
wydał orzeczenie
wszystkie znaki tej ziemi
mają zniknąć
za ileś tam lat

Twoje litery też wyblakną
jak kolory kolumn
i posągów
ale pozostanie
marmur znaczeń
horyzont tajemnicy
przesłonięty
burzową chmurą

a wśród labiryntu podziękowań
wrytych na cokole
posagu
moja niewyraźna
frazja zachwyty barbarzyńcy:
byłem tu A.R.



JOANNA ZAKRZEWSKA

POCZEKALNIA

Siedzą, starannie wyprostowane, na ławkach. Nienaganne żaboty spływają z pomarszczonych szyj, a na łydkach rolują się rajstopy. Włosy, doskonale ułożone siwe włosy, okalają zasuszone twarze, a brązowe i wrzosowe garsonki kryją nieładne ciała. Tylko rąk nie da się ukryć. Poorane tunelami żył, złożone na podólkach, lekko drżą.

- Byłam u Jadzi...
- Odwiedziłam Stasia...
- Posprzątałam u Helenki...

Ich głosy szemrzą jak opadające liście...

Odważnie wkraczam w tę ciszę, płosząc ją samą tylko czerwoną bluzką. One śledzą każdy mój krok, aroganckie ręce w kieszeniach bojówek. Patrzają, jak przewieszony przez szyję aparat kołysze się w prawo i w lewo. Muszę razić w tym ich spokojnym, niemal sterylnym świecie, bo wodzą za mną stygnącym powoli wzrokiem. Patrzają

na moje zakurzone trapery i lekko zmierzwiłone włosy. One, te doskonale saskie figurynki, z którymi ja wygrywam tylko młodością.

Nie, jednak nie. Nie chodzi im o moją młodość. Zazdrośnie patrzą na moją odwagę, z jaką wkraczam z jednego świata do drugiego. One nie należą już do żadnego z nich. Siedzą na tej cieniuchnej granicy i czekają... Swoją kruchą cielesnością trzymają się jeszcze życia; malują paznokcie, robią trwałą i przypinają do kołnierza broszkę z kameą.

A potem siadają wyprostowane na ławkach i czekają. Patrzą, jak Matka Ziemia przyjmuje w siebie nieruchome ciała. Patrzą, jak przerażone dusze, miotają się oszalałe z lęku. Patrzą i powoli zapuszczają korzenie w ten nowy, cichy świat, po którym ja chodzę lekko i fotografuję Śmierć...



Mirosław Koczkodaj



MARCIN KRAKOWIAK

Jak dożyjesz do wiosny to ci kupię sukienkę

Nie umieraj mi teraz, jesienią
Kiedy las jest taki kowbojski.
Kiedy krwawe liście nirwana żre-
Ty zostań jeszcze, proszę cię.

Zostań przez zimę, nie plam
Jej bieli czarnym zgonem.
Ziemia zmarznięta, ciężko kopać
I kwiaty są takie drogie.

Zakwitnij ostatni raz dla mnie
Kiedy zielenią uśmiechną się drzewa.
Zrób śmierci na złość sukienką
Zarażoną błękitem nieba.

Jeżeli już tak musi być
To odleć w letnim upale
Na skrzydłach złotego trzmiela.

Bo jak, kurwa, jesienią umierać...

Owca i łowca

W te dni kiedy Bóg się
Przykleja do podniebienia,
Kiedy Ziemi łeb puchnie
Od skrzypienia huśtawek -
Wychodzę na wzrokowisko
Porośnięte kształtami kobiet.

I przekłuty żądłem pokuty
Upajam się ich spojówkami
Pod markizami sklepików,
Na szancach supermarketów.

A wieczorem spóźnionym
Jak pociąg (dwu)osobowy
Wykładam na stół zakupy
Z siatki na pteromotyle.

I na co tyle pieniędzy?
Mój Boże! Kilka uśmiechów
Zgaszonych zanim zdążyły
Błysnąć bielą na dobre.

Zabawkowe skrzydła anioła
Uczulonego na agrest i
Mały słoiczek przecieru
Z pogryzionych języków...

Miłość

Miłości się nie da opisać
Ale mogę spróbować:
Fn...fn...fn...gh...dr...yy...
No nie da się jednak.



MARIA KRYŃSKA - SZOSTAK

ŚRODA. WALIZKI. WRÓŻKA PRAWDĘ CI POWIE.

Środa

To miały być zwykłe męskie imieniny. Dużo, dużo alkoholu i głośnej muzyki. Zjawiała się jednak *M*, by robić kanapki, bo jak imieniny i jak alkohol, trzeba coś zjeść. Kontemplowała przygaszone kolory kuchni. Nigdy nie zwracała uwagi na dźwięki, raczej kolory głębiej z nią rozmawiały. Lubiała się wtulać w ich półmroki, wysnuwać z ich cieni przygaszone światło bułkowej zieleni.

Na imieniny zawitało towarzystwo: *W* przeprowadził dziewczynkę, wyglądała jak łąka, z tym wielkim kolorowym kwiatem wyszytym na nogawce spodni. A może była trochę jak ptak przyczajony w ogrodzie, wtulała się w jego ramię spłoszonym oddechem. Potem zjawił się *S*. Przyprowadził dwie młode kobiety, prezent na imieniny *R* i *R*. Jedna szara jak zdechła mysz, druga piękna jak bogini płodności. Sama *M* nie mogła oderwać wzroku od jej idealnych, posagowych kształtów. Jednak tylko mężczyźni wydawali się żywi, bardziej żywi niż zaproszona druga płeć. To w ich głowach dwoiły i troiły się spiskowe teorie podboju Troi, zdobycia Heleny i ocalenia Parysa.

Spektakl rozpoczął się rytualnym tańcem: mięśnie mężczyźni napinały się, prężyły w podskokach dzikiego pogo. Kobiety siedziały przy ognisku czekając na znak, może tylko czekając na wiadomy rozwój wydarzeń. Jednak nie wszystko toczyło się płynnie i zgodnie z przyjętym założeniem. Niejaki *S* był człowiekiem o twarzach co najmniej dwóch. Nigdy nie wiadomo było, którą z nich założyć. Tym razem *S* chciał zaszaleć, założył wszystkie twarze na raz. Jedną zwróconą do mężczyźni wyśpiewywał rytualną mantrę, drugą ślinił się i wyrzucał mlaskający jęzor sugerujący prawdziwe zamiary.

Szara znikła nagle w otchłani sypialni ciągnąc za sobą rydwan zaprzęgnięty w dwa trojańskie konie. Znikli pod pretekstem udzielania pierwszej pomocy – wspomniałam, że szara kiepsko wyglądała.

Wojna jak wojna, trup ściele się gęsto. Dostrzegłam niejaką *M* z torbą sanitariuszki. Wydobywała spod ciał niejakiego *R* modląc się jego imieniem, jak na paciorkach różańca. Ocaleni stanęli naprzeciw siebie. Umiała pragnąć nie czując pożądania i zadości. *R* pochwycił jej usta namiętym pocałunkiem, jakby wyczuwając nieuchronność śmierci. Wkrótce po ceremonii sypania popiołem głów ostatni pocałunek.

Tu kamera robi zbliżenie na osypujący się na ich ramiona popiół zwęglonych wierszy.

Walizki

Wpatrzona w kołujące nad wodą ptaki nie chce rozpamiętywać żadnego z tych zdarzeń, w których brała udział w roli piątego koła u wozu. Wreszcie zdobyła się na ten krok. Uwolniona od psychicznego bólu zdradzanej żony, oszukiwanej przez wciągnięte w tę grę koleżanki, ich mężów, może nawet cały szpitalny personel, obsługę codziennie odwiedzanego sklepu, kelnerów pobliskiej kawiarni. Wreszcie przebrnęła przez trudne rozmowy z dorastającym synem. Spakowała walizki. I oto jest tutaj. Wyszła przed chwilą z wynajętego pokoju, a wiatr od morza głaszcze jej skroni.

Boli, bardzo boli pytanie własnego dziecka: „Mamo, naprawdę musisz wyjechać na tak długo? Nie wiesz, że jesteś mi tu potrzebna?” Cholernie boli ten lęk, że może nigdy już nie odzyska syna, którego oto właśnie traci z oczu na własną desperacką prośbę, bo nie ma już sił walczyć, bo jest tak wypalona, że nie może być niczyją matką, niczyją kochanką, bo chce tylko

siedzieć nad brzegiem morza i czekać aż nadejdzie wielkie tsunami, trzęsienie ziemi, huragan, aż jakaś nieoczekiwana lawina śniegu wpisze ją w statystyki zaginionych, pogrzebanych, zmiecionych z powierzchni ziemi.

Gdy idziesz w pojedynkę dokonujesz wyborów uwolniony od balastu rozważań na temat tego co przyniesie ten wybór. Łatwiej wówczas ryzykować, zagrać w kości z losem. Zmienić plan, wycofać się. Czy można na takie ryzyko wystawić własne dziecko, na ryzyko kiwania się z napastnikiem, przegrywania, zbierania ciała i duszy w całość? Duszy, z której wypadły elementy miłości, nadziei i wiary, duszy jak wybrakowane puzzle, jak ziejąca lękiem jama. Ciała, z którego wypadną zęby, strzępy skóry, odpadną nagle za duże ubrania.

Więc zrobiła to, podjęła najgorszą z możliwych decyzji. Zostawiła swoje dziecko jego ojcu i tej obcej, wulgarnej kobiecie. Podda-

ła się. Czy nie oszaleje z rozpacz? Czy nie będzie padać na każdym zakręcie tej nowo obranej drogi? Czy nie popełni samobójstwa? Czy będzie w stanie wsiąść jutro z walizką do samolotu?

Nareszcie czuje się szczęśliwy. Z wielką przyjemnością rozkłada poranną gazetę. Więc wszystko się ułoży. Lepiej by sam tego nie zaplanował. Czuje, że los mu sprzyja, że wszystko się uda. Będzie miał przy sobie syna, żona będzie wkrótce była żoną. Czuje, że nabiera do niej szacunku za cały ten obrót sprawy. Żona wyjedzie za granicę, nabierze dystansu, może zrozumie, może wybaczy. Może rozwód przebiegnie bez zakłóceń. To będzie rok pełen niespodzianek. Jest szczęśliwy, ma przy sobie dziecko i będzie też ona. Niewiarygodna. Prawdziwa. Uroczą. Pełną seksapilu i życia, tej radości w oczach, której od lat poszukiwał. Już jutro wprowadzi ją do swojego domu. Wszystko odzyska swój dawny blask.

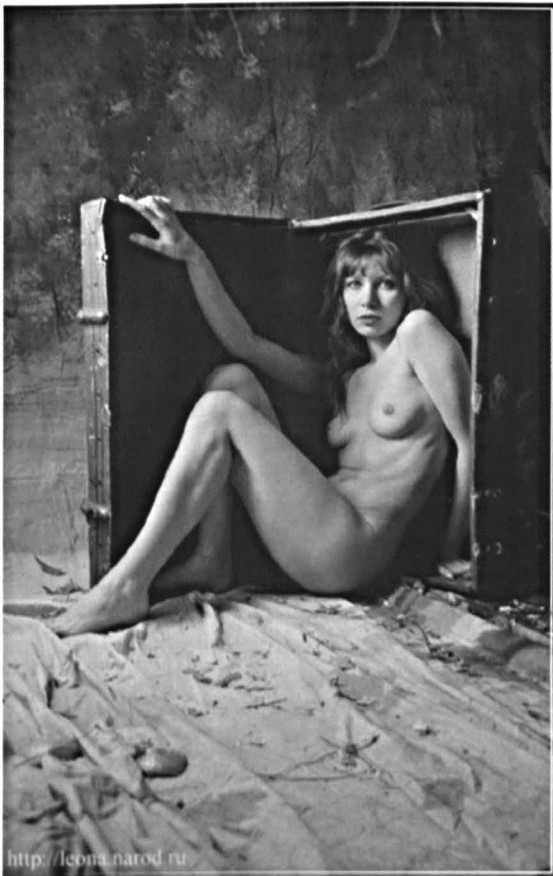
Nerwowo przetrząsa szkolną torbę, szufladę w biurku. Komórka znajduje się wreszcie sama. „Jeszcze w to nie mogę uwierzyć... babciu, chcę się zatrzymać u ciebie... na tydzień, może trochę dłużej... jutro o 11:00... autobusem... tak, ojciec się zgodził” - kłamstwo w zdesperowanych ustach zabrzmiało jakoś prawdziwie.

Miotła się z kąta w kąt. Zapala papierosa. Wygląda przez okno. Przecież wie, że są dla siebie stworzeni. To pewne, że on robi dla niej wszystko. Ona? Ona, gdyby nie była taka wredna, mogłaby mieć rodzinę. Nie umie się nawet ubrać, zatroszczyć o mężczyznę. Nie, on bez niej by zginął. Uduśliłby się. Z przypiływem wewnętrznej pewności podchodzi do walizki, gładzi jej wieko. Tak, jest zdecydowana.

Walizki wysuwają się na plan pierwszy, otwierają się na bagaż złożony z nadziei, bólu, poczucia winy. Każda z nich jak bliźniacza Puszka Pandory.

Wróżka prawdę Ci powie

W czasach polowania na czarownice płonęła-bym na stosie. (Dziewczyna z siedleckiej



<http://leona.narod.ru>

Źródło fot. www.leona.narod.ru



 Izabela Koczkodaj

kamienicy czarownicą nie była. Spłonęła przypadkiem? Omyłkowo? Zamiast?) Niewiarygodne, ale i mnie mógłby spotkać los Szkarłatnej Litery, Joanny d'Arc, Kotki na Błaznianym Gorącym Dachy, Dziewczyny Ginącej w samochodowym wypadku, Tybetańskiego Mnicha czy tej Wariatki, która gryzła rękę do krwi z lęku przed wejściem do dentystycznego gabinetu, ale nie bała się AIDS i dawała dupy każdemu kto ładnie poprosił.

Zawsze byłem o krok, o odwrócenie głowy w inną stronę, o tę chwilę, w której schylając się po upadający długopis omijasz przelatującą nad twoją głową kulę, o łuskę metalowego zszywacza przy fotografii w studenckiej legitymacji, który blokuje cios zadany nożem prosto w serce, o ten przysłowiowy włos, o myśl, która odwraca na chwilę uwagę. Zatrzymywałam się wtedy zdziwiona analizując scenariusze zdarzeń. Nie mogąc zrozumieć czym jest ta chwila, ten jedyny moment, w którym czujesz się dotknięta łaską, wybrana czy, co bywało również, pokonana (lub uściślając: przegrana).

Wróżka prawdę ci powie – mawiałam dla zabawy i rozkładałam pasjanse dla zabicia czasu. Nauczyła mnie tego Wanda, której w kartach pojawiali się blondyni, bruneci, urzędowe domy, niespodziewane listy, plotki i komplikacje. Wychodziła naprzeciw losowi i rzuciła asem z rękawa stawiając sprawy na ostrzu noża. Broniła w ten sposób cnoty córek wieszcząc im z

miną proroka: ten cię porzuci, tamten będzie zdradzał, ten ma dobre serce. Szybko jednak porzuciła zwyczaj wróżenia, gdy stała się głęboko wierząca. Wierząca, że los jest tylko i wyłącznie w rękach Boga, a modlitwa daje większy spokój ducha niż spekulacje i branie wreszcie odpowiedzialności za życie innych.

Szóstka Kijów obiecuje mi, że zostaną wynagrodzone poniesione wysiłki, Siódemka Kijów sugeruje prawdziwą rywalizację prowadzącą do zdobycia szczytów, przy czym Rycerz Monet pokonuje dotychczasowe materialne ograniczenia. Karta idzie dobrze. Piątka Mieczy daje wiedzę o konieczności stawienia czoła pewnej trudnej sytuacji. Z ratunkiem przychodzi karta Złotego Środka. Język obrazków, symboli, niewyobrażalny sens świata, jakiś inny jego sens. Nawet Einstein musiał go zaakceptować, zapostulować, aby jego fizyka miała jakiś sens. A gdyby zapostulować światło? - dodaje mój wirtualny znajomy fizyk fg2002 na bloxie? Gdyby zapostulować eter? To że wiatr nie wieje, nie znaczy że powietrza nie ma. „Mierzmy, a mówiąc ogólniej - spostrzegamy, tylko to co widzą odbiorniki. Nadajniki niczego nie widzą - one nie do tego.” (fg2002)

Czasami na łączach nadawca-odbiorca dochodzi do zakłóceń. Mamy ich różne typy:

déjà lu – już czytane, *déjà pensé* – już pomyślane, *déjà su* – już poznane i wiele innych. Co więcej pojawia się przekonanie o tym co za chwilę się wydarzy. Odgrywasz w myślach jakąś scenę, która wiesz, że spotka cię w przyszłości.

„Przyjdź do mnie, powiem ci prawdę” – przywołuje mnie skupionym wzrokiem. Widzę ją, jak czyta moje życie, przekłada karty, mruczy pod nosem, analizuje.





ZDZISŁAW T. JĄCZKOWSKI

Kolejne pytania o Istotę

*Ziemia cała jest naszym szpitalem...
Nasze jedyne zdrowie to choroba –
wstrząsające słowa T. S. Eliota*

w szpitalu
człowiek biały
człowiek żółty
człowiek czarny
czerwonoskóry
i Żyd biblijny
na łózkach żelaznych
w dramacie i nadziei trudnej
a także
„drzewo czyniące owoce”
„wieloryby wielkie”
„wszelkie ptactwo skrzydlate”
„bydło i płaz, i zwierz ziemski”
chwasty
krzewy
ziarno gorczycy
trawa która zrodziła ziemia
gdyż wszystko zamyka się w kole

istota trwania
też kołem
przemijanie
narodziny
ku prawdzie i Prawdzie
między gwiazda spadającą
i ta która z człowiekiem
przychodzi na świat
wreszcie śmierć
pierwsze kwiaty jabłoni
liście
budzenie się dnia i nocy
odpływy i przyływy oceanów
a stary
Prometeusz
na kolejne tysiąclecia
przykuty do skały Kaukazu
i orzeł chory na białaczkę
zamienia go na sępa
on ciągle głodny
Wyjada wątrobę kawałek po kawałku
Ona odrasta
kłamstwo jest anty darem

nikt tutaj na ziemi
nie oszuka
boga
ani Boga
ofiara musi być spełniona
to w niej kryje się sens trwania
także w głodzie wartości
w kulturze
i poprzez kulturę
choć nerki filozofów
artystów
w dializie
sumienie poszarpane
głowa człowieka
już nie „najczystsze złoto”
cała w gruzach
blasze zardzewiają
choć król Salomon
i królowa Saba
zawsze zwycięscy
piersi człowieka już nie
„jak dwoje kozłat”
i nie
„pasa się pośród lilii”
też w gruzach
w klinikach okulistycznych
zdejmują z oczu zaćmę
mędrcom
jak błysk tęczy
a z góry wysokiej
z okien wieżowców
zrzuca się starców z przepaść
sępom na żer
jak człowiek
wolny
co znaczy wolny?
umysł mój niecodzienny
i poraniony
brzuch mój już nie
„jak stos pszenicznego ziarna”
ja człowiek
osamotniony
boję się nawet własnego cienia
ja ze swoim małym
egoistycznym bólem
migrena
jak szlachcianki w dworach

ukłułem się zaledwie szpilka złota w palec
skąd więc histeria?
i rozwichrzona psychika?
dusza w chaosie
puls za wysoki

moje mieszkanko na Falęckiej
w metropoliach Europy
pośród plastikowych kwiatów
jest grota w kamieniu
antycznym
w niej doktor majka
błogosławiona to chwila
codziennie daje mi zastrzyk
przeciwko znieczuleniu
na obojętność
i fałsz
słęcę teraz nad
„księga zapisana wewnątrz i na zewnątrz”
łamię pieczęcie
obludy i miecza
tyle jeszcze do zrobienia
tyle winnic pokryła zima
lód jak w syberyjskiej trwodze

drzwi otwarte
choć „morza już nie ma”
złudzenie
gdyż jest morze
i ziemia w bliskości
i pojednaniu
wbrew barbarzyńcom
zbrodni doskonałej

człowiek
ciagle ten sam człowiek
wielki
i zaszczuty
z karta choroby
wynik ujemny
opuszcza szpital

zaufał
jednak
tajemnica trawy

Warszawa – Grajewo
05.01.2008



PAWEŁ HAJDUK

Hamlet

mógł być kolekcjonerem motyli,
kochać egzotyczne kolory
i pióropusze. ale umarł.

i odtąd wszyscy maniacy wywodzą
swoją genealogię od Szekspira.

a ciała motyli leżą w gablotach
dla lalek obok zwłok bohaterów -
pokojówki czyszczą miecze.

Dacza

pod moją bramę co noc
zakrada się kot - ma dwoje
ust i spogląda na świat
słonecznymi ślepiami

zwierza się szczerze druga

ze swych warg jak ciężko
tu żyć - kurzem chodnika
musi się okrywać

ale w radiu co dzień głoszą
że na naszej gorącej riwierze
drogi spływają mlekiem

Bernini (rzeźba)

Apollon jest bardzo blisko Dafne
jeszcze jeden krok to jest wybór pozy

Jak rozkraczone ćmy z ciernistą gałęzią
przy boku stoją w muzeum

Każdy kto chce może zmierzyć ich
fizjonomię – kształty bóstwa

Gdyby wiedzieli że obserwuje ich rzeźbiarz
przybraliby bardziej patetyczną postawę



ROBERT RUSIK

POCIĄG DO...

Coraz częściej jeżdżę tą trasą. Już nawet nie to, żebym chciał, po prostu muszę. Wsiadam do pociągu, z westchnieniem oglądając się za siebie. Dużo bym dał, by móc zostać. Niestety...

Szukam wolnego przedziału. Uwielbiam jeździć w samotności. Bardzo nudzą mnie zwierzenia współtowarzyszy podróży, jeśli tacy się napatoczą. Nie obchodzą mnie ich problemy, ich życie, zmartwienia i troski. Wolę pooglądać mijane okolice, zachwycać się ich pięknem, odpłynąć w niebyt.

Samotnie.

Delikatne szarpnięcie oznacza, że pociąg właśnie ruszył. Trwaj chwilo, mijaj dniu. Kolejna cholerna podróż. Jak długo jeszcze?

Pierwszych kilka stacji mijają spokojnie. Pociąg mknie szybko, nawet nie zauważyłem, kiedy je przejechał. Zamykam oczy, odpinając się na swoim miejscu. Rozluźniam mięśnie, krew zaczyna żywiej krążyć, rozgrzewając ciało. Początki podróży zawsze są przyjemne.

Wychodzę na korytarz. Uwielbiam oglądać krajobrazy, stojąc przy oknie. Wsłuchuję się w monotonny stukot kół, podziwiając mijane widoki. Odległości między stacjami wydłużają się. Pociąg delikatnie przyspiesza, zaczynam chwiać się na nogach. Stacja za stacją, stacja za stacją.

Lubię tak odpłynąć... Przed oczami zaczynają wirować wspomnienia, niewykorzystane szanse, niespełnione nadzieje. Czasami chciałbym, aby ten pociąg nigdy się nie zatrzymał, pędził tak w nieskończoność, w białą mgłę... Wycieczka w nicość, po skrzydłach galaktyk, w sam środek wszechświata. Gigantyczna czarna dziura, czasoprzestrzenny kolaps materii i energii, miejsce, gdzie czas staje w miejscu.

I skąd nie ma ucieczki...

Obrazy, obrazy... Zamazują się coraz bardziej, migając za oknem. Ściemnia się, pociąg kołysze coraz bardziej. Z trudem utrzymuję równowagę, rozpaczliwie trzymam się ścian, starając się ze wszystkich sił nie



Anna Lemiecha

upaść. Światła na przemian zapalają się i gasną. Powoli wędruję korytarzem, zaglądam do przedziałów. Nie ma nikogo, pustka, nicość...

Gaśnie światło w całym pociągu, tylko raz za czas mrok rozjaśniają pomarańczowe błyski mijanych latarni. Jeszcze kilka stacji, jeszcze kilka chwil... Nie upaść, trzymać się...

Otwieram okno, świszczący wiatr nieco mnie otrzeźwia, osusza łzy na policzkach. W ciemnościach nocy widzę zbliżającą się grupkę świateł. Zdają się wirować we mgle, krążą w opętaniczym tańcu. Pociąg zwalnia, słyszę pisk hamulców. Resztką sił dochodzę do drzwi, słabnące ręce z trudem naciskają klamkę, drżące nogi pozwalają odejść tylko kilka kroków, potem upadam...

Pusto, nikogo nie ma na dworcu poza mną. Monotonny kobiecy głos zapowiada kolejny przyjazd. Leżę pod dużą, białą tablicą. Skupiam z wysiłkiem wzrok, z trudnością odczytuję nazwę ostatniej stacji. Czarne litery nieruchomieją na chwilę, tworząc dobrze znany mi napis: „DELIRIUM TREMENS”.





Z. MAREK PIECHOCKI

Z cyklu „Epitafia dla przyjaciół”

*„Panu od poezji” -
Zbigniewowi Herbertowi*

Wczoraj przed świtaniem
obiecującym dzień nowy
umarł Poeta

W słowa niewymyślne
zapinał treści
skomplikowanego świata
by rozumiał je człowiek prosty

W nieboskłonach Jego dusza

Nam

wiersze

wiersze

wiersze

29 lipca 1998

I tak to, Czesławie
życie znowu zatoczyło koło

- od tamtych dla mnie świętych chwil
kiedy z estrady Kina „Słońce”
śpiewałeś dla nas zasluchanych
- poprzez te wszystkie wieczory
wypełnione Twoją muzyką, głosem
z siermiężnego „Bambino”
- aż do tej chwili
kiedy zobaczyłem jak urnę z Twoimi
prochami
zamurowują w ścianie na Powązkach
- tuż obok grobu Jerzego Waldorffa
twojego niegdyś orędownika

i w pobliżu mogiły Zbigniewa Herberta
którego „Kamyk” nam odkryłeś

Teraz
zapalam znicze
Waszym Cieniom

Warszawa, luty 2004

Czytałem że Dusza Pana Cogito
umieściowała się na jego ramieniu

Nie wiem jeszcze gdzie jest moja
pewnie schowana
ale czujna

Jutro
lub by odwlec o kilka dni chwilę
pójde do lekarza

Tam
bez adwokata i prokuratora
wydany zostanie wyrok
poparty zdjęciem
lub świstkiem z komputera

Nikt
nie odwlecze przeznaczonego

Tak to i moja dusza
zajmie pozycję do lotu
być może będzie to ramię
lewe lub prawe

POWIEŚĆ





ANDRZEJ WIELECKI

PRZECIWKO WSZYSTKIM (5)

VI

Po przespaniu kilku godzin, August, jak nigdy, zerwał się ochoczo z łoża. Był taki wesoły, że chciał się nawet sam ubierać. Wstąpiło w niego jakby nowe życie, chciał działać, robić coś, jakaś wewnętrzna energia wprost go rozsadzała. Czuł się tak, jakby wreszcie znalazł to, czego nieświadomie szukał, czego mu dotąd brakowało.

Przy pięknej, słonecznej pogodzie, w jadalnej sali zamku w Gieranojnach, wielki książę posilał się w towarzystwie trzech pań z rodu Radziwiłłów. Brakowało tylko Rudego i Czarnego, którzy przed godziną pożegnali Augusta i udali się do Wilna.

– Jako się podobała paniom wczorajsza zabawa? – Pytał książę spoglądając po kolei na towarzyszące mu niewiasty.

- Przednia to była zabawa, jako za moich młodych lat – odpowiedziała matka Anny i Barbary, Barbara Radziwiłłowa.
- Najpiękniej było na samym końcu – włączyła się wesoło Barbara. Zaraz jednak spuściła nieco głowę i zawstydzona oznajmiła. – Chciałabym przeprosić waszą księżęcą mość za moje niestosowne zachowanie przy pożegnaniu, jako i... za zamknięcie drzwi przed wami panie. – W tej chwili matka i siostra Barbary, spojrzwały na nią z wyrzutem, albowiem o czymś takim jeszcze nie słyszały, aby zamykać drzwi przed władcą!
- Wasza księżęcą mość raczy wybaczyć naszej córce – wstawiła się za nią oburzona Radziwiłłowa – bo młode to panie i jeszcze głupie. – Po czym surowo spojrzała na Barbarę.
- Nic się przecie nie stało. Uważamy całą tę sprawę za niebyłą – uspokoił ją August.
- Wybaczone mi to panie, ale jak obaczyłam te wszystkie kwiaty, to zapomniałam o całym bożym świecie. Wybaczone mi panie – powtórzyła Barbara – ten niegodny postępek, jako i to, że odważyłam się... – i patrząc z niepokojem na matkę i siostrę dokończyła – wasze panie oblicze... – Książę domyslał się, że chodzi jej o wczorajszy pocałunek wesoło oznajmił.
- Tego ostatniego wam pani bynajmniej nie wzbraniamy, a wręcz przeciwnie. – Tu Barbara zarumieniła się lekko, a matka i siostra patrzyły na siebie pytająco, nie rozumiejąc o co chodzi. – Nie wiedzieliśmy pani, że tak bardzo lubicie kwiaty.
- Jeszcze ich tyle nie widziałam, co wczoraj w komnacie.
- Rozkazaliśmy powycinać wszystkie z całej okolicy.
- Sprawiliście mi panie niebywałą radość... – Tu niespodziewanie do rozmowy włączyła się Anna.
- Wielce mnie jeno zastanawia siostro, żeś kazała swoim sługom wyrzucić tyle kwiatów – rzekła z zawistnym uśmiechem. August zaś surowo patrzył na Barbarę,



- czekając na jej wyjaśnienie.
- Nie wiem jak to powiedzieć waszej książęcej mości..., ale kazałam wyrzucić te niebieskie kwiatki, bo... mają one trującą moc i wielce mogą zaszkodzić zdrowiu. – Teraz kniaziowi zrobiło się niezmiernie głupio.
 - Wybaczcie pani za to wszystko i obiecuję wam, że ci którzy stali się sprawcami przyniesienia owych kwiatków zostaną ukarani, a nawet wychłostani – rzekł ze złością August.
 - Ależ panie, było ich bardzo mało. A wyglądały tak pięknie, że ten, kto nie zna się na kwiatach, nie pomiarkuje się, że mają one złą moc.
- Wstawiennictwo Barbary nie poprawiło jednak nastroju kniazia. Był tak zły, że miał ochotę osobiście wymierzyć baty tym, którzy zrywali kwiatki. Barbara jednak prosiła znowu, widząc wciąż chmurne oblicze Augusta.
- Darujcie im panie, bo niezwykła to rzecz znaleźć o tej porze jeszcze tyle kwiatowia. Doprawdy nie mogliście mi sprawić większej przyjemności panie, od tego coście dla mnie uczynili wczoraj – rzekła żarliwie.
 - Cieszy nas to wielce, chociaż jesteśmy zagniewani na nasze sługi – odparł jej nieco już łagodniejszym tonem.
 - Żeby nieco umniejszyć wasze zagniewanie, pragnę was panie zaprosić dzisiaj do mojej komnaty, aby pokazać wam wszystkie te kwiaty i powiedzieć, które z nich najbardziej mi się upodobały. – August w lot zrozumiał całą intencję tego zaproszenia i uśmiechnął się zadowolony z takiego obro-tu sprawy.
 - Już nam przeszło to zagniewanie i pragniemy wam oznajmić, iż z zaproszenia tego z pewnością skorzystamy.
- Zaraz po zakończeniu posiłku, książę udał się do swojej komnaty. Niestety, złość mu znowu powróciła, tyle tylko, że w mniejszym już stopniu.
- Lasota ja cię każę kijem obić i dam niedźwiedziom do zabawy!
 - A cóż się stało panie? – pytał zaskoczony Lasota.
 - Jeszcze śmiesz się mnie o to pytać? Dzisiaj na głupca wyszedłem.



 Miroslaw Koczkodaj

- Ludzka to rzecz panie – odparł po swojemu dworzanin.
- Nie przywódź mnie do wściekłości!
- Nie wiem panie, o co wam idzie? – bronił się Lasota widząc gniew władcy.
- Narwałeś głupcze trujących kwiatów dla wojewodziny i ta kazała je wyrzucić!
- Wyrzuciła wszystkie?
- Nie wszystkie, ale co z tego, skoro się za was wstydzić musiałem!
- Wasza książęca mość mi wybaczy, ale na kwiatach to się znam najmniej, a jeszcze to dodam, że ludzie pół dnia chodzili, żeby je dostarczyć – tłumaczył skwapliwie Lasota.
- Nalej mi miodu, bo jeno to dobrze potrafisz czynić – rzekł już uspokojony August.
- Jeśli jeszcze każecie mi panie zrywać kwiaty, to będę się was pytał za każdym razem, czy czasem nie są trujące.
- Już dobrze, nie dogaduj jeno zejdź mi z oczu – rozkazał. Zaraz jednak zapytał. – Jest li co nowego?
- Tak, przyszedł list od waszej panie małżonki.
- Na miły Bóg, toż niedługo braknie piór gęsich w Polszcze, jak ona będzie do nas tak często pisywała. – I zerwał się z miejsca gdyż złość go na nowo ogarnęła. – Kazałem ci czytać listy od królowej Elżbiety, uczy-nieś com kazał?
- Wedle waszego panie życzenia.
- Cóż więc pisze nasza ukochana małżonka Elżbieta? – zapytał drwiąco.
- Królowa Elżbieta pisze, że nie powinienieś panie troskać się sprawami państwowymi na Litwie, bo z nowym rokiem pan nasz miłościwy król Zygmunt, wraz z królową Boną, udadzą się tu na Litwę, aby wszystkie sprawy rozsądzić. Stąd też prosi was,



📷 Mirosław Koczkodaj

abyście zechcieli zjechać do Krakowa i spędzić z nią Narodzenie Pańskie. Jako, że królowa Elżbieta wielce się za wami stęskniła i ledwie co pamięta wasze oblicze...

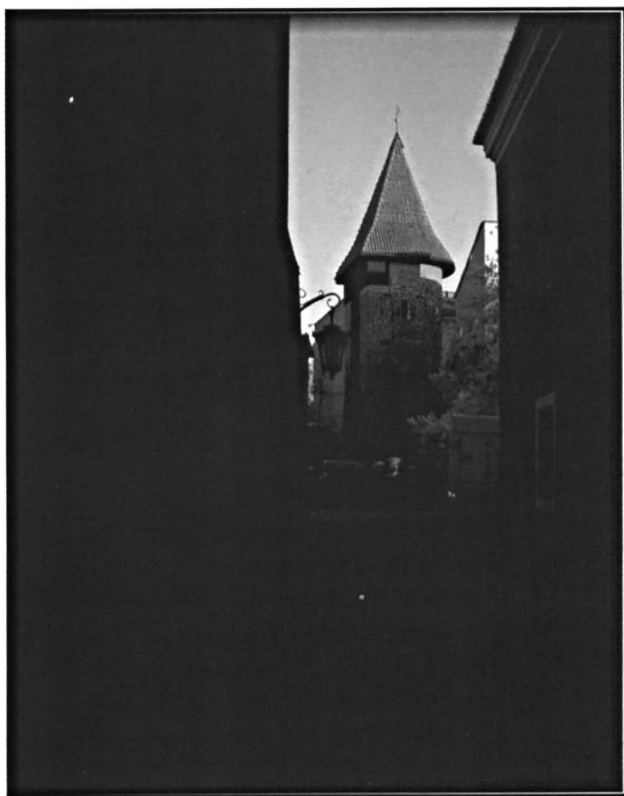
- Wystarczy, że to jej blade oblicze śni mi się po nocach – wtrącił zirytowany.
- I co panie zamierzacie w związku z tym uczynić? – Pytał Lasota, licząc po cichu, że jeszcze trochę pobędą na Litwie. Wszakże ich pobyt tutaj był jednym wielkim pasmem zabaw i beztróskiego lenistwa.
- Nie zamierzam Lasota bynajmniej wracać teraz do Polski. Nie teraz, kiedy wojewodzina jest już prawie w moich rękach. – Lasota patrzył ze zdumieniem na odmienioną twarz Augusta i w skupieniu słuchał dalej, przypuszczając słusznie, że plany wielkiego księcia sprowadzają się do tego, aby uwieść Barbarę. – Przyznam ci się, że kiedyś ją odprowadzałem do komnaty, niewiedomo czemu... – i zawahał się na chwilę. – Niewiedomo czemu pocałowała mnie.
- I co w tym nowego, przecie od lat was panie jakowaś niewiasta całuje.
- Ale... – i uśmiechnął się na wspomnienie tego zdarzenia. – Ale ci powiem, że tak to mnie jeszcze nikt nigdy nie pocałował... Pomyśl miałeś przedni, bo te kwiatki tak podziałały na wojewodzinę, jak marszałkostwo na Czarnego. Każę ci wypłacić dwa, albo i trzy czerwone – rzekł zadowolony.
- Dziękuję wielce panie. Napisałem też list, jakościście chcieli, do rodzicieli waszej książęcej mości.
- Dobrześ uczynił, ale trzeba, aby poszedł też list do naszej małżonki, aby myślała, że o niej pamiętam.
- Jenó, że co napisać, bo mi już pomysłów

brakuje. Za te łgarstwa, które wypisuję do waszej panie małżonki, to mi chyba piekło pisane będzie.

- Przy mnie do niebios trafisz, jenó mi służ tak, jak dotąd mi służysz. – I począł chodzić po komnacie, myśląc jaką by tu wymówkę znaleźć przed Elżbietą. Nagle jego wzrok padł na wiszące tuż przed nim na ścianie, jelenie rogi. Wówczas olśniony rzekł do Lasoty. – Napisziesz, że podczas ostatniego polowania niedźwiedź się rzucił na mnie i ledwie uszedł z życiem. Napisz też, że gdyby Radziwiłłowie nie przyszli mi z pomocą, to by mnie pewnie już nie ujrziała żywego. Z tej to przyczyny boleję mocno i powoli wracam do zdrowia. Zatem niesposobna to rzecz, bym mógł teraz wracać rychło do Polski. – Tu znów zaczął się zastanawiać, a że mu nic nie przychodziło do głowy, rzekł. – Dołożysz Lasota parę słów od siebie, bo ty to dobrze potrafisz. A list skończysz słowami. Bądźcie zdrową i szczęśliwą, a o nas nie zapominajcie.
- To wszystko?
- Tak. Idź i napisz jakem ci rozkazał, bo ja muszę się nieco przespać, jako że noc mnie niezwykła czeka. – I gdy tylko Lasota wyszedł, August ułożył się wygodnie i szybko zamknął oczy.

- Noc była już mniej spokojna, niżeli dzień. Groźnie zagrzmiały pioruny, a po nich zaczął padać ulewny deszcz. Wtedy to rozległo się głośnie pukanie do drzwi komnaty wojewodziny trockiej.
- Wejdźcie panie – zawołała przejęta Barbara i po chwili ujrzała przystrojonego odświeżonej monarchę.
 - Jak się pani czujecie, bo pogoda dziś straszna, tak jakby się kto powiesił.
 - Dziękuję panie, mam się dobrze. Jenó dziwna to rzecz, bo to przecie dwudziesty szósty październik, a burza tak straszna jak mało kiedy. – Ale August słuchał Barbary z roz-targnieniem, znacznie więcej uwagi poświęcając przystrojonej kwiatami sypialni, a zwłaszcza znajdującemu się na środku łożu.
 - Już trochę przywydły – zauważył.
 - Wielka to szkoda, że kwiaty tak szybko

- umierają – odparła nieco zmartwiona.
- Dlategoż można dawać coraz nowsze.
 - W swoim życiu jeno trzy razy dostałam kwiaty i to jeszcze niewiele – wspomniała smutno. Zaraz jednak niewinnie spojrzała na Augusta i zapytała. – Powiedzcie panie, z jakiej to przyczyny podarowaliście mi te kwiatki?
 - Czy musi być od razu przyczyna? Nie można tak zwyczajnie? – i dodał wesoło. – Rozkażemy je jutro wyrzucić i nazrywać nowych.
 - Nie panie, chcę aby zostały tu jak najdłużej i przypominały mi ten niezwykle widok, kiedy to ujrzałam je po raz pierwszy.
 - Jeśli taka wasza wola, to tak się stanie – i dla żartu pokłonił się przed nią.
 - Chcę wam panie powiedzieć, czym te kwiaty się różnią od siebie i co znaczą. – Wtedy August rad nie rad słuchał jej wywodów. Coraz częściej jednak spoglądał na łóżko Barbary i niecierpliwie czekał na moment, kiedy znajdą się tam oboje. Pragnął ją objąć i ucałować, stąd też zamiast patrzeć na kwiaty, wpatrywał się w jej słiczne usta.
 - I co wy panie na to? – Lecz na to nie usłyszała odpowiedzi, gdyż wielki książ zbliżył się do niej i z ogniem w oczach przemówił.
 - Chcę wam powiedzieć – i spojrzał jej głęboko w oczy. – Chcę wam powiedzieć... – Ale nie dokończył, gdyż jego usta dotknęły wilgotnych ust Barbary i oboje przylgnęli na dłuższy czas do siebie.
 - Panie mój? – rzekła cicho Barbara, po czym niezwykle szczęśliwa oparła głowę o jego ramię. Augusta zaś po chwili ogarnęło takie pożądanie, że zaczął ją gwałtownie całować po szyi.
 - Ależ panie, cóż czynicie?
 - Pragnę was – odparł zdyszany – pragnę ze wszystkich sił.
 - Ja też... – i zamknęła oczy, obejmując dłońmi głowę kniazia.
- Obejmowali się coraz bardziej i bardziej, zapominając o wszystkim. W końcu wielki książ zaczął powoli zsuwać suknię z ramion wojewodziny.
- Cóż czynicie? – powtórzyła Barbara drżąc na całym ciele. – Panie... nie uczynimy czegoś, czego potem będziemy żałować...


 Piotr Kaczorowski

- Nie bójcie się pani... Nie będziemy niczego żałować... – Uspokoił ją i teraz namiętnie całował jej odkryte ramiona. Barbara zaś coraz mocniej obejmowała go za szyję i co chwilę zamykała oczy.
- Poczekajcie... poczekajcie – rzekła nie mogąc złapać tchu.
- Co wam? – zapytał August i zwoleń na chwilę uścisk, bojąc się, że coś jej się stało. Tymczasem wojewodzina podeszła do stojącego opodal świecznika i zdmuchnęła płomień.
- Wybaczcie, ale wolę ciemność – i po omacku podeszła do niego.
- Niech i tak będzie. – Zgodził się August i w ciemności odszukał spragnionymi ustami jej usta. Za oknem zaś wciąż szalała październikowa burza.





ARLETA CŁAPA

punkt obserwacyjny

pourtant j'avais quelque chose là!

*André de Chénier **

ostatnie słowa w stylu a
i rozstąpimy się. pomysle o tym jutro,

powiedziała scarlett i wtedy ją polubiłam.
drzwi zatrasnęły okładki, kot odwraca grzbiet,
ziewa, wibruje, gubi zasięg.

wtulam się w gniazda z poduszek. to jedna z prób
zszycia pęknięć między łąką a źródłem.
czas przestawia się na przyszły, przywołuje
zapach niemalowanego drewna z kaplicy.

zapuka dzieciół, odpowie kukulka.

* słowa, jakie miał powiedzieć André de Chénier pod gilotyną,
wskazując na swoją głowę: a przecież miałem tam coś!

młody dzień

młody dzień. tak młody że spijał mleko z porannej mgły.
potem piłką w grze stała się wichura nad zalanym błotem
lessowym wąwozem, po bokach mury zastygłego szlamu.
przez chwilę byłam wcieleniem Mojżesza idącym przez
środek rozstępu morza, jakby rozpierała go boska duma.

gałęzie drzew jak wyladowania piorunów
łamały się z hukiem startującego samolotu.
wyglądały teraz niemal jak mieszkańcy
Jerycha z ogolonymi brodami do połowy,
z szatą liści obcięta do pośladków.
widać było tylko jedną kikucią nogę.

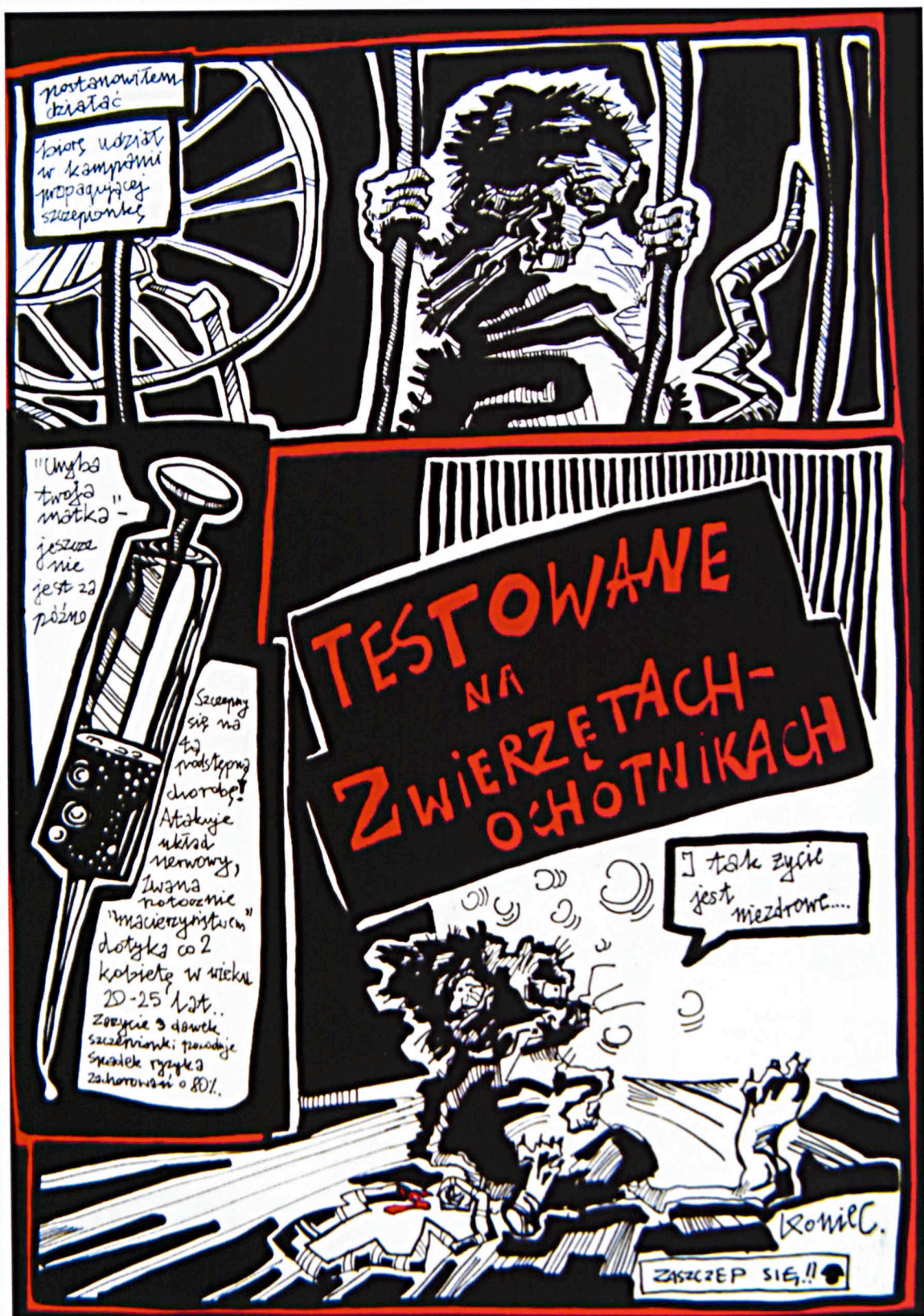
deszcz wsłuchany we mnie, w szumiący las myśli,
zlizywał sól kamienną z wydrażonych szklanek pni,
z paśników jak z kuchni pachniało liściarką i kukurydzą.
byłam jeleniem z szeroko otwartym porożem i scypułem.

wszystko to jest na zdjęciu jak w sejfie schowane,
na które patrząc powiedziałeś: nic tu nie ma.









IN MEMORIAM





RYSZARD KORNACKI

NIEZMORDOWANY TRUBADUR

RZECZ O TADEUSZU CUGOWIE-KWIATKOWSKIM

Co i jakby nie mówić to w kulturze i sztuce nikogo nie da się zastąpić. A jeśli chodzi zaś o Tadeusza Cugowa-Kwiatkowskiego, jest to niezbita pewność i prawda. Tak twierdzi wielu ludzi w Polsce nie tylko ze środowiska artystyczno-literackiego, z którym od lat był związany. Ja jestem o tym całkowicie przekonany.

Nasza przyjaźń zaczęła się w latach siedemdziesiątych, kiedy to „Kwiat”, za namową Edwarda Stachury, przyjechał do Lublina, by studiować filologię polską. Wcześniej mieszkał, uczył się i pracował we Włocławku, mimo, iż był rodowitym wilnianinem, z czego był niezwykle dumny. Pisał wiersze od 16 roku życia, w 1956 roku został mistrzem Pomorza w boksie w wadze lekkośredniej. Trenował go Czesław Krysiak w „Starcie” Włocławek. Był także aktorem w Teatrze Ziemi Kujawskiej.

Życie jego - jak opowiadał - toczyło się bardzo barwnie i ciekawie, choć nie było łatwe. Rubaszny, niepoprawny, tryskający humorem, gotowy do poświęceń, ale i do „hulanek i swawoli”. Był prawdziwy jak nikt inny. Jedyny, niepowtarzalny, wyjątkowy - tak pisał o nim poeta Andrzej Dębowski - redaktor „Gazety Kulturalnej”. Potrzebującym potrafił pomóc czego sam wielokrotnie doświadczyłem. A oto jeden z przykładów reakcji „Kwiata”

na trudne chwile bliźnich. Pamiętam jak w czerwcu któregoś roku wędrowaliśmy we trzech trasą (tzw. deptakiem) od Ogrodu Saskiego w Lublinie na Stare Miasto do kawiarni „Czarcia Łapa” i w pewnym momencie dostrześliśmy przy jednej z kamienic Krakowskiego Przedmieścia pijanego mężczyznę, który opierając się mur próbował niezręcznie wstać. Niestety nie udało mu się. Wtedy natychmiast zareagował Tadeusz i ruszył mu z pomocą, a następnie ukląkł, objął denata i podłożył mu rękę pod głowę mówiąc: „Wyspowiadaj się stary, będzie ci lżej”. Słowa te sprawiły, że nieznajomy z wysiłkiem wstał i chwytając Tadeusza za szyję dziękował mu za pomoc. Zewsząd rozległy się oklaski, bo wokół mężczyzn zebrała się już spora grupa gapiów. Tadeusz zripostował owację mówiąc: „Poeci wszędzie widzą człowieka”. Oklaski rozległy się ponownie.

Takich i innych sytuacji w życiu Tadeusza było wiele. Dla wszystkich miał dobre słowo. I tym dobrym słowem obdzielał. Lublin był dla niego ważnym miejscem na ziemi. Tutaj ukończył studia, tutaj debiutował i wydał swoją pierwszą książkę, tutaj także założył swoją ukochaną rodzinę z żoną Marią oraz synami Piotrem i Karolem.

Potem powołał do życia kolejne dziecko: międzynarodową Fundację Poetów i Ułanów im. gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Jako Prezydent Międzynarodowego Kongresu Poetów zapraszał wybitnych poetów, przyjaciół, ułanów i znakomitych gości na „Wigilię Poetów i Ułanów”. Uczestniczyłem w tych imprezach kilkakrotnie, gdzie miałem przyjemność poznać takich poetów jak Nikos Chadzinikolau – prof. z Poznania (z pochodzenia Grek), Helena Gordziej, Ernest Bryll i inni. Nie brakowało również licznej grupy literatów z woj. Lubelskiego.

Organizując te i inne spotkania „Kwiat” żył pełną piersią, nie oszczędzał się ani trochę. Można powiedzieć, że służył innym całym sobą. Mówił też, że obowiązkiem jest słu-



Tadeusz Kwiatkowski-Cugow z autorem

żyć tym, którzy odeszli. Każdego roku kwestował na rzecz ratowania zabytków lubelskiego cmentarza przy ulicy Lipowej. Od lutego do czerwca 2008 roku zasiadał w Radzie Miasta. Był tam członkiem komisji Kultury i Ochrony Zabytków oraz do Spraw Rodziny, Zdrowia i Pomocy Społecznej.

Ostatni raz rozmawiałem z nim telefonicznie w kwietniu 2008 r. Odebrał go na przystanku trolejbusowym, gdzie oczekiwał na swoją piętnastkę w kierunku ulicy Narutowicza, przy której mieszkał. Zdażyłem mu jeszcze pogratulować awansu do Rady Miasta w Lublinie. Umówiliśmy się na wieczorną rozmowę, do której - niestety - nie doszło. Już wtedy czuł się źle, ale nie chciał o tym mówić. Wcześniej odwiedził Międzyrzec w 1996 roku i spotkał się z członkami Dyskusyjnego Klubu Międzyrzeckiej Inteligencji „Tolerancja”. Dyskutowano na temat „Humor, refleksja i liryka”. Większość swoich wierszy recytował z pamięci, potem w 1999 roku brał udział w „Sportowych Mikołajkach” organizowanych dla osób niepełnosprawnych w WTZ. Spotykał się też z młodzieżą LO w Międzyrzeczu, a także prowadził mój jubileusz 45-lecia pracy literackiej.

Lubił Podlasie i chętnie przyjeżdżał do nas, do miasta nad Krzną. Nie wspomnę już o wspólnych wieczorach spędzanych w „Kornasiówce” przy kominku. Wspomagając się akordem i wiśniówką śpiewaliśmy często do rana pieśni patriotyczne i wojskowe ku zadowoleniu sąsiadów. Głos miał Tadeusz donośny i - jak sam mówił - tubalny.

Nekrolog, który przeczytałem w „Dzienniku Wschodnim”, zdawkowo informował o śmierci wybitnego poety, autora wielu tomików poezji, cudownych kołęd, zbiorów opowiadań, wspomnień. Ale taka jest przecież rola nekrologów. Przed oczami mojej wyobraźni przesunęła się, jak na filmie, zawsze życzliwa twarz przyjaciela, oświetlona uśmiechem. Dopiero wtedy, gdy treść dotarła do mnie jak grom z jasnego nieba, zrozumiałem, przyjacielu, że wszystko ma swój początek i koniec. W tym miejscu jeszcze raz bardzo serdecznie

dziękuję Ci za wiersz, który mi poświęciłeś i dedykację w zbiorach wierszy. Żegnam Cię i mówię do zobaczenia.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow Poematicum heroikomiczne

Dedykowane Ryszardowi Kornackiemu

Tonę w papierach
Listy, wiersze, rękopisy
Poematy, wizytówki, życzenia
Od żywych i umarłych
Zwycięskie ody zza grobu
Poema heroikomiczne
Relacje z istmijskich igrzysk
Kwoty dłużników i wierzycieli
Utwory pośmiertne moje i tamtych
Panów poetańczyków zza Wielkiego Lasu
Wykaz pań łatwych i trudnych
Lapidarium minionego czasu
Kwity z aresztów, więzień
Izb wytrzeźwień i zatrzymań

Nie mogę i nie chcę tego wyrzucić
To diariusz mojego istnienia
Každy kartonik skrawek papieru
To hagiografia
Každy litera to myśl
Cyfra sen o sławie
Wieczorem kiedy zasypiam
Cała ta menażeria tańczy mi na policzkach
Dance Macabre
A poranny prysznic potu
Przypomina srebrnymi ustami
Anioła Cyganerii Jana Himilbacha
Ponurą poetycką konieczność
Znowu Kurwa Pięś





AGATA SALWA

ślad

w starym domu
gdzie podłoga trzeszczy kurzem
korniki ukryły dzisiaj na jutro

fotografie na kominku
zanikają jak mgła
przez którą ucieka wspomnienie

ściany chłodzą samotnością
nikt już nie pamięta
kto otworzył okno i wpuścił wiatr

mów, podobno słyszy

obudziła się w szklanym pokoju
bez klamek krawędzi
okien i drzwi

stała na suficie podłódze
głos z zewnątrz wibrował
bliski daleki

uderzenia w ścianę milczały
biała samotność wypełniła umysł

taśma w projektorze

dzisiaj to tylko wczoraj
przełożone na jutro
rwie się
rwie coraz bardziej

szeptem

pst
zima nadeszła
usnęła w ramionach puchu

nie budź, bo wichrem zawieje
i ucieknie z roztopem
do morza

jesień

zasenniło się niebo
chmury zatrul kurz

przykryję szklanką ostatni
promień lipca
by świeży pozostał
na jutrzejszy świt

WYNIKI KONKURSU CHICHOT CHIMERY 2008

Miło nam poinformować, że jury konkursu tożsame z redakcją kwartalnika kulturalnego „Kozirynek” spośród setek zgłoszonych prac wyłoniło po jednej grand prix w każdej z trzech kategorii w postaci nagród pieniężnych w wysokości 500 PLN oraz po kilka wyróżnień w postaci zaproszenia do zbiorówki pokonkursowej oraz publikacją na łamach kwartalnika „Kozirynek”.

W kategorii POEZJA grand prix otrzymuje:

- Michał Nowak (Warszawa)

wyróżnienia - publikacja w tomiku pokonkursowym:

- Izabela Kawczyńska (Łódź)
- Piotr Zemanek (Bielsko-Biała)
- Paweł Podlipniak (Radom)
- Robert Rafał Bohdziewicz (Toruń)
- Anna Piliszewska (Wieliczka)
- Karolina Szczepanowska (Biskupice)
- Maciej Obara (Lublin)

wyróżnienia - publikacja w kwartalniku kulturalnym „Kozirynek”

- Krzysztof Konopa (Zamość)
- Jędrzej Kozak (Koszalin)
- Jacek Pietrzak Suskiewicz (Łódź)
- Regina Nachacz (Rzeszów)
- January Witkowski (Ślaboszów)
- Tomasz Stolecki (Zduńska Wola)
- Dorota Smułkowska (Warszawa)

W kategorii PROZA grand prix otrzymuje:

- Maciej Topolski (Łęczna)

wyróżnienie - udział w tomiku pokonkursowym:

- Martyna Nowak (Sokolniki)

wyróżnienia - publikacja w kwartalniku kulturalnym „Kozirynek”:

- Krzysztof Pluta (Darłowo)
- Anna Kleiber (Luboń)
- Adam Buźniak (Sopot)

W kategorii GRAFIKA grand prix otrzymuje:

- Grażyna Nowacka (Poznań)

wyróżnienia - publikacja w tomiku pokonkursowym oraz kwartalniku kulturalnym „Kozirynek”:

- Małgorzata Typel (Myszków)
- Barbara Medajska (Warszawa)
- Ewa Kruchowska (Legnica)
- Kinga Szelaż (Pszczyna)
- Jadwiga Grabarz (Nowy Wiśnicz)
- Monika Mazur (Radom)

NADESŁANE:

książki

- Justyna Fruzińska, *Wiesz dobrze czego się boimy*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Zofia Garbaczewska-Pawlikowska, *Jutra może nie być*, Kraków 2006/2007.
- Zofia Garbaczewska-Pawlikowska, *Zakamarki pamięci*, Kraków 2007.
- Karol Graczyk, *Osiemdziesiąt cztery*, Gorzów Wlkp. 2008.
- Igor Jarek, *Różyczka*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Irena Kaczmarczyk, *Wszystką wiosną. Wiersze z lat 2001-2007*, Kraków 2008.
- Izabela Kawczyńska, *Luna i pies. Solarna soldateska*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Ewa Klajman-Gomolińska, *Eloi*, Lublin 2008.
- Dorota Korwin-Piotrowska, *Podróż do Oddo*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Michał Murowaniecki, *Punctum*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Robert Olewiński, *Przypadki Vincenta Bisiou*, Siedlce 2008.
- Agnieszka Szczepaniak, *Drzenie cięciwy*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Michał Wróblewski, *Skurcze*, SL im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2008.
- Artur Ziótek, *Obserwacje*, Siedlce 2007.
- Lidia Żukowska, *Koncert na szepty...*, Kraków 2005.
- Lidia Żukowska (oprac.), *Krzyk Tęsknoty. Listy Eugeniusza Gepperta do Marii Malickiej*, Kraków 2007.

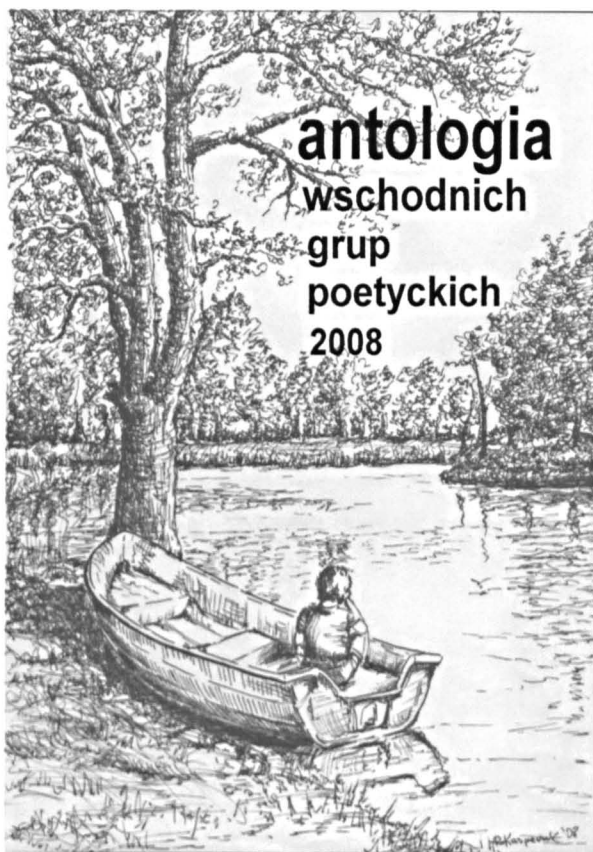
czasopisma

- Kwartalnik „Ogród”, Rok VIII, nr 1-2 (21-22), Siedlce 2003.
- „Lamus”. Pismo Kulturalno-Artystyczne, nr 1/1 [17], Gorzów Wielkopolski 2008.
- „Pegaz Lubuski”, nr 3 (32), Gorzów Wielkopolski 2008.
- „RzeczPospolita Kulturalna”, Rok I, nr 6, 7, 8, 9, Londyn 2008.
- „Siedlecki Nieregularnik Literacki”, Rok III, nr 2 (10), Siedlce 2008.

Staraniem dwóch podlaskich poetów: Pawła Czyżewskiego i Tomasza Rolko ukazała się „Antologia Wschodnich Grup Poetyckich” będąca przekrojem przez twórczość pięciu wybranych grup poetyckich Podlasia i Lubelszczyzny z lat 2005-2008. Znajdziemy tam reprezentatywne wiersze „Black Angel” z Włodawy, „The Mur” z Lublina, radzyńskiej „Konfraterni Kozirynek”, bialskiego „Skafandra” i wielce obiecującej „Huvavy” (która pisze to tu, to tam) jak również informacje o działaniu tych grup, ich założenia i idee. O tym że antologia jest wartościową pozycją świadczy choćby obecność świetnych, a mało znanych talentów Mariusza Bobera, Andrzeja Jahołkowskiego, Barbary Borek czy Janka Rusina. Przekonać się do niej będzie można na którejś z jesiennych promocji bądź kupując samemu informacje pod adresami:
www.skafander2003.republika.pl
www.blackangel.go.pl

Zapraszamy!

Patronat nad wydawnictwem objęło Radio Biper, kwartalnik kulturalny „Kozirynek” i serwis literacki knowacz.pl.





* Cena numeru upamiętnia rok 1250, w którym król Francji Ludwik IX – wspaniały władca (wówczas jeszcze) Najstarszej Córy Kościoła, podczas szóstej krucjaty dostał się do niewoli. Uwolniony za cenę okupu, kolejne cztery lata spędził w Królestwie Jerozolimskim, choć samej Jerozolimy nie udało mu się zdobyć. Kilkanaście lat później podjął ostatnią, siódmą wyprawę krzyżową, w której środkiem do wyzwolenia Ziemi Świętej miało być nawrócenie emira Tunisu. Epidemia w szeregach krzyżowców położyła kres tym zamiarom. Sam Ludwik IX oddał życie dla idei krucjat. Jego ostatnie przed śmiercią słowa brzmiały: „Jerozolimo, Jerozolimo!”. Konczyło się panowanie cywilizacji łacińskiej w Ziemi Świętej.

Zrealizowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



oraz
Powiatu Radzyńskiego